• Proza Władysława Orłowskiego • Kolumna SF
• Pod młotkiem
• Aferzysta

kolumna ajencyjna

Łódź
tygodnik społeczno-kulturalny
Odgłosy

NUMER 18 (1271) ROK XXV 6 SIERPNIA 1982 ROKU CENA 20 ZŁ

Edward Połczyński

Dialog nad pierwszą stroną albumu

— Spójrz jacy młodzi!
— Jacy piękni!
— Jaki radosny mają wzrok...
i dumny!
— Spod sukna utajonych zdarzeń
każdy wyciąga los szczęśliwy.
— Żaden nie dojrzał widma trumny.

— Wodzowie odsłonili twarze.
— Już rozkaz padł z ich ust.
— Po której stronie z mgły wiślanej
zjawi się Nike
nie wie nikt.
— Nikt nie przeczuwa tej otchłani
co się rozewrze pod dnem miasta
osamotnionym w krwi.

— Jeszcze trwa cisza.
— Dzień się czai
podpełza pod godzinę W.
— Za chwilę skoczy wystrzałami
wygasi rozpędzony tłum...
— pobiegną chłopcy w ulic sto
szturmować bunkry, druty, bramy!
— Buchnie pod niebo polski stos!
— Zapiszczy świata lament.

Ryszard Klimczak

Głuchoniemym w rocznicę

Widziałeś, że strzelają; nie słyszałeś huku,
Zgarniałeś pył z twarzy gdy pękały domy.
Nie mogłeś krzyczeć: smuć się późny wnuku
Choć rozpacz rozbijała serce na atomy.
Najsprawniej żołnierskie pojąłeś idiomy
Gdy pełzać przyszło po warszawskim bruku.

Kiedy gestem wskazałeś kierunek ataku,
A sam stanąłeś — żywy czołg przeciwko czołgom,
Każdy żołnierz z twojego odczytywał znaku
Jasny rozkaz: piędź po piędzi odbierzemy wrogom,
Zaułek po zaułku, ulicę za ulicą.
Ty granat uniosłeś, jak pątnik gromnicę.

Zdarzenia patyną niepamięci czas powleka.
Nie zapomnę, jak szedłeś do szturmu bez lęku
I bez okrzyku: hurra! Powstaniec — kaleka
Padł ranny i z piersi nie wydobył jęku.
Jak gestem przekazać ci wiersz, który piszę?
Wszak głos mój nie dotrze. Wokół ciebie cisza.

Wiersz Ryszarda Klimczaka „Głuchoniemym w rocznicę" napisany został w sierpniu 1945 roku. Autor był wówczas dziennikarzem „Głosu Ludu" Wstrząsnęły nim informacje o bohaterskiej postawie powstańczych żołnierzy, wychowanków szkoły prowadzonej przez Instytut Głuchoniemych w Warszawie. Wiersz był publikowany w niewielkim zbiorku Ryszarda Klimczaka „Granat i pióro".

Dolina Jaworzynki *Foto: Archiwum*

Ciupazka za dutki

JOLANTA WROŃSKA

Niedawno, w 21 numerze „Polityki" ukazał się materiał pt. „Kogo na to stać?", będący w zasadzie katalogiem cen w Zakopanem u progu tzw. wielkiego sezonu. Sam tytuł wskazuje już na niejaki dysgust autora szalejącą w kurorcie drożyzną. Wobec tego i ja wybrałam się pod Giewont, tym razem w środku sezonu, żeby na własnej skórze przekonać się o galopującej inflacji. Pojechałam, zobaczyłam i... dobrze mi tak, choć nie tylko o ceny mi chodziło. Ale po kolei.

COŚ NA ZĄB

Podróż z Łodzi Fabrycznej do Zakopanego i z powrotem kosztuje 624 złote (I klasa pociągu pośpiesznego). O sleepingu czy kuszetce, normalnie, nie ma co marzyć. Bilety trzeba zamawiać na 60 dni przed terminem podróży lub uciekać się do extraznajomości urzędniczek „Orbisu". To pierwszy sygnał odpowiedzi na pytanie — dla kogo Zakopane. Widać dla wielu, dla bardzo wielu. Kuszetka i sleeping kosztują przecież jeszcze drożej, a mimo to w pociągu panuje nieziemski tłok, jak za najlepszych czasów wędrówki ludów. Po blisko 10 godzinach podróży, o bladym świcie pociąg dobija do celu. Podróżni są w stanie kompletnego wyczerpania, głodu i pragnienia, albowiem przewoźnik poskąpił wagonu „Warsu" na tak długiej trasie. Po co? Ludzie przecież jadą na urlop, to sobie odbiją trudy podróży. Niedawno zdarzyło mi się widzieć, jak na Dworcu Centralnym w Warszawie wybuchła panika, kiedy okazało się że express „Polonia" do Budapesztu ma o dwa wagony za mało i ludzie z wykupionymi kuszetkami nie mają się gdzie podziać.

Dzielni funkcjonariusze PKP po prostu nie skojarzyli ilości sprzedanych biletów z miejscami w wagonach. Drobiazg. Po dwóch godzinach zwłoki pociąg wszak odejchał. Prosto więc z pociągu maszeruję do dworcowego baru samoobsługowego firmy „Wars". Na głównym miejscu wisi anons, że zakład stosuje ceny umowne. 20 lipca o godz. 7 rano wyglądają one jak następuje: filet z karguleny panierowany plus bułka — 28 zł (czas oczekiwania około 45 minut), kiełbasa w kapuście (mrożonka) — 46 zł, zraz mielony w sosie pomidorowym (mrożonka) — 31 zł, naleśniki z serem — 24 zł, jajecznica z 2 jaj plus bułka — 41 zł. Nie próbuję nawet rozwikłać tej struktury cen. Przyjmuję pokornie, że danie z puszki jest tyleż warte, co dwa naturalne w końcu jajka. Na deser jest zagadka. Dlaczego we wtorek, 20 lipca, herbata expressowa kosztowała 3 zł, a kawa „Selekt" — 40 zł, zaś już nazajutrz herbata kosztowała 9 zł a kawa 54 zł. Odpowiedź brzmi: bo ceny są umowne, po prostu umawiamy się, że dziś tak, a jutro tak. Całkiem osobną sprawą jest jakość obsługi. Klient się samoobsługuje, czekając w nieskończoność przed okienkiem, mając widok na brudną kuchnię.

Tymczasem sąsiadujący bar szybkiej obsługi na dworcu PKS jest czysty i przyjemny, i oferuje o 8 rano: płucka za 37 zł, bigos — 54 zł, hamburger rybny (mrożonka) — 30 zł, kawa z mlekiem — 5 zł, herbata 2.50 zł (a nazajutrz tak samo).

Jedyny bar mleczny w Zakopanem znajduje się w samym centrum, przy ul. Kościuszki. Jest malutki, okropnie niewygodny, ale za to rano można dostać świeże rogaliki z masłem (16 zł sztuka), omlet z jagodami i śmietaną — 56 zł lub z cukrem — 35,40 zł, pierogi leniwe z masłem i cukrem — 42,40 zł. O godzinie 15 jest skromny wybór jarskich dań obiadowych. Ceny w granicach 60—70 zł za obiad. Tanio, tyle że powietrze górskie

Foto: Mirosław Zajdler

Przegląd prasy

„ZA CO BRALI DORADCY"

wyjaśnia „POLITYKA" (nr 23 z 24 lipca 1982 r.). Sprawa nabrała swego czasu wielkiego rozgłosu. A teraz — w związku z ciągnącym się procesem Macieja Szczepańskiego — mówi się, że byli doradcy do spraw teatru staną przed sądem i opowiedzą jak ich były prezes korumpował. Tymczasem sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Wyjaśnia to w „POLITYCE" Jan Paweł Gawlik. Późno, bo późno, ale dobrze, że w ogóle. Sprawa ta nie była bowiem dla wszystkich jednoznaczna i taka prosta — jak to się niektórym wydawało.

„Piszący — stwierdza J. P. Gawlik — posługują się jednym tylko źródłem informacji — wysokością kwot — mniej natomiast interesuje ich rzeczywista działalność przywoływanych z imienia i nazwiska (często wytłuszczonym drukiem) wybitnych aktorów i reżyserów wchodzących w skład Rady. Tymczasem ta właśnie działalność — a nie wysokość ryczałtu ma dla sprawy istotne znaczenie".

Autor tych słów publikuje w „POLITYCE" dwa dokumenty: pierwszy — jest to jego pismo do ówczesnego prezesa Komitetu do spraw Radia i Telewizji — Zdzisława Balickiego; drugi — pismo prezydium tegoż Komitetu kierowanego przez Władysława Loranca. Pierwsze pismo, którego autorem jest J. P. Gawlik jako dyrektor Teatru TV, a więc bezpośrednio współpracujący z członkami owego zespołu doradców, pochodzi z maja 1981 roku. Drugie nosi datę 30 września 1981 roku.

Warto przytoczyć fragmenty tego ostatniego pisma.

„W Informatorze Przewodniczącego Komitetu ds. Radia i Telewizji z 15 maja 1981 r. (numer 14) zamieszczono tekst omawiający wyniki kontroli NIK w Komitecie. (...). W rozdziale dotyczącym gospodarki funduszem płac wymieniono kilku doradców do spraw teatrów w Komitecie (z ogólnej liczby 18 wymieniono m. in. nazwiska: Adama Hanuszkiewicza, Gustawa Holoubka, Andrzeja Łapickiego, Jana Świderskiego, Janusza Warmińskiego, Aleksandra Bardiniego) zamieszczając je łącznie z informacją o nieprawidłowościach w dysponowaniu funduszem płac".

Wymieniono 6 z 18. Kim byli pozostali i dlaczego ich nazwiska nie zostały ujawnione? — może narodzić się i takie pytanie, tym bardziej, że jak się okazuje z wyjaśnienia Prezydium Komitetu do spraw Radia i Telewizji— zarzut nie był uzasadniony. Oto, co bowiem wynika z owego pisma:

„Do zadań doradców należała, w założeniu, współpraca z pionem artystycznym Komitetu, a przede wszystkim udział w Radzie do spraw Teatru Telewizji. W rzeczywistości też osoby te wchodziły w skład Rady ds. Teatru, przekazywały swoje rady i sugestie w ocenie i formułowaniu programu teatralnego naszej telewizji, jak też w odniesieniu do teatru radiowego. Członkowie Zespołu świadczyli swą pracę w różnych formach — tak częściowo udokumentowanych (protokoły kolaudacji) jak i przede wszystkim w formie uwag i opinii przy okazji stałych kontaktów z kierownictwami obu teatrów, zgodnie z istotą wypełniania funkcji doradców. Swoje powinności w zakresie powierzonych im zadań wykonywali z bezsporną troską o ich właściwy kształt i z wiarą w skuteczność swej pracy.

Rozwiązanie umów z doradcami nastąpiło przede wszystkim w wyniku zaprzestania działalności Rady ds. Teatru Telewizji. Przewodniczący Komitetu ds. Radia i Telewizji wystosował pisma do wymienionych osób, oceniając wysoko ich pracę i dziękując za nią.

Dając ostateczny komentarz do tematu doradców ds. teatrów należy oświadczyć, że wiązanie nadużyć i samowoli działań byłego kierownictwa Komitetu ds. Radia i Telewizji z nazwiskami wybitnych twórców sceny polskiej było niesprawiedliwością wobec twórców, albowiem założyć można jedynie celowe nadużycie ich dobrej woli w tamtym okresie, a nie tolerowanie złych działań kierownictwa.

W tej sytuacji instytucja nasza z naturalnych powodów kieruje słowa przeproszenia w stosunku do byłych doradców do spraw teatru telewizyjnego i widowisk w Komitecie ds. Radia i Telewizji".

Mogę tylko jeszcze raz powtórzyć: dobrze, że to się ukazało, szkoda tylko, że tak późno. I jeszcze jedno — łatwiej jest pomówić kogoś o niecny czyn, niż później to odwołać.

A CO TYMCZASEM DZIEJE SIĘ W SĄDZIE

gdzie rozpatruje się sprawę Macieja Szczepańskiego i pozostałych oskarżonych. Konsekwentnie relacjonuje proces ten Edmund Żurek w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 17 z 25 lipca 1982 r.). W kolejnej relacji zatytułowanej „Ucieczka w chorobę" donosi o starciu sąd — Jerzy Hańbowski, które to starcie *„wygrał oskarżony"*.

Autor wspomina, jak to w areszcie śledczym na ul. Rakowieckiej w Warszawie rozmawiał z Kazimierzem Tyrańskim — odsiadującym obecnie wyrok 15 lat więzienia — a który to mu już wówczas powiedział, że *„Hańbowski na sali sądowej będzie ciężko chory"*. I rzeczywiście stało się. *„Znali siebie doskonale"* — skomentował to Edmund Żurek.

Swoistym smaczkiem tego sprawozdania są cytowane dokumenty: opinia Aleksandra Minkowskiego — pisarza i scenarzysty — o Jerzym Hańbowskim oraz opinia Kazimierza Rusinka — wiceprzewodniczącego Rady Ochrony Pomników i Męczeństwa, członka Prezydium Społecznego Komitetu Budowy Pomnika — Szpitala Centrum Zdrowia Dziecka — również o Jerzym Hańbowskim. Obie opinie są pozytywne. Jest też trzeci dokument — pismo przewodniczącego Społecznego Komitetu Budowy Pomnika-Szpitala CZD, Janusza Wieczorka do prokuratora generalnego Lucjana Czubińskiego z 1 sierpnia 1980 roku w sprawie działania Jerzego Hańbowskiego w komitecie budowy oraz ewentualnej jego protekcyjności w sprawie zakupu dźwigu „Otis", za co miał otrzymać — jak zarzucają prokuratorzy — radiowy zestaw panelowy w cenie 125 tys. zł oraz kombajn radiowy w cenie 60 tys. zł. Janusz Wieczorek pismem swoim zaprzecza takim możliwościom, przesyłając wyniki badań przeprowadzonych siłami URM.

W lipcu miało stanąć przed sądem 21 świadków, a w ogóle ma ich być... 290. Jak do tej pory trwa ucieczka w chorobę. Maciej Szczepański też zgłosił wniosek o zwolnienie go z aresztu tymczasowego, ale Sąd Wojewódzki wniosek oddalił. W sierpniu sąd ma urlop.

A tak w ogóle to „latoś obrodziło w dokumenty". Moda taka, czy co?

OBRODZIŁO TEŻ W POLEMIKI

Jednym z bardzo aktywnych polemistów okazał się Jan Ptasiński. W „RZECZYWISTOŚCI" (nr 10 z 25 lipca 1982 r.) polemizuje z Marianem Malinowskim (tenże list wcześniej, bo 17 lipca ukazał się w 32 nr „POLITYKI") na temat opublikowanych w „RZECZYWISTOŚCI" „Dokumentów prowokacji". Sprawa jest dość zawiła i chodzi o trudny okres działania KPP, kiedy to defensywa nasyłała do partii swoich agentów. Takim agentem miał być Józef Mitzenmacher, ale — jak twierdzi J. Ptasiński — pełnych dowodów na to nie ma. Uważa on raczej, że J. Mitzenmacher zdradził komunizm, a w ogóle piszący na ten temat nie zadali sobie trudu, aby zbadać wszystko, co zbadania wymagało.

Tenże Jan Ptasiński w w „ZDANIU" (nr 4 lipiec 1982) polemizuje z tekstem opracowanym przez Macieja Szumowskiego, a publikowanym w nr 2 „ZDANIA" jako wynik dyskusji z trzema osobami. J. Ptasiński uważa, że nie może polemizować aż z trzema anonimami, więc dokonuje następującego zabiegu. Nadaje im inicjały AW i już nie ma skrupułów, może teraz polemizować nie łamiąc swoich zasad. Zabieg to nie tylko formalny. Coś te inicjały mi sugerują, tym bardziej, że w tekście listu polemicznego kilka faktów sugestie te zdaje się potwierdzać.

Dla polemiki zabieg okazał się zabójczy. Zamiast bowiem koncentrować się wokół oceny historycznej przecież postaci Władysława Gomułki, polemista atakuje AW za konkretną działalność, kiedy ten też był u władzy. Anonimowi rozmówcy Macieja Szumowskiego odpowiadając na zarzuty J. Ptasińskiego celnie wychwycili słabość tej metody polemiki, gdyż często prowadzi ona na manowce. Zgodnie bowiem z zasadą trafnie uchwyconą przez Paula Valery'ego że *„gdy nie potrafi się atakować myśli, atakuje się jej autora"*, J. Ptasiński postawił kilka pytań domniemanemu AW, dlaczego on nie zrobił tego lub owego. A „ten" odpowiedział pytaniem na pytanie: dlaczego to J. Ptasiński w latach 1952 — 1955, *„kiedy zajmował bardzo wysokie stanowisko państwowe w kierownictwie resortu, od którego zależał podówczas los Władysława Gomułki"*, nic nie zrobił, aby zwrócić mu wolność? Ot i doczekał się — można powiedzieć; albo inaczej: kto jaką bronią wojuje, ten od takiej samej rany otrzymuje. List Bolesława Jaszczuka drukowany w tym samym numerze „ZDANIA" nic nowego do sprawy nie wnosi. *„Mam prawo do obrony"* — stwierdza B. Jaszczuk i redakcja daje mu to prawo publikując jego list.

Skoro już mowa o polemikach, to warto przy tej okazji donieść miłym Czytelnikom

O KOLEJNEJ POTYCZCE FELIETONISTKI „ARGUMENTÓW"

która tym razem daje odpór złośliwcom z „PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO". Posądzili oni Annę Błazucką o to, że sypia z docentem P. Ostrzeżenie przed seksualną agresywnością Anny Błazuckiej przedrukowaliśmy za „PRZEGLĄDEM TYGODNIOWYM". I oto Anna Błazucka pokazuje figę kolegom z „PT", pisząc, że informację o chrapaniu docenta P. mogła zdobyć na przykład... od jego żony. A w ogóle, to Anna Błazucka zapewnia, że *„takich, którzy pragnęliby zachrapać"* przy jej boku *„jest legion"* i na nic nie zdadzą się ostrzeżenia kolegów z „PT". A poza tym — jak Anna B. *„w kwiecistej, sukience i w szpileczkach"* zjawi się w redakcji „PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO" — to *„analitykom i deszyfrantom"* oko zbieleje.

Dość żartów! Mamy bowiem nową modę — lecznicze właściwości pszczół, a faktycznie produktów ich działalności. Coś w tym oczywiście jest. Sprawa wymaga badań, ale wiadomo jest, że ludzie, którzy mają do czynienia z pszczołami są zdrowsi. Szeroko na ten temat pisze „PRZEKRÓJ" (nr 1937 z 25 lipca 1982 r.) w wywiadzie z księdzem dr Henrykiem Ostachem, przewodniczącym Polskiego Związku Pszczelarskiego, a równocześnie proboszczem w Kamiennej, która leży kilka kilometrów od Krynicy. W tejże Kamiennej powstaje

PIERWSZY W POLSCE I EUROPIE DOM PSZCZELARZA

Będzie to dom wygodny, dla około 70 osób, z salami wykładowymi, pracowniami badawczymi, z muzeum pszczelarstwa i basenem. Dom ten powstaje z funduszów społecznych, ze składek i pomocy Podhalańskich Zakładów Przetwórstwa Owocowego w Nowym Sączu. W domu pszczelarza będzie też mini sanatorium i będzie się tam leczyć różne schorzenia lekami pochodzącymi od pszczół: propolis czyli kit pszczeli, pyłek kwiatowy, miód i jad pszczeli.

Dlaczego w Kamiennej? Bo *„jest to doskonały i jeszcze nie skażony teren dla pracy pszczół"*. Będą tu zresztą przyjeżdżali pszczelarze z całego świata, jako że polskie pszczelarstwo — o czym mało kto wie — należy do światowej czołówki.

„Marzę — powiada H. Ostach — *jako prezes Polskiego Związku Pszczelarskiego, żeby Polska miodem płynęła, ale w tym musi pomóc całe społeczeństwo"*.

Życzę pszczelarzom jak najlepiej, ale też z tej życzliwości ostrzegam, że już płynęły w tym kraju rzeki mleka i źle się to skończyło. Pozostańmy może raczej przy tym, abyśmy zdrowi byli, a pszczoły nam w tym dopomogły. Miodem, kitem i jadem!

W „PRZEKROJU" przeczytajcie Państwo koniecznie artykuł Andrzeja Donimirskiego „Z pobytu poza ciałem (wysoko w górach)" Rzecz nie ma naukowego potwierdzenia, ale ponoć na wysokości 7 500 m ponad poziomem morza jest *„strefa śmierci"*. Organizm pozbawiony dostatecznej ilości tlenu, oziębiony, z licznymi niedomaganiami wchodzi jakby w granicę śmiertelności i wtedy OBE (ciało energetyczne) wychodzi poza ciało fizyczne i znajduje się na pograniczu śmierci, co daje jakby pojęcie tego, co się z nami dzieje po śmierci. Duch oddziela się od ciała. Ale co dalej?

LUCJAN BOGUSZ

BOMBA ATOMOWA WYBUCHA W GŁĘBI SZEREGÓW PRZECIWNIKA

Jak pisał pekiński korespondent AP, Liu Heung Shing, w ub. miesiącu w regionie Singkiangu na pograniczu z Mongolią z udziałem kilkuset tysięcy ludzi odbyły się wielkie manewry wojsk ChRL, podczas których dokonano symulowanych eksplozji taktycznych broni jądrowych. Według analityków wojskowych, manewry te, które zakładają inwazję z północy; zasygnalizowały zwrot ChRL w kierunku atomowej w celu sparaliżowania której zastępuje stary plan „wojny ludowej", pozwalający przeciwnikowi na wkroczenie w głąb terytorium, a następnie niepokojenie go i otoczenie przy użyciu sił lądowych. O manewrach tych podał wiadomość 27 czerwca lokalny dziennik NINGXIA, nie podając dokładnej daty „nowoczesnych ćwiczeń wojskowych" w Singkiangu. Gazeta zamieściła zdjęcie grzyba wybuchu z podpisem: **„Bomba atomowa wybucha w głębi szeregów przeciwnika"**.

Eksperci, na których powołuje się AP twierdzą, że prawdopodobnie dokonano eksplozji ładunku zrzuconego z samolotu w celu zademonstrowania w jaki sposób użyto by broni atomowej w celu sparaliżowania sił inwazyjnych przeciwnika przed rozpoczęciem chińskiego kontrataku. Ministerstwo obrony ChRL odmówiło skomentowania ćwiczeń jak również praktyki posługiwania się bronią jądrową do zwalczania określonych celów wojskowych, a nie po prostu jako bronią masowej zagłady. Od 16 października 1964 roku, kiedy ChRL dokonała pierwszej eksplozji swej bomby atomowej, nie informowano o takich ćwiczeniach. ChRL utrzymywała, że użyje broni jądrowej tylko dla samoobrony.

ZSRR — USA
Czy istnieje równowaga sił zbrojnych?

Wojskowe wydawnictwo w Związku Radzieckim opublikowało niedawno drugie wydanie broszury „Skąd pochodzi zagrożenie dla pokoju". Radzieccy specjaliści wojskowi wykazują, że według stanu na rok ubiegły USA rozporządzały 2338 strategicznymi środkami przenoszenia broni nuklearnej — a nie 1958, jak utrzymuje NATO. Spośród tych 2338 wyrzutni rakietowych i bombowców 2273 należą do kategorii broni o zasięgu międzykontynentalnym.

W drugim wydaniu radzieckiej broszury podkreślono, iż autorzy zachodniej publikacji „NATO i Układ Warszawski — wzajemny stosunek sił" zaniżyli liczbę wyrzutni rakietowych na atomowych okrętach podwodnych USA o 160 jednostek, a ciężkich bombowców o 230 jednostek w porównaniu z danymi, przytoczonymi podczas podpisywania układu SALT-2. Jednocześnie przeszło dwukrotnie (ze 156 do 365) zawyżono liczbę bombowców radzieckich.

Autorzy NATO-wskiej publikacji celowo zaniżają też liczbę pocisków jądrowych w USA o 1,5 tysiąca jednostek. Z kolei, jeśli idzie o ZSRR, liczbę tę zawyżają, włączając do niej pociski, które, ich zdaniem, mogą w przyszłości pojawić się w ZSRR(!).

Specjaliści radzieccy wnioskują, że istnieje równowaga sił zbrojnych USA i ZSRR, Nato i Układu Warszawskiego. Istnieje ona nie na papierze, a w rzeczywistości. W tym świetle uznać trzeba, że przywódcy obecnego rządu USA świadomie wprowadzają w błąd światową opinię publiczną w sprawie rzeczywistych rozmiarów amerykańskiej potęgi wojskowej, w celu rozdmuchiwania amerykańskiego mitu o „komunistycznym zagrożeniu Zachodu".

Gratulujemy!

W dniu 31.VII.82 r. grupa żołnierzy i oficerów Batalionu AK „Kiliński", który wsławił się w czasie Powstania Warszawskiego zdobyciem Poczty Dworcowej, Prudentialu i gmachu PAST-y, została odznaczona Warszawskim Krzyżem Powstańczym. Wśród odznaczonych znalazło się kilku łodzian, m. in. artystka teatrów łódzkich MARIA BIAŁOBRZESKA i poeta i prozaik — MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ. Aktu dekoracji dokonali gen. „Radosław" — Mazurkiewicz i dowódca Batalionu AK „Kiliński" — ppłk. Henryk Leliwa-Roycewicz.

Listy do Redakcji

W Wólce nie ma zielonego światła

W tym roku wyjechaliśmy „na letniaki" na wieś, w okolice. Niedaleko, 60 km od Łodzi, co ze względu na brak benzyny też ma swoje zalety. Wczasy potwornie drogie, a nasza rodzina składa się z czterech osób.

Nie żałujemy, bo Wólka to wieś-marzenie. Dookoła lasy, a w nich jagody, poziomki, grzyby. Jest nawet strumyk, jeszcze — o dziwo — czysty. Łąki pachną, pogoda piękna. Na miejscu mleko... i nic więcej.

Dla mieszczuchów żyć nie umierać. Prawdziwy raj. Gorzej dla tuziemców. Bo to żniwa. Ze szpalt gazet mruga do rolników kokieteryjnie „zielone światło dla rolnictwa", „każdy kłos na wagę złota", itp. Mruga to światło i mruga, ale im dalej od wojewódzkiej „metropolii", tym anemiczniej, żeby tu w Wólce wreszcie zgasnąć na dobre.

Służę przykładami.

Do wsi doprowadzono wodę, gdzieś od Piotrkowa. Robiło to jakieś przedsiębiorstwo, podobno aż z Pruszcza gdańskiego. Dokładnie nie wiem, zresztą tu nikt tego dokładnie nie wie. Woda raz jest, raz jej nie ma. Co i rusz jakaś awaria. Nikt nie wie, kiedy naprawią i czy w ogóle naprawią. Mamy swoistą loterię pt. „Będzie dziś woda czy nie?". W naszym obejściu jest studnia, więc problemu nie ma, ale u innych? Noszą więc ludziska wodę wiadrami z daleka, a czasem nawet, jak w Grocholicach, wożą wodę beczkami, a robota w polu czeka. Pysznią się dumnie czerwone hydranty, a ludzie klną.

Sklep, a raczej kiosk spożywczy, jest w Wólce jeden. Nawet otwarty, tyle że zupełnie pusty. Chleb przywożą trzy razy w tygodniu: we wtorki, czwartki, a w sobotę jak Bóg da. Dostawa ma być około 11,00, ale zdarza się, że przywożą o 13,00 i później. Ludzie stoją w ogonku od rana, klną, a robota w polu czeka.

Mięso i wędliny przywożą raz w tygodniu, we wtorki. W tym tygodniu przywieziono tego mięsa aż 3 kilo (słownie trzy kilo) na całą wieś. Więc ludzie na rowery do autobusów albo okazją do Bełchatowa po jakieś jedzenie. Sera żółtego tu też nie uświadczy. Napoje przywieziono w ciągu dwóch tygodni dwa razy; raz, dwa małe pojemniczki soku pomarańczowego a 21 zł butelka. Sok gęsty, brudny, niesmaczny (chyba produkowany w Dwikozach), ale za to drogi i nie dla wszystkich. W środę, widać na lipcowe święto, przywieziono nieco więcej. Oranżadę i piwo. Każdy dostał po trzy butelki.

Polubiłam już nawet to wystawanie w kolejce po chleb. Zaprzyjaźniłam się z sąsiadkami i tak sobie myślę, że dobrze by było, żeby przyjechał tu Pan Minister Krasiński, albo inny Pan Minister (ten od reglamentacji alkoholu) i posłuchał, co kobiety z Wólki mówią na jego temat. Jak mu soczyście obrażają bliższą i dalszą rodzinę. Bardzo źle życzą Panu Ministrowi kobiety tutejsze, za co odkręcenie „wódopoju" przed żniwami. Z kim jak z kim, ale z kobietami wiejskimi to Pan Minister swojej decyzji nie skonsultował. A szkoda! Bo jak by skonsultował, to by usłyszał, że: „jak już chciał być taki dobry dla chłopów, to mógł dać na kartki po litrze, jak to było na święta i to nawet po wyższej cenie. A nie tak, żeby „spragnionym ludziom" przed żniwami dać wody, ile chcą".

Ściągnie wprawdzie przemysł monopolowy pieniądze od ludzi, ale jaki jest tego koszt społeczny? Mężczyźni piją, a robota spada na barki kobiet. Na drodze co rusz wypadek. To ktoś po pijanemu wpadł pod samochód, kogoś tam okradziono, jak po pijanemu spał w robocie. Leje się wóda w „spragnione gęby", a robota w polu czeka.

Więc jak to jest z tym „zielonym światłem dla rolnictwa" i z tym „kłosem na wagę złota"?

I jeszcze jedno — mówią tu, że „przy Łodzi" było lepiej. Może tak, a może nie, ale jedno wiem, że mrugające zielone światło to czysta gazetowa kokieteria.

A poza tym dobrze nam tutaj, wszyscy zdrowi, czego szanownemu gronu redakcyjnemu życzę. Zapraszamy do Wólki, byle z własnym chlebem i czymś do chleba. Wódka jest na miejscu, w Grocholicach, ile dusza zapragnie.

Serdecznie pozdrawiam
BARBARA WAŁKÓWNA

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki,** (z-ca sekretarza redakcji), **Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Beata Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (redaktor techniczny) **Jerzy Panasewicz** (z-ca redaktora naczelnego) **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego) **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter)

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Krystyna Namysłowska, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438. Łódź. Telefony, sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958. Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103, Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1497. F-5.

Co dalej ze związkami twórczymi?

Rozmowa z Grzegorzem SOKOŁOWSKIM, zastępcą kierownika Wydziału Kultury Komitetu Centralnego PZPR.

— W polu stałej obserwacji Towarzysza znajdują się środowiska twórcze, ich postawy ideowe i stanowiska polityczne. Jak wiadomo, niemała część twórców, negatywnie nastawionych do obecnej rzeczywistości, uznaje jedynie formy swego uczestnictwa w życiu artystycznym i społecznym za „dopuszczalne", inne zaś piętnuje jako „kolaborację". Czym to, Towarzyszu, tłumaczycie?

— Tak, z racji swoich zadań w Wydziale Kultury KC PZPR, obserwuję rozwój sytuacji w polskich środowiskach artystycznych. W naszym wydziale koncentruje się zresztą całość problematyki odnoszącej się do środowisk twórczych i ich organizacji — sprawy polityczne, twórcze, bytowe, zagadnienia upowszechniania kultury, itp.

Otóż prawdą jest, że w niektórych środowiskach twórczych szermuje się niekiedy oskarżeniem kolegów o „kolaborację". Jest to metoda walki politycznej o posmaku obrzydliwym, ze względu na reminiscencje okresu wojenno-okupacyjnego. Nie wolno jednak posługiwania się tego rodzaju niegodnymi metodami przypisywać całemu środowisku artystyczno-literackiemu. W Polsce występują bowiem dość wyraźne różnice ideowo-polityczne zarówno pomiędzy poszczególnymi środowiskami, jak i wewnątrz nich. Ci, którzy przylepiają innym wspomnianą etykietkę, stanowią mniejszość — ekstremalną i hałaśliwą, chociaż nie pozbawioną wpływów. Uprawia ona pewien rodzaj szantażu politycznego i wywiera presję psychiczną na ludzi niezdecydowanych, chwiejnych. Trzeba jednak stanowczo ocenić tę metodę walki jako niepraworządną, oznaczającą odmawianie innym prawa do głoszenia własnych poglądów i zajmowania indywidualnego stanowiska. Stosowane są również inne formy sprzeciwu, np. forma „emigracji wewnętrznej", polegająca na odmawianiu swego udziału w imprezach artystycznych, lub forma „bojkotu" niektórych państwowych instytucji artystycznych. Bojkot ten nie przeszkadza, aby ta sama osoba pobierała wynagrodzenie w innej państwowej instytucji artystycznej. A co przy tym znamienne, tę bezwzględną walkę z władzą prowadzą nieprzejednani w okresie zachodzącego przecież procesu normalizacji życia społeczno-politycznego i łagodzenia rygorów stanu wojennego, czego najświeższym przykładem są znane decyzje, ogłoszone w przeddzień Lipcowego Święta. Ponadto jesteśmy też w trakcie przywracania działalności organizacji i stowarzyszeń twórczych, z których większość już działa, a obecnie dyskutowane są sprawy reaktywowania działalności Stowarzyszenia Filmowców Polskich i Związku Literatów Polskich.

— Od czego w obecnym momencie zależą rozstrzygnięcia w sprawie wspomnianych stowarzyszeń?

— Proces reaktywowania stowarzyszeń i jego tempo zależą od wielu czynników, głównie od sytuacji społeczno-politycznej w kraju i w środowiskach twórczych. Stanowisko władz zależy w istotnym stopniu od tego, jak silny posłuch daje się tu czy tam opozycji antysocjalistycznej i ekstremalnym działaczom „Solidarności".

— Ale czy te postawy pozostają niezmienne, czy też ewoluują w określonym kierunku, a ponadto czy zmieniają się postulaty i warunki wysuwane wobec władz przez zarządy stowarzyszeń?

— Jak wiadomo, pomiędzy Sierpniem a Grudniem przeprowadzono we wszystkich środowiskach twórczych wybory i wybrano nowe władze, do których, pod wpływem sytuacji ogólnej weszli w znacznej części ludzie, którzy opowiadali się za „Solidarnością". I nic w tym dziwnego, ani — że tak powiem — zdrożnego, całe bowiem społeczeństwo przeżywało wówczas silne emocje i wiązało duże nadzieje z powstaniem niezależnych związków zawodowych. Ale dziś, kiedy znany jest każdemu, kto chce to poznać, cały rozwój sytuacji politycznej w kierownictwie „Solidarności", aż do końcowych, groźnych wystąpień w Radomiu i Gdańsku, kiedy wiadomo już o wpływie na „Solidarność" nielegalnych organizacji antysocjalistycznych, jak KOR i KPN, i kiedy znamy obraz bezpośredniego zagrożenia państwa i spokoju społecznego ze strony tych, którzy, powodowani ambicjami, sięgali po władzę, trudno zrozumieć i usprawiedliwić postawę, która wszelkie zło usiłuje przypisywać władzom PRL, nie licząc się z istniejącymi jeszcze do dziś zagrożeniami dla państwa i narodu. Więc chociaż postawy przeważającej części środowisk twórczych ewoluują w kierunku realizmu politycznego i narodowego współdziałania, to jednak stanowisko niektórych osób spośród zarządów zawieszonych związków i stowarzyszeń utrudnia, jeśli nie uniemożliwia reaktywowanie czy to ZLP, czy SFP pod dotychczasowym kierownictwem.

— Jakich gwarancji czy deklaracji lojalności oczekuje władza polityczna od wybranych przed Grudniem zarządów? Macie przecież pewne doświadczenia i wyciągnęliście chyba jakieś wnioski z reaktywowania Związku Polskich Artystów Plastyków...

— No, właśnie. Po reaktywowaniu ZPAP okazało się, że Prezydium i ZG ZPAP, niepomne przyczyn, które doprowadziły do zawieszenia Stowarzyszeń, wysunęły od razu pod adresem władz szereg żądań nie uwzględniających realiów warunków politycznych.

— Można więc przypuścić, że władze polityczne, konsultując się zapewne z POP przy ZPAP, nietrafnie oceniły sytuację w tym Stowarzyszeniu przed powzięciem decyzji o reaktywowaniu...

— Może i nie w pełni trafnie. W ZPAP działa szereg organizacji partyjnych. Niektóre z nich, w oparciu o własne analizy sytuacji w swych środowiskach, zwracały się z wnioskami o reaktywowanie związku. Władze, podejmując decyzję kierowały się tymi opiniami oraz interesem całego społeczeństwa plastyków. Niestety, interesy te nie znajdują, jak dotąd, pełnego zrozumienia w Prezydium ZG ZPAP, co utrudnia rozwiązywanie szeregu istotnych dla środowiska problemów. Jesteśmy przekonani, że w ZPAP postępować będzie dalsza ewolucja. Jest w tym związku bowiem wielu dojrzałych i doświadczonych działaczy.

Warto tu przypomnieć wszystkim, których to dotyczy, że zgodnie z obowiązującym do dziś rozporządzeniem Prezydenta RP z 1932 roku, na mocy którego działają i są rejestrowane stowarzyszenia twórcze, władze państwowe są uprawnione do tego, by żądać wycofania się stowarzyszenia z niezgodnych z prawem uchwał. Treść tego rozporządzenia powinna być znana członkom wszelkich władz stowarzyszeniowych. Rzecz nie sprowadza się więc do „deklaracji lojalności" jako wstępnego warunku reaktywowania, a także do przestrzegania obowiązujących praw.

— Jak widzicie, Towarzyszu, rolę i miejsce związków i stowarzyszeń twórczych, zwłaszcza na tle utrzymującego się impasu w tych dwu ważnych stowarzyszeniach. Jakie są, Waszym zdaniem, szanse reprezentowania środowiska literackiego przez kilka, zamiast dotychczasowej jednej organizacji twórczej?

— Nie zapominajmy, że jest to przede wszystkim sprawa samego środowiska, które — prędzej czy później — wypowie się za określonym rozwiązaniem. Weźmy jednak pod uwagę, że w Polsce Ludowej, podobnie jak w innych krajach socjalistycznych, ukształtował się model jednej organizacji twórczej dla całego środowiska uprawiającego daną dziedzinę sztuki. W krajach kapitalistycznych, albo nie ma nieraz żadnych organizacji twórczych, albo działają zazwyczaj mniej czy bardziej liczne i na ogół niewielkie związki ludzi o podobnych przekonaniach politycznych, a czasami o wspólnym programie artystycznym.

Uważam, że u nas, jeśli już miałaby być, zgodnie z naszymi tradycjami, to powinna działać jedna organizacja twórcza dla każdego środowiska, a więc powinna ona odzwierciedlać wszystkie tendencje i poglądy występujące w tym środowisku. Pomiędzy Sierpniem a Grudniem kampanię wyborczą wygrała jedna orientacja polityczna, ale można chyba wątpić, czy wówczas wybrane władze odzwierciedlają również dzisiaj poglądy ogółu środowiska, a w każdym razie wszystkie poglądy i orientacje.

— A czy to oznacza, że niewielkie są obecnie nadzieje na reaktywowanie ZLP i SFP?

— Zarówno Wydział Kultury KC PZPR, jak i Ministerstwo Kultury i Sztuki, organizacje partyjne tych środowisk oraz większość wypowiadających się pisarzy i filmowców stoi na stanowisku utrzymania obu tych stowarzyszeń jako jedynych reprezentantów środowiska, a przy tym — jeśli chodzi o ZLP — mówi się wprost o potrzebie powrotu do „Iwaszkiewiczowskiej" formuły ZLP, który w interesie środowiska i literatury utrzymywał współpracę z władzami państwowymi, a w sprawach wewnątrzzwiązkowych uznawał i praktykował zasadę „koalicyjności" władz związku i consensusu w przyjmowaniu uchwał. W ZLP sytuacja jest trudna między innymi z tego powodu, że w zarządzie znaleźli się członkowie antysocjalistycznej organizacji, jaką był KOR.

— Jakie więc powinno być, Waszym zdaniem, oblicze stowarzyszeń twórczych w systemie politycznym PRL?

— Spójrzmy na to szerzej. Władze, które po Sierpniu poddane były ciągłemu naciskowi i próbom destrukcji, muszą mieć czas na przygotowanie takich zmian, które odpowiadać będą zarówno społeczeństwu, jak i środowiskom twórczym. Wydział Kultury KC PZPR, wraz z POP stowarzyszeń twórczych pracuje nad sprecyzowaniem programu działania w celu realizacji nowej polityki kulturalnej państwa, polityki określonej w uchwale IX Zjazdu Partii, która proponuje zdecydowanie inny niż dawniej program dla kultury, bardziej demokratyczny i sprawiedliwy — przywracający klasowy charakter poczynaniom państwa we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego. Chodzi więc głównie o zaspokajanie potrzeb ludzi pracy najbardziej kultury spragnionych: klasy robotniczej, wsi, a ponadto młodzieży. Liczymy na to, że pomocnym instrumentem w realizacji tej polityki okaże się reforma gospodarcza. Równocześnie uważnie obserwujemy te zagrożenia, jakie reforma mogłaby wywoływać w postaci spłycenia treści kulturalnych i obniżenia poziomu artystycznego oraz utrudnienia sytuacji materialnej środowisk twórczych. Uważamy, że umocnienie mecenatu państwowego powinno skutecznie zapobiegać tym zagrożeniom.

Wśród tych uwarunkowań będą działać stowarzyszenia twórcze, których członkowie korzystać będą nie tylko z należnych każdemu twórcy swobód artystycznej wypowiedzi, ale także z przysługującego każdemu obywatelowi prawa opiniowania posunięć rządu. Oznacza to możliwość dyskutowania w swoich gremiach o wszystkich sprawach ważnych dla życia społeczno-politycznego, wyrażania własnych, nieskrępowanych poglądów, a więc także wysuwania wniosków i postulatów pod adresem rządu. Przecież i w tej chwili ze zrozumieniem traktuje się różne formy żądań politycznych, nawet i te, które dotyczą zniesienia stanu wojennego, ponieważ są to pragnienia naturalne i powszechne, tak samo silne w środowiskach popierających władzę. Z jedną tylko rzeczą nie można się pogodzić, a mianowicie z niesłusznymi aspiracjami niektórych członków władz i działaczy stowarzyszeń twórczych, inspirowanych niekiedy z zewnątrz, aby organizacje te, wbrew swym statutowym celom, wyzbywały się własnej osobowości i odgrywały rolę partii politycznych.

— Dziękuję Towarzyszowi za rozmowę.

Rozmawiał: JERZY KWIECIŃSKI

Pierwsza dama czy trudna rze— czywistość

Rozmowa z dyrektorką Miejskiej Biblioteki im. Ludwika Waryńskiego w Łodzi — ELŻBIETĄ CIEPŁUCHĄ.

Dziś nazywa się książkę artykułem pierwszej potrzeby. Książka jest poszukiwana. Jest droga i staje się jeszcze droższa. Ukazuje się w niewielkich nakładach. Jest wielu ludziom niezbędna. W tej sytuacji wzrasta kulturalna rola bibliotek. Kto nie może dostać książki albo go na nią nie stać, może i powinien znaleźć poszukiwaną książkę w bibliotece.

— Czy biblioteki nie mają trudności z kupowaniem książek?

— Mają i to jeszcze jakie.

— Ale mają też pierwszeństwo zakupu książek. Skąd więc te trudności?

— Miały pierwszeństwo zakupu. W 1975 roku podpisano taką umowę między Ministerstwem Kultury i Sztuki a Zjednoczeniem Księgarstwa, która dawała bibliotekom to pierwszeństwo.

— I umowa ta była realizowana?

— Przez pewien czas tak. Później o niej zapomniano. I dziś bardzo często nowości nie trafiają do biblioteki, a jeśli nawet trafiają, to zaledwie w jednym egzemplarzu. Nim więc książka dotrze do rąk kolejnego poszukującego ją czytelnika, już nie jest nowością.

Ale to nie wszystko. Bibliotekarz powinien kształtować zamówienia na podstawie „Nowości Wydawniczych". I przeważnie tak robi. Wypisuje tytuły i ilości egzemplarzy książki, którą chciałby kupić dla biblioteki. Zamówienie składa w księgarni. Czeka. I nie dostaje tego, co zamówił. W ubiegłym roku na przykład, na 241 zamówionych tytułów książek ukazało się 46. Jak więc tu można w sposób planowy wzbogacać księgozbiór, jak można pracować w oparciu o zapowiedzi wydawnicze?

— Czy uwagi bibliotekarzy docierają do księgarzy?

— Niedawno bibliotekarze spotkali się z księgarzami. My im o tym, że nie dostajemy książek niskonakładowych, że kupuje je kto inny. A oni nam, że składają zamówienia i nie dostają tego, co zamawiają. Nie mogą więc obdzielić sprawiedliwie wszystkich.

— Indywidualny klient, bibliofil, nauczyciel, pracownik nauki, pisarz powinien mieć możliwość kupienia interesującej go książki.

— Nie kwestionuję tego. Ale w bibliotece z książki skorzysta jednak więcej osób.

— Jakie jest więc wyjście z tej sytuacji?

— Wysunęliśmy sugestię, żeby powołać przedsiębiorstwo, które zajmowałoby się tylko zaopatrywaniem bibliotek. Wtedy część nakładu książek docierałaby do nas przez to przedsiębiorstwo i nie byłoby zamieszania i kłopotów.

— Pomysł może i dobry, ale część książek dzięki temu w ogóle nie trafiłaby do księgarń, a przez to do ludzi, którym często takie książki są potrzebne do pracy.

— Mieliby jednak gwarancję, że mogą je wypożyczyć w bibliotece. Ale nie ma obawy. Takie przedsiębiorstwo szybko nie powstanie. A może w ogóle.

— Dlaczego?

— Powód jest prosty. Jak to zwykle u nas, nie ma kto się tym zająć. Nie podejmie się takiej decyzji w Łodzi, ani w żadnym innym ośrodku. Musi to być rozwiązanie centralne, dla całej Polski. A skoro nie ma kto się tym zająć, to i nic z tego nie będzie.

— Ile jest bibliotek w województwie miejskim łódzkim?

— 155 bibliotek i 241 punktów bibliotecznych.

— Czy jest to ilość wystarczająca?

— Jeśli weźmiemy za podstawę normatyw, a mówi on, że na każde 10.000 mieszkańców, przy zabudowie zwartej, powinna być jedna biblioteka, a przy zabudowie rozproszonej na 5.000 mieszkańców, to potrzeba nam jeszcze 20 bibliotek.

— A jak to wygląda na wsi?

— Tu normatyw mówi, że jedna biblioteka powinna obsługiwać od 1.500 do 2.000 mieszkańców. Na wsi jednak problemem są przede wszystkim warunki, w jakich pracują biblioteki. Statystycznie jedna biblioteka ma 40,6 m kw., ale w praktyce bywają również biblioteki o 20 m kw. Niektóre w dodatku pracują w walących się budynkach.

— Statystyka i tak nam o wszystkim nie powie. Czy wszędzie czytelnikom jest równie blisko do biblioteki?

— Mówiąc najkrócej, najlepiej jest w Śródmieściu, potem na Polesiu, najgorzej na Widzewie. W województwie najlepsza sytuacja jest w mieście i gminie Aleksandrów i w Strykowie, najgorzej w gminie Zgierz.

— W Łodzi, na Polesiu mamy ogromną Retkinię, na Widzewie — osiedle Widzew — Wschód. Czy w tych nowych osiedlach jest wystarczająca ilość bibliotek?

— Na Retkini oddano mieszkania na 3 biblioteki, czwartą, również w pomieszczeniu mieszkalnym, właśnie się organizuje. Na Widzewie — Wschodzie natomiast nie ma do tej pory ani jednej biblioteki. Ja wiem, że mieszkań jest mało, i że mieszkanie nie nadaje się na bibliotekę, ale te placówki w osiedlu są niezbędne. Jeśli więc jest to rozwiązanie doraźne i tymczasowe, to też się jednak liczy. Może więc i tą drogą poszliby widzewscy gospodarze.

— Z praktyki wiemy, że rozwiązania prowizoryczne bywają czasem bardzo trwałe. Jakie są szanse, że sytuacja się poprawi?

— W latach 60 biblioteki zaliczane były do usług podstawowych, dzisiaj zalicza się je do urządzeń kulturalnych. Skutek jest taki, że przeznacza się na biblioteki nieodpowiednie pomieszczenia. Powinny one mieć na przykład od 600 do 800 m kw. powierzchni, a mają czasem 100 m kw. W takich warunkach nie mogą spełniać należycie swoich zadań. A trzeba pamiętać, że dziś biblioteki nie są już tylko wypożyczalniami książek, ale instytucjami kulturalnymi. Mało kto jednak o tym myśli. Wystarczy powiedzieć, że są biblioteki bez telefonu i bez maszyny do pisania. Nie będę mówiła już o kadrze, o magazynach na książki. Bibliotece im. L. Waryńskiego otrzymała ostatnio dodatkowe pomieszczenia. Jest to jednak rozwiązanie na 5 lat. A co później?

— Złośliwie można byłoby powiedzieć, że to dobrze, iż macie kłopoty z kupowaniem nowych książek.

— Określone przepisy zobowiązują nas do kupowania w ciągu roku 18 woluminów na 100 mieszkańców. W Łodzi ten wskaźnik wynosi od 12,5 do 14 woluminów. I to jest sytuacja niemal najgorsza w kraju. Statystycznie lepiej wygląda to na wsi, ale tylko dlatego, że jest tam mniej mieszkańców.

— A macie za co kupować?

— Teoretycznie, tak. Dostajemy bowiem dodatkowe pieniądze z Ministerstwa Kultury i Sztuki, z nadwyżek budżetowych miasta. Ale dostajemy je późno i dlatego nie zawsze można je wydać celowo. Obecnie mamy pieniądze. Ale również dlatego, że pierwsze zakupy książek w tym roku były częściowo po starych, a więc niższych cenach. No, a poza tym nie bardzo jest w tej chwili co kupować.

— A ceny czasopism? Czy podwyżka cen czasopism nie wpłynęła na ograniczenie ilości zakupywanych tytułów?

— Biblioteki musiały zrobić ograniczenia. Ale to nie wszystko. Jeśli chodzi o biblioteki wojewódzkie, to nie dostają również wielu zagranicznych czasopism naukowych. Powstają więc luki w zbiorach. Biblioteki w województwie są centrami informacji naukowej i przy brakach niektórych czasopism naukowych nie mogą należycie spełniać swojej roli.

— Bibliotekarze mają najlepsze rozeznanie, czego poszukują czytelnicy. Sygnały od was powinny być dla wydawców wskazówką, co, kiedy i w jakich ilościach należy wznawiać.

— Oczywiście, że powinny. Ale chyba nie są, jeśli się patrzy na wznowienia. Zastanawiam się, czy my w ogóle mamy jakąkolwiek politykę wznowień. Bywa przecież i tak, że książka tego samego autora ukazuje się jednocześnie w kilku seriach, wydawanych przez różne oficyny. Wydaje się też książki, które potem leżą na półkach i nie mają zbyt wielu czytelników. Patrząc na niektóre wznowienia można dojść do wniosku, że państwo daje w ten sposób zapomogę pisarzowi, który już nic więcej nie napisze, ale z czegoś musi żyć. A tymczasem nie wznawia się wszelkich wydaw-

Foto: M. Zajdler

Pierwsza dama czy trudna rze— czywistość

Dokończenie ze strony 3

nictw encyklopedycznych, książek dla dzieci i młodzieży, nie wznawia się lektur szkolnych, klasyki. Nie wznawia się wreszcie książek dla hobbystów, książek-poradników, które służą ludziom różnymi radami praktycznymi, dziś tak potrzebnymi.

No więc zastanawiam się, czy stać nas na taką politykę wydawniczą.

— Przejdźmy do innych spraw. Czy książka szybko dociera do biblioteki? O ile informacja o książce wyprzedza ją samą?

— Czytelnik ma już dziś swoje upodobania. Przychodzi do biblioteki po określoną książkę, określonego autora. Śledzi wszelkie zapowiedzi wydawnicze. Te informacje docierają do niego z prasy, radia, z telewizji. Są one bardzo potrzebne, ale powinny się ukazywać wtedy dopiero, gdy książka dociera do księgarni i biblioteka może ją zakupić. Ale praktyka jest taka, że np. telewizja reklamuje książkę natychmiast po otrzymaniu egzemplarzy sygnalnych z wydawnictwa, kiedy nie ma jej jeszcze w księgarni, albo jest tylko w Warszawie, a nie w innych rejonach kraju. Czytelnik przychodzi do biblioteki i domaga się tej książki. Bibliotekarz mówi — nie ma, więc czytelnik winí bibliotekarza, że jest nieudolny, że nie potrafi tej książki zdobyć. A przecież tutaj wina bibliotekarza jest najmniejsza.

— Mimo tak wielkich trudności biblioteki muszą pełnić swą kulturalną rolę, i to coraz większą, bowiem wielu czytelników, którzy kupowali książki, teraz będzie zmuszonych korzystać z bibliotek, bo ich po prostu nie będzie stać na kupowanie wielu pozycji. Ale książka w bibliotece krąży z rąk do rąk. I wiadomo, że nie jest trwała, bo to i papier lichy, i wykonanie podłe. Będzie się więc szybko niszczyła.

— My postulujemy od dawna, aby wydawnictwa część nakładu przewidywały specjalnie dla bibliotek, i aby ta część książek zrobiona była w drukarniach i introligatorniach solidniej i staranniej. Wtedy książka będzie trwalsza i dłużej będzie służyć czytelnikowi. Tutaj pozytywną rolę odegrałoby owo przedsiębiorstwo, o którym już mówiłam, a które zajmowałoby się sprzedażą książek wyłącznie dla bibliotek. Ale czy tak będzie?

W hasłach bibliotekę traktuje się jako pierwszą damę kultury. Jak na razie, są to w dalszym ciągu tylko hasła.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ ■

Foto: Mirosław Zajdler

EUGENIUSZ IWANICKI

„A nad Pichną chmury..."

Zduńska Wola, jak cały kraj, boryka się dziś z wieloma trudnościami, a jej społeczność trapią dotkliwe ograniczenia. W latach rozkwitu „propagandy sukcesu", kiedy funkcjonowała, jako miasto wydzielone, rozpoczęto tu wznoszenie, w ramach „drugiej Polski" — „drugiej Zduńskiej Woli". I byłoby wszystko w porządku, bowiem funkcjonował tu dobrze rozwinięty przemysł włókienniczy, była autentyczna klasa robotnicza, były wieloletnie tradycje — gdyby zamiast pięknych haseł, dano pieniądze na ową „drugą Zduńską Wolę".

Ów propagandowy zapał pozostawił po sobie sporo inwestycyjnego rozgardiaszu i niespełnionych, do końca, marzeń.

Przypomnijmy: miasto posiada ZPB „Zwoltex", ZPW „Wolanę", ZPDz. „Wolę", Fabrykę Maszyn Włókienniczych „Polmatex — Wolmę", Zakłady Meblarskie, PMIM „Izolację", kilka spółdzielni pracy i szereg innych, pomniejszych przedsiębiorstw. Co dzień około 10 tysięcy osób staje przy maszynach, krosnach, stołach montażowych, na rozjazdach kolejowych (od 1973 r. przyłączono bowiem do miasta kolejowy węzeł w Karsznicach)... Miasto rośnie, pęka w administracyjnych szwach, powstały i powstają nowe dzielnice, przybywa ludzi.

Wszystko się zmienia, nie podlegają jedynie zmianie problemy, których rozwiązanie wymaga lat pracy i sporej sumy pieniędzy. Dziś miasto zajmuje 25 km kw, jego ulice rozciągają się na 132 km (z czego połowę stanowią ulice o nawierzchni gruntowej), wiele domów, nawet wzdłuż pryncypialnej promenady, jaką stanowi ulica Łaska, aż się prosi o spychacz (dla przypomnienia: w minionej pięciolatce nie oddano zaplanowanych 155 mieszkań).

Nie raz pisałem o tym mieście. Pisałem pełen szacunku dla ludzi tu mieszkających, ale i przepełniony goryczą dla działań mających tu miejsce. W swoich artykułach poddawałem krytyce stosunek władz wojewódzkich do Zduńskiej Woli, wołałem o pomoc dla służby zdrowia, apelowałem o poprawę warunków w istniejącym szpitalu, o nowe przychodnie, o żłobki, o pawilony handlowe na powstających osiedlach: domagałem się internatów dla dojeżdżającej młodzieży szkolnej, wołałem o wodociąg i kanalizację, o ciepło z centralnej kotłowni dla całego miasta...

Ostatni raz o tych problemach pisałem rok temu. A co zmieniło się od tego czasu na lepsze? Właściwie nic. Na osiedlu Zachód, gdzie docelowo zamieszka ponad 5 tys. ludzi nadal jest jedna jedyna szkoła podstawowa z ośmioma izbami do nauki (jest to szkoła tzw. typu wiejskiego). Owszem, jest w planach nowa szkoła, ale te plany leżą z Zduńskiej Woli od kilku lat i zanosi się na to, że przeleżą jeszcze kilka kolejnych pięciolatek. Podobnie jest na osiedlu Osmolin, gdzie władze oświatowe stanęły przed problemem: jak w nowym roku szkolnym zmieścić wszystkie dzieci w istniejących tam szkołach? W rejonie osiedla Południe w niedługim czasie powstanie nowe osiedle mieszkaniowe. Przybędzie sporo dzieci. Zanim wybuduje się nową szkołę (jest w planach, a plany, wiadomo, mają to do siebie, że się ich nie realizuje w terminie) dzieci będą gnieździć się w starej szkole i kto wie czy nie stanie się ona wówczas trzyzmianową. Ogółem w Zduńskiej Woli do 11 szkół podstawowych uczęszcza 5.026 dzieci (w tym jest aż 21 tzw. oddziałów przeznaczonych dla sześciolatków).

Niewiele zmieniło się przy budowie „Elektrociepłowni „Zduńska Wola" w budowie. Rok temu pisałem, że ta budowa jest problemem nr 1 dla miasta. Stąd popłynie ciepło dla „Izolacji", „Zwoltexu", „Woli", „Fadomu", „Malteksu", młynów, do Instytutu Zwalczania Pryszczycy, ciepło otrzyma cała gospodarka komunalna oraz część domów prywatnych. Ale budowa EC kuleje. Owczesne władze głównego wykonawcy PBEiP „Energoblok" w Koninie bardzo opieszale wywiązywały się z przyjętych zobowiązań. Teraz w „Energobloku" nastąpiły zmiany personalne. W Zduńskiej Woli w ludzi wstąpiła nadzieja. Może teraz coś się ruszy! Przecież w IV kwartale br. ma nastąpić rozruch EC! Jednak nadal są opóźnienia w realizacji inwestycji w stosunku do założonego harmonogramu. Sięgają one już 2—3 miesięcy i dotyczą budynku głównego EC oraz urządzeń towarzyszących i zaplecza. Czyli praktycznie wszystkiego. Tylko ten, kto mieszka w Zduńskiej Woli, może w pełni ocenić znaczenie przyszłej EC. Przecież istniejąca kotłownia miejska jest tak wyeksploatowana, że zgodnie z ekspertyzą NOT, nie powinna dłużej pracować, remonty kotłów są nieopłacalne, wymiana ich na inne, także nie wchodzi w rachubę, bo dziś takich się już nie produkuje. Do tego znajduje się ona w centrum miasta i w znaczny sposób zanieczyszcza środowisko pyłami. Natomiast istniejące kotłownie na osiedlach już w założeniach były budowane jako prowizoryczne, bez odpowiedniego zaplecza, z założonym w projekcie ujemnym bilansem ciepła, co oznacza, że w zimie pomieszczenia będą niedogrzane, a przy większych mrozach nie będzie ciepłej wody, ponieważ całe ciepło zostanie zużyte na ogrzewanie.

Zmieniło się także sporo w ciągu roku w przemyśle. Zmieniło się na gorsze. Nie do rozwiązania nadal pozostaje sprawa surowców. Oto w „*Wolanie*" w I półroczu wykonano niemal plan roczny (z 2.400 tys. m tkaniny wyprodukowano 1.163 tys. m). W IV kwartale może być tragedia: nie ma już surowca, który sprowadzano z Austrii i Nowej Zelandii. Dotychczas szedł stąd eksport do Iranu, teraz na wysyłane tam telexy nadchodzą odpowiedzi, że taki to a taki kontrahent został powołany do wojska i kontakt z nim jest niemożliwy. Więc kolejne straty. Tak więc surowce są barierą dla wielkości produkcji. Dyrekcja za sukces uważa fakt, że dotąd w „Wolanie" nie było przestojów. Ale w IV kwartale chyba się tego nie uniknie. Dyrekcja co prawda stara się temu zapobiec i ostatnio zaciągnęła nawet pożyczkę bankową w wysokości 70 tys. dolarów na zakup chemikaliów, barwników, części zamiennych. Jest to jednak działanie na dziś, a co jutro?

Teraz „Wolana" dyskutuje nad następującymi sprawami: nad Uchwałą nr 135 Rady Ministrów w sprawie zasad wynagradzania pracowników w 1982 r. oraz nad reaktywowaniem Samorządu Robotniczego. Wspomniana uchwała zezwala na podniesienie najwyższych zarobków w ramach posiadanych przez zakład środków wynagrodzenia. A co do samorządu, to należy sądzić, że lada dzień zostanie reaktywowany, gdyż jest zgoda macierzystych organizacji partyjnych na poszczególnych oddziałach i zespołu doradców robotniczych dyrektora. Będzie to w „Wolanie" już trzecie „S".

Poważne problemy ma Spółdzielnia Pracy „*Lipcowy Zryw*" — producent konfekcji damskiej lekkiej i bielizny pościelowej. Tu akurat są surowce, ale nie ma dodatków: nici (produkowane są z bawełny importowanej, a że nie ma bawełny, więc etc.). Ocenia się, że w całym przemyśle odzieżowym niedobór nici sięga dziś jednego kwartału.

Ważnym zakładem dla miasta jest Spółdzielnia Inwalidów „*Bojownik*", zajmująca się przetwórstwem z tworzyw termoutwardzonych i produkcją części zamiennych z branży elektrotechnicznej. 77 proc. załogi to inwalidzi. Istniała obawa, że wprowadzenie reformy może zachwiać spółdzielczością inwalidzką, bowiem wynagrodzenia byłyby równe dla wszystkich: i dla tych z „normalnych" zakładów, i dla tych z „inwalidzkich", co w pewnym stopniu dyskryminowałoby ludzi niepełnosprawnych. Jednakże Komitet Gospodarczy Rady Ministrów podjął w *dniu 28.IV.82 r. Uchwałę w sprawie zapewnienia* stabilizacji warunków działania w roku 1982. Uchwała zobowiązuje ministrów poszczególnych resortów do utrzymania kooperacji ze spółdzielczością inwalidzką (zduńskowolski „*Bojownik*" kooperuje z 75 dużymi zakładami w kraju), a spółdzielczość inwalidzką do zatrudniania inwalidów, szczególnie ciężko poszkodowanych. Niestety i tu brak materiałów do produkcji dał się we znaki. Nie ma bowiem tworzyw sztucznych, lakierów, śrub, wkrętów. Ale i tak jakoś się pracuje, są nawet jeszcze wolne miejsca pracy. Zarząd jak może tak pomaga tym ciężko doświadczonym ludziom, zabiega o przydziały dla nich pralek, lodówek itp., o które dziś równie trudno jak o surowce.

Ale Zduńska Wola to nie tylko przemysł, to także prężny ośrodek kultury robotniczej. Nie miałem jakoś dotąd okazji o tym pisać, a przecież warto. Sądzę, że temu tematowi trzeba będzie w przyszłości poświęcić odrębną publikację. Dziś parę zdań o TOWARZYSTWIE PRZYJACIÓŁ ZDUŃSKIEJ WOLI. Działa od roku 1975 i ma swoją filię w Warszawie. Zaraz, na starcie, działacze z TPZW zabrali się do prostowania pewnych, dla postronnych może nieważnych, lecz dla miasta istotnych, wykrzywień. Otóż po podziale administracyjnym kraju, zasłużona Miejska Biblioteka Publiczna stała się nagle Biblioteką Publiczną w Zduńskiej Woli Oddział Rejonowy Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Sieradzu. I przydługie to i trąciło zamiłowaniem do biurokracji. Toteż zażądano przywrócenia bibliotece, adekwatnej do jej miejsca działania, nazwy. Wystąpiono także z wnioskiem, by przywrócić, stosowany do 1960 r. herb Zduńskiej Woli wyobrażający Prawdzica i Ostoję, znak heraldyczny założycieli miasta. Jednocześnie przypomniano, że stąd przecież wywodził się pisarz Janusz Teodor Dybowski, kompozytor i skrzypek Józef Rezler, prof. dr Tadeusz Kobusiewicz, malarz Herman Bertold, że ze Zduńską Wolą związany był, poprzez przyjaźnie, Jerzy Szaniawski (dziś Miejska Biblioteka Publiczna nosi imię tego wybitnego polskiego dramaturga i pisarza) itp. A obok tego TPZW organizuje „*Biesiady*" poświęcone wybitnym i ciekawym ludziom pozostającym w bliskich kontaktach z miastem, „*Spotkania z poezją*", odczyty, wydaje druki okolicznościowe i druki o charakterze propagatorsko-informacyjnym. Zasługą TPZW jest także, już drugi z kolei, konkurs na fraszkę o Zduńskiej Woli. W tym roku przewodniczy grupie jurorów Witold Filler, naczelny redaktor „Szpilek". Ze względu na fakt, że miasto posiada własną szkołę plastyczną, odbywają się tutaj plenery, wernisaże, wystawy.

Inicjatyw jest wiele, co roku przybywają następne. W planach jest przewodnik po Zduńskiej Woli, album fotograficzny, „*Bibliografia Zduńskiej Woli*", nadanie jednemu ze statków Polskich Linii Oceanicznych nazwy „*Zduńska Wola*", kolejne spotkania z poezją, kolejne wystawy plastyczne, monografie różnych instytucji użyteczności publicznej... A wszystko to dzięki ludziom, społecznikom rozmiłowanym w swoim mieście, zapaleńcom i pasjonatom takim jak dr STEFAN CHMIEL, poeta FELIKS RAJCZAK (tegoroczny laureat nagrody województwa sieradzkiego, mgr JERZY KOZŁOWSKI, ZOFIA NIERADKO, jak gorący rzecznik każdej inicjatywy wychodzącej z miasta, działacz partyjny, I sek. KM partii ZDZISŁAW PAPROCKI, jak uważny i szczodry opiekun poczynań TPZW, naczelnik miasta mgr STEFAN WARULIK, jak wielu innych mieszkających w Zduńskiej Woli i daleko poza jej granicami.

Kiedy pokazał mi Feliks Rajczak plany pracy TPZW, kiedy zaczął mówić o tym jak to wertuje stare księgi, grzebie w pożółkłych fonałach, kopie się w starych dokumentach, by odnaleźć co się tylko da z dawnej historii miasta i jego mieszkańców, kiedy przedstawił mi program obchodów kolejnych „*Dni Zduńskiej Woli*", pomyślałem sobie, że mimo tysiąca trudności, mimo kłopotów z budownictwem, zaopatrzeniem, elektrociepłownią, surowcami dla przemysłu, miasto nie popadło w marazm, apatię czy rezygnację. Tu wre nieustające działanie, rodzą się coraz to nowe inicjatywy, trwa społeczna praca nad rozbudowywaniem tzw. nadbudowy czyli duchowych wartości narodu. To dobrze, że ludzie obok potrzeby mieszkania, czują potrzebę książki że chodzą w kolejki, ale odwiedzają wernisaże, że pracują do znużenia przy krosnach, ale potrafią bawić się w czasie „Dni Zduńskiej Woli". Ta ich potrzeba napawa dziś optymizmem, mimo chmur unoszących się nad Pichną. ■

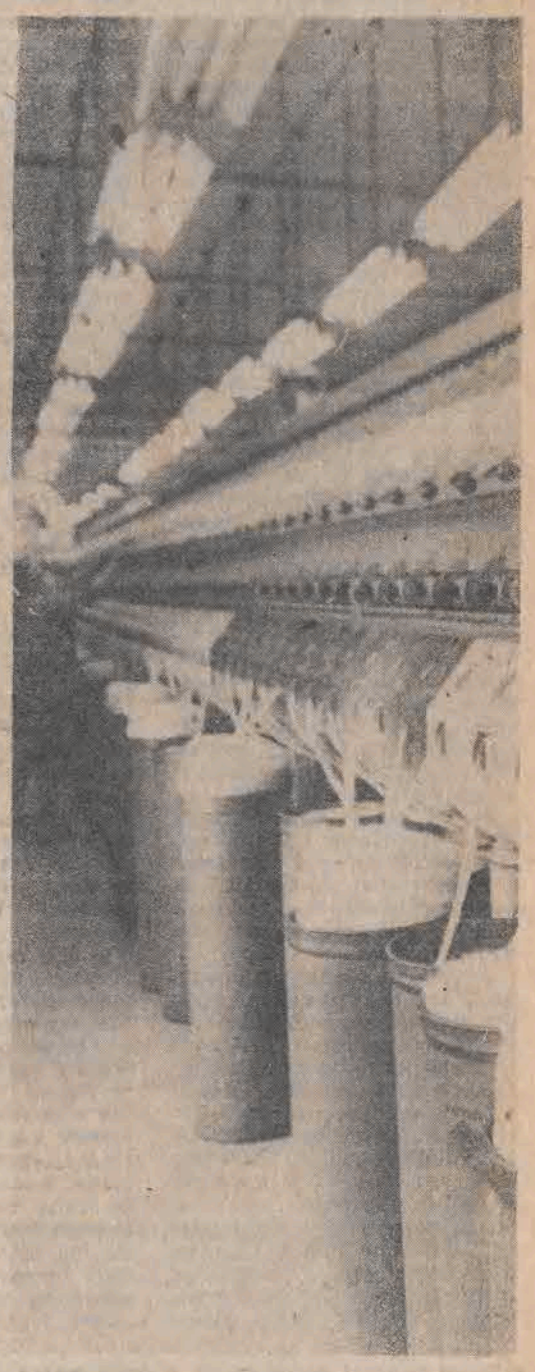

Pod młotkiem

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: M. Zajdler

Spółdzielcy mówią, że ostatnio świnie hodowane w Męce były całkiem niezłe. A chłopi twierdzą, że w Męce była prawdziwa męka dla zwierząt i dla spółdzielców. Świnie pływały w gnojówce, miały takie parametry, że swobodnie się mieściły w transporterze na piwo. I teraz hodowlą świń zajęli się fachowcy, czyli Zespół Opieki Zdrowotnej, karmiąc je odpadkami. Inicjatywa niezwykle cenna, miejmy przeto nadzieję, iż ów eksperyment wyjdzie na zdrowie świniom oraz dwunożnym pacjentom.

Pracownicy SKR w Sieradzu odetchnęli z ulgą, bo teraz mogą się zajmować wyłącznie usługami polowymi u chłopów, remontami warsztatowymi oraz dystrybucją drobiu poprzez koła gospodyń wiejskich. Odetchnęli, ponieważ zlikwidowali Zakład Gospodarki Rolnej, liczący ponad dwieście hektarów, w prawie dwustu kawałkach, rozrzuconych na terenie jednej z największych gmin w kraju, okalającej olbrzymim zielonym pierścieniem miasto Sieradz. Zostało jeszcze 20 hektarów, które kupią rolnicy, i po kłopocie.

Chopi kręcą sceptycznie głowami. Bo traktory eskaerowskie jeździły z hukiem po gminie, wlokąc za sobą maszyny rolnicze, szukały tych kawałków ziemi, ale niewiele było z tego pożytku. Albo nic nie rosło, albo rosło licho, nie wiadomo było, gdzie co posiane. Wiadomo natomiast, że sprzęt dokumentnie zdewastowany. Chłopi mają więc wątpliwości, czy SKR, chociaż nie zajmuje się już swoją ziemią, będzie miała czym uprawiać chłopskie grunty. I czy starczy jej pieniędzy na opłacenie swoich pracowników.

Prawda leży w danych statystycznych, z których wynika, że w województwie sieradzkim pod koniec ubiegłego roku działało 40 Spółdzielni Kółek Rolniczych. Ilość kółek rolniczych wzrosła, natomiast dochody spadły o prawie 178 milionów złotych w porównaniu z rokiem 1980. Obniżyła się znacznie wartość majątku trwałego SKR, zwłaszcza w takich maszynach, jak opryskiwacze, rozsiewacze wapna, kosiarki, sadzarki, roztrząsacze obornika, kopaczki elewatorowe, wiązałki, no i przede wszystkim — ciągniki. Nowego sprzętu się nie kupuje, a stary ulega stopniowej dewastacji.

Zatrudnienie zmalało o 7,1 proc., a spadek dochodów sięgnął 11 proc. Ogólnie w działalności gospodarczej „uzyskano" o 120 mln zł więcej strat, niż w roku 1980. Ujemny wynik finansowy można by tłumaczyć wzrostem płac o 97 mln zł, oraz podwyżką cen zaopatrzeniowych, głównie paliw, o 20 mln zł. Ale chyba nie usprawiedliwia tego fakt, że wskutek złego wykorzystania ciągników dochody maleją o prawie 200 mln zł.

Co robić, żeby było lepiej? Fachowcy twierdzą, że duże znaczenie mogą mieć bardziej elastyczne, urealnione ceny usług. Ponadto należałoby rozszerzyć rodzaj usług oraz poprawić ich jakość i terminowość, żeby zachęcić rolników do korzystania ze świadczeń SKR. Rentowność jest podstawą samofinansowania.

Ano właśnie. SKR pozbyły się ziemi, ale zawisła nad nimi groźba samofinansowania. Przy czym samodzielne i samorządne jeszcze nie są, o czym będzie poniżej. Zaczynają więc od spraw najprostszych.

Dyrektor SKR w Sieradzu, STANISŁAW SZEWCZYK, tak podchodzi do sprawy:

— *Przede wszystkim należy się pozbyć zużytego sprzętu. Maszyny są bardzo wyeksploatowane. Brak do nich części, rosną koszty remontów. Trudno wszystkiego upilnować, ostatnio zginęło kilka części, to koło, to wał, to jakiś drobiazg. Ale my za uzyskane pieniądze kupimy nowy sprzęt, który będzie służyć rolnikom.*

Zdecydowano się na przetarg ograniczony, który odbył się 14 czerwca w Biskupicach — jednej z siedmiu filii SKR Sieradz. Do sprzedania siedem ciągników oraz inny sprzęt: przyczepy, siewniki, wiązałki, pługi. Obejrzałem sobie to wszystko. Delikatnie mówi się, że sprzęt jest wyeksploatowany. On jest po prostu zdewastowany. A szczerze mówiąc to stały tam po prostu wraki ciągników na kołkach. Jeden był nawet przełamany na pół, przód leżał I aż dziw bierze, czym się kierowali w swej wycenie eksperci, bo średnio cena wywoławcza sięgała stu tysięcy złotych. Najstarszy z traktorów miał dziesięć lat.

— Panie dyrektorze, u rolnika ciągnik po piętnastu latach jest jeszcze na chodzie.

— *No tak, chłop bardziej dba. A ja zatrudniam obcych ludzi. Tak, mam też złych traktorzystów. Ale te rozjazdy, przejazdy przez Sieradz też robią swoje. I dużo małych działek, na których trudno pracować, bez przerwy się manewruje, sprzęt niszczeje...*

— *Pan wie, że my to kupimy, bo nie dostaniemy nowego* — mówi jakiś wąsaty chłop w spłowiałym berecie. — *Pan wie, że chłop wyremontuje ten wrak. A dlaczego nie zrobi tego SKR?*

— *Dla nas jest to nieopłacalne.*

— *Oczywiście! Najłatwiej pozbyć się starego, bo z nabyciem nowego nie macie trudności. A chłop będzie dłubał, szukał części, mozolił się miesiącami, bo to sprawa jego życia i śmierci. Musi budować swój warsztat pracy, żeby wyżywić siebie, rodzinę i ludzi z miasta.*

— *Jakie przedsiębiorstwo pan reprezentuje?* — pyta inny z chłopów.

— *Spółdzielcze* — odpowiada dyrektor.

— *A ja myślę, że państwowe. Myśmy pana nie wybierali, pana mianowano. Nam się na dodatek wmawia, że dyrektor jest związkowcem broniącym chłopskich interesów. Jak instytucja świadcząca usługi, zdzierająca z nas skórę, ma nas bronić?*

Dyrektor Szewczyk nie podejmuje dyskusji, żeby nie zaognić nastrojów przed samym przetargiem. Dyrektor musi dbać o samofinansowanie i sprzedać chłopom te zużyte maszyny. Ale do przetargu jeszcze kwadrans, a że kij wsadzono w mrowisko, przeto nie ustaje dysputa. Oto ogólnie szanowany przez sąsiadów rolnik, pan Piotr, mężczyzna słusznej postawy, siwowłosy, w marynarce świątecznej, pod krawatem, mówi głosem niemal tragicznym:

— *W Biskupicach powstało wzorowe kółko rolnicze, dające co roku ponad 200 tys. zł zysku. To myśmy wznosili te budynki, myśmy dawali wkład na zakup maszyn. I co się stało? Za Gierka odebrano nam samorząd, utworzono SKR, która przejęła nasze budynki i nasze maszyny. I po siedmiu latach z tego naszego wkładu zrobiła się ruina. I musimy teraz nasze własne pieniądze wykupywać po wyższej cenie, płacąc za wraki. Jakby nie było dość tego, żeśmy przez te lata płacili na Fundusz Rozwoju Rolnictwa, który szedł na pokrycie deficytu w SKR...*

— *Sam pan słyszy* — wtrąca działacz obecnego Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych. — *To co mówi Piotr, choć on innych poglądów, sama święta prawda. Popieram go i stwierdzam, że chłop nie powinien płacić na Fundusz Rozwoju Rolnictwa.*

— Więc kto?

— *A te wszystkie zakłady, co mogą, a nie chcą produkować sprzętu dla rolnictwa! Po co chłop ma płacić na przedsiębiorstwa, które nie pomagają wsi?*

— *Ludzie, czy ja chciałem być jakimś związkowcem?* — rzuca z goryczą dyr. Szewczyk. — *Mnie wrobiono w to odgórnie. A teraz muszę robić wszystko, żeby wam wyświadczyć terminowo usługi, po godziwej cenie, bo inaczej z całą tą SKR pójdziemy z torbami.*

— Jak pan nie wykona w terminie zamówionej usługi, to na chłopskim polu nie urośnie, chłop straci. A pan weźmie pieniądze, żadnej kary, żadnej odpowiedzialności.

Szewczyk zaczyna mówić, że tak dotąd bywało, nie kończy jednak wyjaśniać, ponieważ główny kasjer krzyczy, że już jedenasta, czas na licytację. Pustoszeją samochody parkowane przed Zakładem Naprawczym SKR w Biskupicach, chłopi idą na plac, gdzie zgromadzono maszyny. Prowadzący przetarg wyjaśnia, że przystępujący do kupna wpłacili wadium, okazali zaświadczenia z gminy, że mieszkają na terenie, prowadzą gospodarstwo rolne. Niektórym napisano, że mają prawo do nabycia ciągnika. Kto nie ma wyszczególnione, musi złożyć oświadczenie pisemne, że nie posiada ciągnika. Bo może się zdarzyć, że w gminie facet dostał zaświadczenie na lewo, ma traktor, kupi drugi i sprzeda po wyższej cenie. Przetarg jest ograniczony...

— A czy na banknotach Banku Narodowego pisze, że ruch pieniądza jest ograniczony?

Nie pisze. Ale jak maszyn brakuje, trzeba wysprzedawać sprawiedliwie, dla najbardziej potrzebujących. I żeby nie było nieporozumień, pod pierwszy młotek idzie cena wywoławcza. Potem można podwyższać o 5 proc. wartości, np. ciągnika o 500 zł.

Z braku młotka drewnianego wali się w blat biurka młotkiem żelaznym. Pierwszy idzie Ursus C-355 z roku 1975, cena wywoławcza 106.904 zł. Kupuje go za 125 tys. zł młody chłopak, STANISŁAW MIZERSKI z Dąbrowy Wielkiej.

— Dla siebie?

— *Dla ojca, jeszcze nie przepisał na mnie gospodarstwa. Jest do obrobienia dziewięć hektarów, a na traktor czekamy już pięć lat.*

— Był szum, że pan niepotrzebnie podbija cenę.

— *W tym gracie jest trochę zdrowych bebechów. Dołożę jeszcze raz tyle i będzie chodził.*

Ciągniki poszły dość szybko. Henryk Michalak kupił Ursusa C-355 za najwyższą cenę — 141 tys. zł. Przyczepa z ceną wywoławczą 14.400 zł poszła za 17.200, a ta wyceniona na 16.650 — za równe 17 tys. zł. Gorzej było z innymi maszynami. Był reflektant na przyczepę typu „Dłużyca" do wywożenia drewna z lasu (w celach zarobkowych), ale odstraszyła go cena — 122 tys. zł, choć przyczepa była w dobrym stanie. Na placu został pług do szybkiej orki za 11 tys. zł, ponieważ potrzebny do niego silny ciągnik z dobrym zawieszeniem. Chyba w najlepszym stanie znajdował się wóz asenizacyjny — cena wywoławcza 196 tys. zł, nowy, około pół miliona — ale nikt go nie kupił. Na taki wydatek może sobie pozwolić właściciel wielkiej specjalistycznej obory lub chlewni.

Kasjer żałował, że nie kupiono snopowiązałki za 34 tys., bo nowa kosztuje 120 tys., a w jednym eskaerze sprzedano taką z roku 1976 za 175 patyków. Ponadto pod Łodzią ciągniki spod młotka szły po 200 tys., a w Biskupicach cieniutko. Widocznie tamte były nowsze, w lepszym stanie. Trudno, resztę maszyn sprzeda się może w drugim przetargu. I tak dobrze, że obyło się bez zmowy. Za duża konkurencja. Bo jak staje dwóch do przetargu, to jeden bije cenę, drugi się wycofuje, ten pierwszy też rezygnuje, traci wadium, ale nazajutrz staje do przetargu znajomek i kupuje w cenie obniżonej do pięćdziesięciu procent.

Nie zaglądałem do kieszeni SKR, ale wiem, że z wadium uskładało się ponad 200 tys., za maszyny wzięto tego dnia około miliona. Można za to kupić trochę nowego sprzętu. Ale dyrektor Szewczyk nie jest w pełni zadowolony. Żeby wyjść na swoje, żeby nie robić bokami, trzeba dobrze kręcić głową.

— *W planie była budowa zaplecza technicznego* — mówi z frasunkiem — *a teraz wszystko poszło w koszty. Kiedyś zimą zarabiało się transportem na zlecenie różnych przedsiębiorstw, które wycofały się z tego interesu. Pierwszy kwartał mamy do tyłu. Inwestowało się w remonty, prawie nie zarabiając.*

— Powinny was ratować ceny usług i państwowe dotacje.

— *Dotacje są do pewnych usług, żeby nie odstręczać rolników. Mamy prawo obniżać lub podwyższać ceny do 20 proc. Ceny są ustalane odgórnie, jedne niższe, a drugie wyższe, zniechęcające chłopów. Gdybym był samodzielny, sam bym ustanawiał ceny.*

— Takie wysokie, że rolnik by do was nie przyszedł.

— *To wtedy bym obniżył. Mam siedem kombajnów, trzy stoją w remoncie, więc te cztery muszą zarobić na pozostałe. Wtedy biorę wyższą opłatę. Ale jak wszystkie pracują, jak mi odpada pół miliona na remonty, mogę obniżyć ceny usług.*

— A nie mogłoby u pana pracować dwóch dobrych traktorzystów zamiast trzech kiepskich?

— *Jasne! Tylko muszę im dobrze zapłacić. A tego nie mogę zrobić. I dlatego nie mam nowych, dobrych pracowników, nie mogę zwolnić złych, ba, jeszcze muszę ich dowozić własnym transportem do pracy. Poza tym nie mam części zamiennych, regeneruję po kilka razy, potem to się psuje, i tak dokoła.*

— A co pan ma, dyrektorze?

— *Mam kilka pomysłów. Po pierwsze, żeby oszczędzić paliwo, bo litr 25 zł, jeździmy po kolei, z pola na pole, i nawet czekamy na to, że chłop ściągał traktorzystę do siebie od sąsiada zza miedzy.*

— A jak za miedzą są rośliny, co nie znoszą oprysków?

— *Cholera, to jest problem! A tu zapowiada się urodzaj na stonkę, a ja mam tylko 30 proc. środków ochrony roślin. Trzeba się ratować czym innym. Chcemy robić krawężniki i płyty chodnikowe...*

— A pustaki na chłopskie obory? A brygady murarskie, kowale, ślusarze, których na wsi nie uświadczy?

— *Tak, o tym też trzeba pomyśleć. Ponadto chcemy robić kultywatory. I zamiast rozszerzać gamę usług, ograniczyć się do specjalistycznych, z takimi maszynami, których rolnikowi nie opłaca się kupować. Koszenie łąk, kombajnowanie, wapnowanie, wszelkiego rodzaju opryski. Wtedy może by się wyszło na swoje...*

Kasjer z księgową wypisują faktury, rolnicy czekają z pieniędzmi na korytarzu. Litkupu nie będzie, bo wódka na kartki. Jeden dosiadł swojego wraka, kręci ułamaną kierownicą.

— *Te, złaź samiąd, prawo jazdy zostawiłeś w chałupie!*

WALENTY KULAWIECKI, szczupły, schorowany chłop z Charłupi Małej, prowadzi mnie do garażu, żebym zobaczył, jaki ubił interes. Ursus C-330, rocznik 74, cena wywoławcza 105.336 zł. Kupił za 110 tys. zł. Bez koła, z tyłu rozbebeszony, z przodu tak samo, ale za to z kawałkiem kabiny. Trzeba ten złom załadować jakimś dźwigiem na przyczepę i zawieźć do domu. Potem szukać części, opon, filtrów. Za pół roku może ruszy w pole.

— *Trzysta tysięcy dołożę. Nowy kosztuje pół miliona. Ale niech pan nie myśli, że przeklnę za to SKR. Zdarła skórę, to fakt, lecz niech ona istnieje, byle tylko dobrze pracowała dla chłopów. Kiedyś ciągniki w lepszym stanie cięto palnikami na złom, żeby tylko chłopu nie dać. Dzisiaj chłop kłnie, wywala swoją krwawicę i bierze złom. Tak jak ja. Zawsze byłem na początku listy do przydziału i zawsze mnie cofali na koniec. Minęło cztery lata, dłużej nie mogę przetrząsać grabiami 7 ha łąk. A reszta pola?...*

— Panie Walenty, rozumiem chłopski upór. Ale skąd ta wielkoduszność?

— *Całe moje dorosłe życie poświęciłem pracy dla Ojczyzny, która do niedawna nie darzyła chłopa szacunkiem. To, że my dziś kupujemy ten złom, wynikło z polityki rolnej za Gierka. Ja nie jestem wielkoduszny, ale wyrozumiały. Bo gdyby obecna władza miała najlepsze chęci i najszczersze, dobre intencje, to przez rok lub dwa nie naprawi błędów popełnianych przez trzydzieści pięć lat. Czas pokaże, ile dobrego robi się dla wsi. Tylko, że mnie już zahartowały te różne polityki. Ja orzę i siedzę, bo jestem chłop...*

Foto: Mirosław Zajdler

Ciupazka za dutki

Dokończenie ze strony 1

fatalnie wpływa na apetyt. Człowiek by jadł i jadł, więc po dwóch godzinach trzeba znowu coś przekąsić. A wtedy restauracja „Popularna" (27 kategoria) zaoferuje bigos za 82 zł oraz piwo za 38 zł. Jeśli więc chce się tanio jadać, a tak przeważnie kalkuluje młodzież — główny klient barów, wówczas albo trzeba dopychać się własnym suchym prowiantem, albo lekko ssie w dołku. Droższe wyżywienie indywidualne może się zamykać w granicach 60—70 zł śniadanie i tyleż kolacja oraz około 200 zł obiad (restauracje hotelowe przedsiębiorstwa „TATRY" oraz PTTK „Dom Turysty"). Można ponadto wykupić indywidualny bon na całodzienne wyżywienie w stołówkach prywatnych (zgrupowanych w TPT „TATRY"), wówczas osoba dorosła płaci 300 zł dziennie, dziecko — 150 zł. W podobny sposób można korzystać ze stołówek prowadzonych przez FWP i wyżywienie całodzienne kosztuje 240 zł (Potrawy są dość urozmaicone, ale tzw. głodne, czyli trzeba dojadać w międzyczasie). Wyżywienie całodzienne w schroniskach górskich waha się w granicach 300—350 zł dziennie. W dużej mierze są to dania garmażeryjne i mrożonki. Zatem wyżywienie całodzienne w Zakopanem może wynosić: najtańsze 120—150 zł w barze — do 500 zł dziennie w restauracjach „Gromady". Na tym tle wymownie wyróżniają się ceny oferowane w pensjonatach Orbisu, gdzie płaci się za wyżywienie 400 zł dziennie, za to jakość i ilość bije na głowę wszystkie pozostałe, jest znakomita.

Rzecz jasna, poza trzema podstawowymi posiłkami kupuje się jeszcze inne rzeczy. I tak 20—21 lipca kg czereśni — 170 zł, wiśni — 150 zł, ogórki — 20 zł, pomidory — 70 zł, lody od 10 do 26 zł, gofry od 27 do 32 zł, woda sodowa z sokiem — 5 zł, herbata od 2,50 do 10zł.

KWATERY

Przede wszystkim nie należy dać się nabrać łowcom tzw. jeleni. Czyhają pod dworcami PKP i PKS na zmordowanych podróżą i niezupełnie przytomnych urlopowiczów. Wmawiają, że w Zakopanem nie ma absolutnie żadnych wolnych miejsc, ale oni za jedyne 500 zł dziennie dają dach nad głową.

Indywidualni goście mogą otrzymać locum w Tatrzańskim Przedsiębiorstwie Turystycznym „TATRY". Albo w jego trzech hotelach (pokój 1-osobowy bez łazienki — 382 zł, 2-osobowy — 450 zł za dobę od osoby). Albo w kwaterach prywatnych: I kategoria w ogóle nie posiada pokojów 1-osobowych, 2-osobowy kosztuje 330 zł od osoby na dobę, w 3-osobowym — 390 zł od osoby. Najliczniejsza — II kategoria — 1-osobowy pokój — 180 zł za dobę, 2-osobowy pokój — 260 zł od osoby, 3—4-osobowe — 115 zł od osoby. III kategoria: 2-osobowy pokój — 200 zł od osoby, wieloosobowe — 80 zł od osoby. Firma pobiera 10—15 proc. marży, zależnie od kategorii i usytuowania kwatery. Tam, gdzie zawarte są długoterminowe umowy z zakładami pracy na podnajem kwater prywatnych, stosuje się elastyczne ceny, zależne od popytu.

PTTK, trzymające górskie schroniska, nastawia się w wielkim sezonie — i słusznie — na indywidualnych turystów. Dla nich przede wszystkim muszą być miejsca w schroniskach. Jedynie Dom Turysty częściej przyjmuje grupy zorganizowane. Ceny noclegów w schroniskach: 100 zł od osoby w sali zbiorowej, 150 zł — w pokoju 4-osobowym, 200—250 zł od osoby w pokoju 2-osobowym. Jedynie na Kalatówkach buli się, nie wiedzieć dlaczego, 500 zł od osoby w pokoju 2-osobowym. Dom Turysty natomiast oferuje: pokój 1-osobowy z łazienką — 400 zł za dobę, 2—osobowy z łazienką — 320 zł od osoby, 2-osobowy bez łazienki — 250 zł. Pokój 6—8-osobowy — 90 zł od głowy. 2-tygodniowy pobyt w pokoju 2-osobowym kosztuje więc 9.589 zł, 15-dniowe wczasy wędrowne z noclegiem w schroniskach — 8.920 zł.

Celowo pomijam tutaj ceny oferowane przez FWP, bowiem zakłady pracy, mniej lub więcej dopłacają do kosztów wczasów, a chodzi mi przede wszystkim o koszta ponoszone przez indywidualnych wczasowiczów.

Sumując, najtańsze dzienne utrzymanie jednej osoby (kwatera plus wyżywienie wynosić może 380 zł (PTTK), lub 415 zł (TATRY), przy zapewnionym standardzie lekko półśrednim. Proponowane atrakcje turystyczne: wycieczka na Giewont — 170 zł od osoby, na Orlą Perć — 490 zł, na Czerwone Wierchy — 249 zł, kolejka na Kasprowy — 120 zł, a z powrotem 180 zł, spływ Dunajcem — 600 zł od osoby.

* * *

Jest jeszcze jedna dodatkowa, a całkiem niespodziewana atrakcja. Oto przepisy stanu wojennego wymagają posiadania specjalnego zezwolenia na chodzenie po górach. I w porządku. Tylko, że ktoś wpadł na pomysł, iż zezwolenia owe wydawać się będzie nie w miejscu zamieszkania, lecz na miejscu w Zakopanem. Zgubiono po drodze zdrowy rozsądek. Skoro bowiem obostrzone przepisy selekcjonują tych, którym wydaje się takie zezwolenia, logiczne byłoby więc wydawanie ich tam, gdzie o danym człowieku cokolwiek wiadomo. Rzecz akurat dotyczy prawie wyłącznie młodzieży, bo to ona głównie chodzi po górach. Lokalna procedura wydawania zezwoleń łatwiej przesieje tzw. „element", czego absolutnie nie da się powiedzieć o zakopiańskiej kontroli. Kto jest w stanie rozeznać, komu wydaje się zezwolenie na poruszanie się w pasie przygranicznym? Nie słyszałam o wypadku odmowy udzielenia takowego pozwolenia. Wydaje się je „jak leci", ale leci, że hej. Pod Orbisem w Zakopanem od świtu stoi ogromny ogon młodzieży, cierpliwie wyczekującej na papierek. Drugi ogon stoi pod drzwiami Komendy MO po odbiór dowodów osobistych. Zziajane urzędniczki Orbisu, z obłędem w oczach, usiłują przepchnąć olbrzymią masę chętnych i zupełnie bezsensownej roboty. Coś, co załatwiłyby lokalne Komendy MO, muszą opanować dwie panie w Orbisie i dwóch funkcjonariuszy Milicji. Do 20 lipca wydano już 54.500 zezwoleń i nie należy się spodziewać spadku fali przed połową września. Wcale też często powtarza się obrazek następujący. Przyjeżdżają turyści na wędrówkę, mają zarezerwowane miejsce w schronisku, powiedźmy na Ornaku, więc spokojni o dach nad głową maszerują z dworca wprost w góry. Na miejscu okazuje się, że jak nie ma zezwoleń (o czym nikt nie uprzedzał wyjeżdżających), muszą wracać z powrotem do Zakopanego i stać godzinami w kolejce po odbiór papierka.

NA CO KOMU CEPER

Turysta i wczasowicz, w Zakopanem rzecz zwyczajna. Z turysty się żyje i tyje, a ponieważ popyt zawsze przerasta podaż, więc się turysty nie szanuje. Jak się głupi znarowi, znajdzie się dziesięciu innych. Ale bez żółci. Takie miejscowości, jak Zakopane istnieją dzięki turystyce. To jest ich kapitał, z tego żyją stali mieszkańcy. W Zakopanem 50 proc. ludności pracuje w branży turystycznej, ale żyje z tego niemal 80 procent. Tak jest na całym świecie. Sytuacja kryzysowa w tej a kurat sferze natychmiast odbija się wzrostem cen i spadkiem jakości świadczonych usług. Tam zaś, gdzie będą chętni do wydawania pieniędzy, zawsze będą i chętni do zdzierania skóry. I, powiedzmy sobie jasno, że dopóki ludzie będą walić do Zakopanego, wszelkie biadolenie na drożyznę i niemoralność jest po prostu bez sensu.

„Mos ceprze dutki? Przyjezdzoj do Tater". A dutki cepry mają. I niech tam nikt nie rwie włosów nad cenami. Umówmy się, że spędzenie urlopu właśnie w Zakopanem nie jest wcale absolutnie konieczne. Fachowcy znają pojęcie deficytowych regionów turystycznych. Ani brzydszych krajobrazem, ani gorszych klimatem czy infrastrukturą, tyle że nie tak nobliwych jak Zakopane. Tłum jadący pod Tatry świadczy swoją ilością o stanie własnych kieszeni. Jeżeli jest krucho z pieniędzmi, to nikt nie musi wczasować w najdroższym górskim kurorcie. Można spędzić udane wakacje na wsi, pomagając przy żniwach. Trudno, nie co dzień jest świętego Jana. Jeśli przyszły gorsze czasy, można urządzić sobie tańsze wakacje. Zresztą obserwacja P.T. Publiczności w Zakopanem skłania do niewesołej refleksji, że kryzys kryzysem, ale liczyć nadal nie umiemy i wciąż uprawiamy konsumpcję pokazową. Wiadomo, że nikt na wakacjach nie poprzestaje jedynie na elementarnych potrzebach. I nie mówię tu o naturalnych wydatkach na słodycze, owoce czy kawę, ale ten ścisk w sklepach PEWEXU, te kupowane, mimo zupełnie obłędnych cen „pamiątki z Zakopanego". Czy naprawdę musimy mieć tę nieśmiertelną ciupazkę i kierpce, albo „góralkę w stroju ludowym". Jasne, że na dzieci nie ma siły i zawsze wyciągną z rodziców tego typu zakup. Ale to idzie w masy, a z nabywaniem rękodzieła artystycznego nie ma to nic wspólnego. Kiedy się patrzy na to co i za ile ludzie kupują, ma się wrażenie, zamożności. Dlatego zupełnie nie na miejscu wydają mi się wydziwiania nad szokującymi ponoć cenami Orbisu oraz dociekania — kogo też na to stać. Śmieszna jest ta egalitarystyczna czkawka, której solą w oku jest oczywiście hotel „Kasprowy". Zupełnie nie wiem, co tu szokującego? Jeśli mnie na taki hotel nie stać, to po prostu z niego nie korzystam i nie spędza mi to snu z powiek. W końcu hotel tej klasy budowano z myślą o tych, co mają pieniądze. Płaci się słono, prawda, ale za coś. Za jakość i wyposażenie hotelu, za możność skorzystania z licznych atrakcji, za jakość wyżywienia. I nie ma co jadowicie wytykać, że z braku gości zagranicznych bawią w „Kasprowym" rodzimi badylarze. I bardzo dobrze, zostawiają przecież te kołace w oko złotówki w państwowej kasie. Więc o co chodzi? Może się też zdarzyć, że przeciętny, nie dewizowy gość, zechce spędzić w luksusie kilka dni, w myśl zasady: krócej a lepiej. Więc podaję ceny. Pokój 2-osobowy — 1.700 zł od osoby, pokój 1-osobowy 1.150 zł. Do ceny wlicza się śniadanie. Poza tym zakopiański Orbis organizuje 7-dniowe wczasy w „Kasprowym" w 40 2-osobowych pokojach. I tak: pokój 2-osobowy na 7 dni — 10.163 zł od osoby. Ten sam pokój dla 1 osoby kosztuje 11.318 zł. Łóżko dostawne (tylko dla dzieci) 7.853 zł. Ponadto karnet na wyżywienie (obiad i kolacja) wynosi 620 zł dziennie. Hotel dolicza 10 proc. marży, czyli dla dwojga osób 7 dni w „Kasprowym" wyniesie 21.566 zł.

Drogo, owszem. Ale też jest to kłopot tych, których na to stać. A nie mój, sieroty, na chudej pensyjce. Przy tym okazuje się, że za te same pieniądze można spędzić 14 dni w zakopiańskich pensjonatach Orbisu. Są to na ogół niewielkie obiekty dla kilkunastu gości. Swojska domowa atmosfera, cisza, wygoda, znakomita kuchnia. 1-osobowy pokój kosztuje na 14 dni 10.300—10.600 zł. plus 400 zł dziennego wyżywienia, 2-osobowy pokój — 9.500—9.700 zł od osoby.

I na koniec jeszcze jedna ciekawostka. Rezerwacja miejsca w „Kasprowym" lub w pensjonacie Orbisu, dokonywana w Warszawie, ustalana jest z 15-procentową marżą, zaś na przykład w Łodzi czy na miejscu w Zakopanem marża wynosi 10 proc.

I znowu okazuje się, że ludzie pieniądze mają, bowiem pensjonaty są zarezerwowane do końca października, a podobna sjonaty są zarezerwowane do końca października, a podobna

GÓRALU CZY CI NIE ŻAL

Nie żal. Jak się gazdowie zorientowali, że z letników więcej będzie grosiwa, niż uprawy lichych gruntów, odtąd coraz częściej spotyka się ziemię leżącą odłogiem, bo cała rodzina robi w turystyce. Niegdyś, przysłowiowe swą nędzą Skalne Podhale, dzisiaj — dzięki zamorskim krewniakom i własnym turystom kwitnie i tyje. Narobić się nie trzeba, a dutki same płyną. Często, obok starego, wyrasta nowy wielki dom, od strychu po piwnice wynajęty wczasowiczom. A że cegła i eternit niezupełnie siedzą w górskim pejzażu, no to co? Powolutku zanikał naturalny klimat kulturowy tej ziemi. Wszystko jest na sprzedaż: muzyka i taniec, strój i sprzęty, nawet procesja w „Boże Ciało" też stała się widowiskiem dla turystów.

Pewnie, nie chodzi przecież o to, żeby czas się tu zatrzymał i żeby gazdowie chadzali na co dzień w cyfrowanych portkach i pitulili coś na skrzypeczkach na przyzbie, ku uciesze ceprów. Nie o to chodzi. Ale żal, że giną stare wielkie rody góralskie, że co zdolniejsza młodzież ucieka stąd daleko, za perspektywami innymi niż smażalnia gofrów. Starą tradycję można jeszcze znaleźć w Muzeum Podhalańskim, jest jeszcze kilka zabytkowych gazdówek, pozostałych po Gąsienicach czy Pawlicach. Ale ludzi już nie czuć, nie ma tych, co dalej zachowują obyczaj. Żal tego, choć jest to przecież naturalny proces emancypowania się niewielkiej społeczności. Zmienia się strój i sposób życia. Bliżej teraz do Mody Polskiej i sklepu „Jubilera", niż do barwnych serdaków. I jak zawsze, gdy pojawia się szansa szybkiego zarobku, łatwego bogacenia się, dają o sobie znać

WYBLAKŁY MIT

Mimo wszystko Zakopane to jeszcze ciągle mit. Bardzo już spauperyzowany i wyliniały, ale jeszcze żywy.

Do Zakopanego już dawno nie przyjeżdża się po świeże powietrze i święty spokój pod smrekiem. Bywało już, że z Cyhrli widać było wiszący nad miastem smog. Właśnie, nad miastem, bo charakter uzdrowiska dawno już się pogubił na placach budów wielkich zakładowych ośrodków wypoczynkowych. Zakopane — z ekskluzywnego uzdrowiska, gdzie lubiła bawić socjeta, przekształciło się w obowiązkowy do zaliczenia punkt dla mas. Jak dla ludu pracującego, to dla ludu, więc każda szanująca się firma uważała za swój święty obowiązek wystawić tu możliwie okazały obiekt. Od lat pisało się o tragicznie okaleczonej polityce turystycznej. Miast chronić niepowtarzalne walory klimatu i charakteru kulturowego oraz narzucającą się warunkami specyfikę i rodzaj wypoczynku, zarżnięto ideę górskiego uzdrowiska. Po doktrynersku potraktowano założenia masowego ruchu turystycznego i możliwość wypoczynku dla ludzi pracy. Skoro elita wzięła ongiś niemal w pacht Zakopane, więc teraz ludowe państwo otwiera szeroko wrota przed maluczkimi. Jedźta ludziska do Zakopanego, bo tam w biały dzień możecie oglądać najsławniejsze biusty w PRL. No i przegięto pałę. Dla dosłownie zrealizowanej zasady: „wszystko dla mas" poświęcono coś bardzo niewymiernego. Ale, jak okazuje się — zasadniczego: istotę, jakość wypoczynku ludzi.

Umówmy się wreszcie, że góry nie są dla wszystkich. Nie w sensie składu społecznego, ale dla swej specyfiki. W góry przyjeżdżać powinni ci, którzy uprawiają — ze znawstwem! — turystykę górską i taternictwo oraz ci, dla których klimat gór oznacza przywrócenie zdrowia. Sama idea górskiego uzdrowiska powinna być naturalnym sitem selekcjonującym „gatunek" gości, a zwłaszcza ich ilość. O zadeptanych Tatrach, o brudzie i tłoku w Zakopanem mówiono już do znudzenia. Tymczasem tzw. publiczność, tabuny wczasowiczów, zalały Zakopane nie dla włóczęgi po górskich szlakach i nie dla wdychania zdrowego powietrza, ale zwyczajnie dla szpanu. Niech mi kto powie, jaką wartość ma urlop w tłoku i spalinach setek samochodów. Czy warto tłuc się godzinami w pociągach w takimż tłoku dla przedefilowania po Krupówkach. Nie oszukujmy się, że w Tatry przyjeżdżają rasowi turyści. Ani turyści, ani tym bardziej rasowi. Znakomitą większość stanowią zupełnie zwyczajni goście, którzy bez żenady maszerują na wycieczki górskie w „szpilkach", falbaniastych kieckach albo w wizytowych garniturach. Małoż to nawyśmiewano się z zakładowych wycieczek w góry? Gromadą, z zachowaniem hierarchii służbowej, ze skrzynką alkoholu absolutnie niezbędną dla „przeżywania piękna naszych Tatr", *ile było pomstowania na „turystów"*, wydzierających się w górach, ile sił w płucach, tratujących wszystko co żywe i na drzewo nie ucieka. Przecież nie chodzi tu o ochronę elitarnych przywilejów dla garstki, ani o zachowanie ekskluzywnego, zamkniętego przed masami kurortu. Trzeba pamiętać o jakości wypoczynku. Tym bardziej teraz widoczna jest ułuda wczasów w Zakopanem, gdy kryzys, ceny i stan wojenny znacznie okroiły możliwość sensownego spędzenia urlopu. Jedna z mieszkanek Zakopanego, pracująca w firmie organizującej rozrywkę dla turystów, zapytana o oferty na aktualny sezon, odpowiedziała tak: Za te pieniądze taka masa ludzi może się rozerwać co najwyżej granatem.

No więc odwiedzajcie, obywatele, nasze piękne Tatry.

JOLANTA WROŃSKA

P.S. Szanownych Czytelników informuję, że Zakopane otrzymuje łącznie około 25 egzemplarzy „Odgłosów" (4 kioski przy Krupówkach) i... wszystkie są sprzedawane.

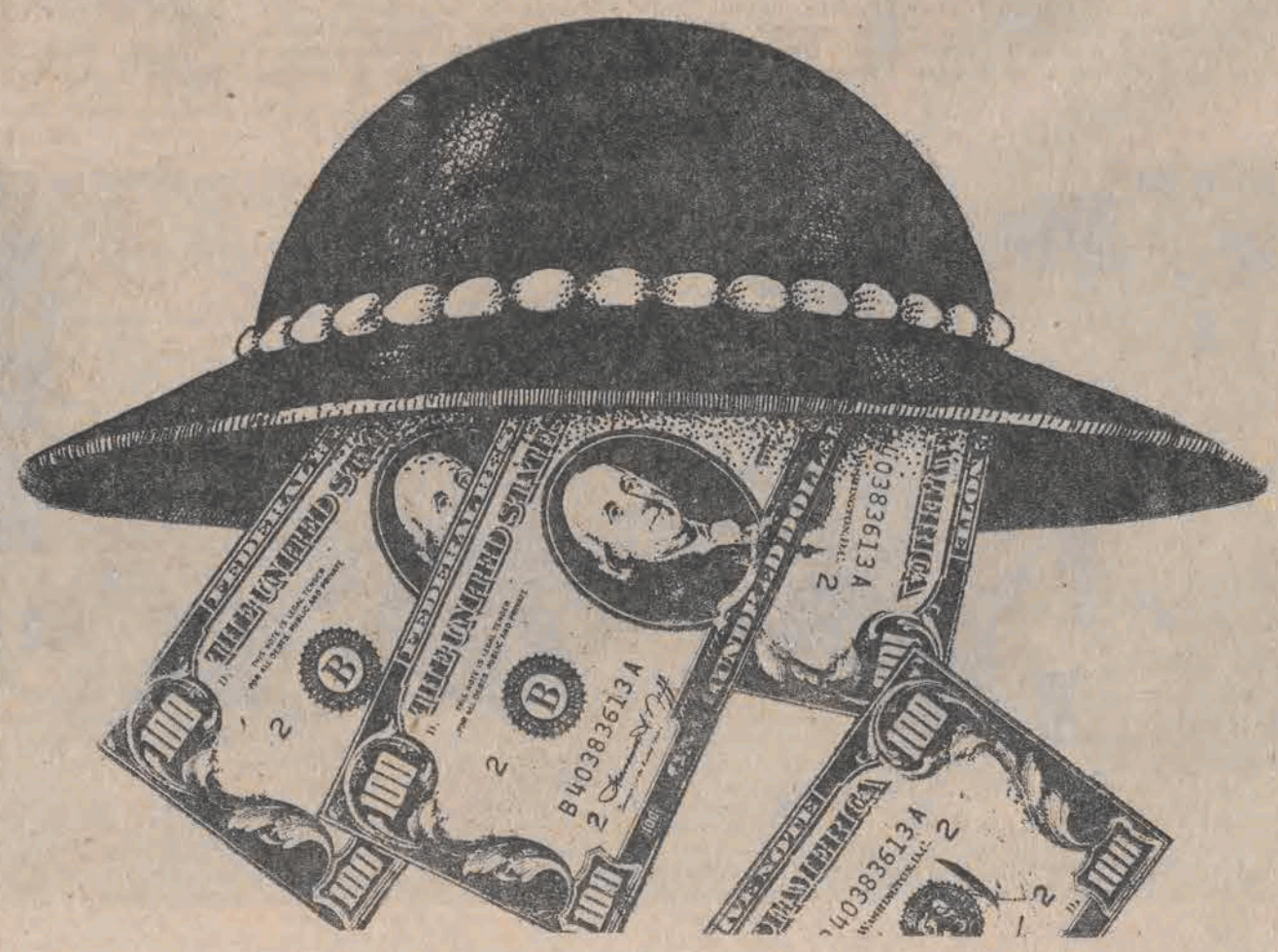

„Błyskawica"

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Broń wykonana w warunkach konspiracyjnego prowizorium jest prymitywna, toporna. Okrągłego perforowanego brzucha blaszanej puszki po konserwach, spełniającej funkcje chłodzące, wyrasta z jednej strony krótka lufa, a z drugiej urządzenie spustowe i metalowa półrurka wygięta w kształt obrysu nie istniejącej kolby, w ten sposób ją zastępująca, z jednego boku puszki wycięto prostokątny otwór, w którym osadza się magazynek z amunicją. Oto niefachowo przekazany obraz „błyskawicy", tkwiący jak odłamek stalowy w mej pamięci. Uboga siostra z nieprawego łoża angielskiego stena układa się w mych rękach zgrabnie, jakby z ufnością, lewą dłoń zaciskam na włożonym w automat magazynku, prawą chwytam u nasady ażurowej kolby, przy czym wskazujący palec wślizguje się nieomylnie w miejsce sobie przeznaczone i spoczywa na języczku spustowym.

Podchorąży „Wilk" wręcza mi pistolet maszynowy i pyta:

— Miałeś już do czynienia z „błyskawicą"?

Zapewnieniom nie bardzo wierzy, ale w obliczu wroga, to jest gdy wróg znajduje się konkretnie na placu Żelaznej Bramy, czyli o paręset metrów od nas, nie każe mi przecież rozebrać automatu na części składowe, nie zarządzi czyszczenia broni i nie będzie sprawdzać w białej rękawiczce, czy w jakimś zakamarku nie ostała się odrobina brudnego smaru. On wie i ja wiem, że ta oto „błyskawica" będzie odtąd moją szansą na przeżycie, w moim zatem interesie leży, by należycie dbać o nią, jak o przysłowiową źrenicę oka. Podchorąży wie ponadto, że daje mi do rąk broń niedoskonałą, niepełnosprawną, wykonaną chałupniczo przy braku odpowiednich narzędzi i materiałów, broń, która niejednego już zawiodła podczas akcji, dlatego czuje się w obowiązku dorzucić mi na odchodnym:

— Uważaj, chłopie, żeby równo wciskać magazynek. Repetuj spokojnym, zdecydowanym ruchem. „Błyskawica" lubi się udławić nabojem...

Akt przekazania mi broni trwa dwie minuty i zastępuje wielotygodniowe szkolenie, jakiemu by mnie poddano w czasie pokoju. Podchorąży „Wilk" nie łączy tej czynności z żadnym komentarzem ideowym, nie musi, wróg jest o trzysta metrów łatwy do rozpoznania, jednoznacznie oceniany przez każdego Polaka, którym ma za sobą pięć lat okupacji. W dodatku zgłaszam się do powstania ochotniczo, dokonuję tedy wyboru w pełni świadomości. Ochotników nie trzeba dokształcać politycznie, agitować, zachęcać, przychodzą wewnętrznie dojrzali do oczekujących ich obowiązków.

Mam broń! Fakt ten nie tylko czyni mnie żołnierzem, ale także przywraca mi poczucie ludzkiej godności, które jeżeli się nie zagubiło gdzieś podczas okupacji, to w każdym bądź razie uległo poważnemu nadwerężeniu. Ileż to razy przychodziło mnie, synowi dumnego narodu, milcząco przełknąć zniewagę, wzgardę manifestowaną przez obcego żołnierza, policjanta, czy urzędnika, adresowaną w danym przypadku do mnie, ale w rzeczywistości próbującą poniżyć w mojej osobie naród, z którego się wywodzę, z którego tysiącletniej tradycji jestem dumny, tak! dumny, dumą szczególną, która dokonuje bilansu, akceptując gorąco to co wartościowe w polskich dziejach, nie odżegnując się jednocześnie od dziedzictwa błędów, bo to także nasze, polskie, choć serce boli, gdy się wspomina.

Tu usłużna pamięć przywodzi mi scenę, której świadkiem byłem po południu pierwszego dnia Powstania na Marszałkowskiej. Widzę mściwy tłum ścigający bez jednego okrzyku oficera Waffen-SS, z trupią czaszką na czapce, którego wydarzenia zaskoczyły przypadkiem samotnego na ulicy. Ogarnięty paniką (okazuje się, że oni także potrafią się bać!) sadzi teraz wielkimi krokami, czując za sobą pomruk pogoni, z przewieszonego przez szyję schmeissera wysyła raz po raz za siebie bezładne serie, niecelnie, choć to broń niezawodna, nie jak nasze „błyskawice". Nagle automat Niemca milknie, widocznie wystrzelał już cały magazynek, a na wydobycie ze skórzanej torby nowego i założenie go nie ma już czasu. Młody SS-man odrzuca tedy na ziemię zbędną atrapę, w jaką zmienił się precyzyjny schmeisser, obraca się twarzą do prześladowców i z rozmachem pada na kolana, wznosząc do góry gestem błagalnym obie ręce, zsunęła mu się przy tym z głowy czapka i potoczyła po chodniku, dzięki czemu zabłysła mi przez moment w oczach jego spopielała twarz, twarz człowieka, którego trudno już zaliczyć do żywych. To trwa moment, bo tłum przeszedł po nim ławą, wdeptując w płyty chodnikowe. Okrutne? Z pewnością, ale nie mam dystansu do sprawy, której jestem świadkiem, niezbędnego by ją w tych kategoriach ocenić. Dla mnie wtedy zachowanie tłumu jest o c z y w i s t e. Ja zachowuję się wprawdzie biernie, stoję po drugiej stronie ulicy — a jest to róg Złotej, albo Widok — ale to nic nie zmienia, jestem z nimi, z tymi co depczą, co miażdżą obcasami żebra, czaszkę, piszczele. Ta nieludzka w kategoriach obiektywnych scena ma — o, ironio! — moc oczyszczającą, przywracającą zrabowaną godność...

Podchorążemu „Wilkowi" wszystko jedno, czy wręczy broń mnie czy innemu chłopakowi, docenia łaskawie zapał, z jakim garnę się do automatu, nie musi dochodzić prawdy, która jest taka: jedyny oręż, z jakim miałem dotąd do czynienia, był żałosny, „filipinka", karykatura granatu ręcznego, także produkt konspiracyjny, nawet nie bardzo przypominający kształtem granat, dano mi ją do ręki drugiego dnia Powstania podczas szturmu budynku dawnej synagogi na Tłomackiem, którą hitlerowcy przemienili w magazyn sortów mundurowych, ściskam ten śmiercionośny — pożal się, Boże! — przedmiot w ręku, by w odpowiedniej chwili wyszarpnąć kółko zawleczki i rzucić granat w stronę nieprzyjaciela, oczekując z niepokojem: zechce detonować czy nie, na dwoje babka wróżyła. Ale nie doszło do sprawdzenia mojej „filipinki", gdy w szyku gęsiego dobiegam do żeliwnej, ażurowej bramy w murze okalającym bożnicę, z okienka budynku wytknięto kij, a na nim umocowane białe prześcieradło, poddają się. Wśród radosnych okrzyków utworzyliśmy szpaler, ciężkie drzwi otwierają się i jako pierwszy wychodzi pobladły ze strachu łysy oberzahlmeister (znam się na stopniach ich administracji wojskowej) z rękoma podniesionymi do góry, za nim kilku żołnierzy, wśród nich jeden ranny w ramię, co objawia się ciemniejącą i rosnącą w oczach plamą na szarzyźnie jego kurtki mundurowej. Nie powtarza się sytuacja z dnia poprzedniego na Marszałkowskiej, Powstanie trwa już kilkanaście godzin, stać nas na gest rycerski, jeńców nikt nie poszturchuje, nie okazuje im nienawiści, a z niedalekiego szpitala Maltańskiego nadjeżdża, klekocąc po bruku, wózek operacyjny popychany przez dwie sanitariuszki o urodzie pin-up, w asyście młodego lekarza czy studenta medycyny, wszystko białe, aseptyczne, eleganckie, sprawne ręce ściągają z Niemca rękaw munduru, dezynfekują ranę, opatrują ją, bandażują, by po chwili odwieźć wózkiem pierwszego pacjenta do szpitala. Przypatrują się temu wraz z innymi i wraz z innymi przepełniony jest uznaniem: ach, jacy to jesteśmy rycerscy, co innego walka, a co innego traktowanie unieszkodliwionego przeciwnika, to nie to samo, niech się uczą od nas hitlerowcy, których nigdy nie stać było na wielkoduszność wobec pokonanych, my podyktujemy nowe prawa, by obowiązywały odtąd w tej walce! Ktoś dotyka mego ramienia, to plutonowy, od którego otrzymałem przed akcją „filipinkę", teraz domaga się jej zwrotu, nawet mu się nie dziwię, dołączyłem do oddziału atakującego synagogę ochotniczo, kto mnie tam wie, czy się gdzieś nie zawieruszę, a granaty są na stanie. Oddaję z ociąganiem mą pierwszą broń, która znika w chlebaku plutonowego, mój pierwszy epizod żołnierski zakończony nim się dobrze rozpoczął.

Czy dziwić się zatem wypada, że z taką obawą obserwuję owo powstrzymanie ręki z przeznaczoną dla mnie „błyskawicą" przez podchorążego „Wilka"? Jeżeli rozmyśli się i nie da mi automatu, znowu stanę się nikim, cywilbandą, łapserdakiem, zawalidrogą, powsinogą, szczurem, wszystkim tylko nie żołnierzem Armii Krajowej. Moje niepokoje są na szczęście płonne, bo podchorążemu naprawdę wszystko jedno, komu da „błyskawicę", a jeżeli na moment opóźnia akt przekazania, to po to, by mi pokazać, jak ważną jest osobistością. Pouczenie, jakiego udziela mi na odchodnym, także nie ma na celu poinstruowania mnie, lecz tylko danie mi do zrozumienia, jakie to on, podchorąży „Wilk", ma wielkie doświadczenie bojowe, ile to on takich sytuacji widział („błyskawica" l u b i się udławić nabojem!), ho-ho! Aha! Jeszcze musi dopełnić ceremoniału, postawić niejako kropkę na końcu zdania.

— Zrozumiałeś? — pyta, choć mu wysoce obojętne, co stojący przed nim dwudziestolatek zrozumie, a czego nie rozumie, odpowiedź i tak musi być jedna:

— Tak jest, panie podchorąży! — mówię.

— No, to odmaszerować!

Śmieszne jest to „odmaszerować" w realiach powstańczych, pasowałoby raczej do garnizonowej młocki, należy ono jednak do podoficerskiego katechizmu, do pasma przyjętych w każdej armii poczynań pozornych, zastępujących treść formą, myśl bezinteresownym działaniem, bezruch zapobiegliwą krzątaniną, bierność i stagnację gotowością do czynu. „Mów coś, rób coś, ruszaj się", byleś się nie zastał, nie trwał w sennej zadumie, nie lenił się, nie śnił o niebieskich migdałach, nie wałęsał się, nie szlajał, nie pętał pod nogami innych, zwłaszcza zwierzchników, tego wojsko nie uznaje, aby zaś radykalnie ingerować w naturalną skłonność człowieka do bezczynności, aplikuje mu w najbardziej nieoczekiwanych chwilach zbiórki, apele, czyszczenie broni (choć ta nie zdążyła się jeszcze zbrudzić), alarmy, nocne ćwiczenia, lub usypywanie przed barakami znaków godła państwowego z wapienia i tłuczonej cegły („Żeby mi do jutra były gotowe orły przed kwaterami" — mówił niezapomniany dla wielu junaków Przysposobienia Wojskowego plutonowy Kochanek. — „Możecie to zrobić w czasie wolnym"). Komenda „odmaszerować" w ustach podchorążego „Wilka" to relikt, wyraz niezniszczalności form wojskowego porządku, dość bezsensowny w sytuacji frontowej, gdy wróg dba już o to, by żołnierz miał stałe zatrudnienie.

Chyba właśnie wtedy (a może następnego dnia, nieważne!) na podwórze domu przy ulicy Rynkowej wybiegł z klatki schodowej obserwator, którego zadaniem było śledzić ruchy npla w rejonie Żelaznej Bramy przez okienko na strychu. Zapamiętałem pseudo tego chłopca — „Żbik" (czy się jednak nie mylę, czy nie „Ryś"?). Więc „Rysiożbik" melduje odrobinę za głośno porucznikowi „Nemo":

— Panie poruczniku, szkopy ciągną od Saskiego!

Porucznik „Nemo" — widzę go w spodniach gallifé i w oficerkach, w bluzie drelichowej przepasanej koalicyjką, w furażerce na głowie i z lornetką na piersiach, w sumie modelowy typ frontowego oficera — każe się „Żbikowi" prowadzić na punkt obserwacyjny, po chwili wraca szybkim krokiem.

— Pięciu na ochotnika do mnie! — woła.

Wyprzedzono mnie, piątka szczęśliwców skompletowała się błyskawicznie, mnie zawiódł refleks.

— Zajmiecie stanowiska strzeleckie za murkiem na dachu — mówi porucznik. — Stamtąd macie szeroką panoramę na plac.

— Możemy strzelać do skurwysynów! — pyta „Bruno".

W jego ustach brzmi to:

— Moszemi czelacz do kurwisinów?

„Bruno" jest Włochem, dezerterem, który od roku, to jest od kapitulacji marszałka Badoglio, ukrywa się w Warszawie. Teraz poczuł się, jak my wolnym człowiekiem dzięki karabinowi w dłoni.

— Możecie — zgadza się „Nemo" — ale tylko na pewniaka. Nie marnować naboi. „Bruno", obejmiesz komendę! Za godzinę podmienimy was. Odmaszerować!

Znowu to „odmaszerować", kołaczące się za plecami piątki, która biegiem, śmiejąc się i popychając, wpada do klatki schodowej. Przez wybite okno widzę, jak „Bruno" sadzi pierwszy po trzy stopnie, zobaczę go po kilku tygodniach ciężko rannego w obie nogi, na noszach, owej feralnej nocy, w której podczas próby dotarcia do obrońców Starówki oddział porucznika „Nemo" ulegnie zmasakrowaniu przez moździerze niemieckie na placu Żelaznej Bramy. Wśród ofiar będzie i sam dowódca.

Po upływie godziny formuje się piątka, która ma zmienić tych na górze, ku mej radości tym razem załapałem się. Gdy „Nemo" decyduje się na moją osobę, podchorąży „Wilk" krzywi się i chce protestować, ale spóźnia się na szczęście z tą interwencją. „Błyskawica" jest tam na dachu nieprzydatna, muszę przeto rozstać się z nią na godzinę, zanim zdążyłem nacieszyć się jej posiadaniem, z rozkazu dowódcy mam wypożyczyć karabin od jednego z luzowanej przez nas piątki. Ten, na którego wypadło, czyni to z wielką niechęcią, nie dziwię mu się, oddawać broń w cudze ręce! Ceni sobie swój KB wyżej od mej „błyskawicy", którą zostawiam mu w zastaw.

— Jakie twoje pseudo? — syczy, a gdy mu odpowiadam, przybiera groźną postawę: — Zapamiętam sobie ciebie, nie sądź, że ci przejdzie jakiś numer!

Pozostawia mi tylko pięć naboi, na całą godzinę pięć naboi! Muszę mieć bardzo nieszczęśliwą minę, bo wyczołgujący się ku dymnikowi „Bruno" trzepie mnie po ramieniu, przekonany, że należy mi dodać ducha.

— Nie bój nic! — mówi warszawsko-włoskim żargonem — Czelaj do kurwisinów, per carità!

O, radości, dostaję od niego jeszcze jeden magazynek do mauzera. Podczołguję się do murku, ładuję magazynek, wprowadzam pierwszy nabój do lufy i zajmuję stanowisko strzeleckie, unoszę się ostrożnie i gdy oczy moje znajdą się tuż nad krawędzią z cegły, chłonę panoramę, jaka się przede mną otwiera, z prawej zieleń Ogrodu Saskiego, za którą kryją się niewidoczne barokowe mury Pałacu Brühla, prawie na wprost obie cielsko hali targowej, przez plac Żelaznej Bramy sunie z prawej strony ku lewej sznur pojazdów wojskowych, ciężarówki, odkryte auta terenowe, limuzyny wiozące z pewnością oficerów wyższej rangi, motocykliści, transportery z wojskiem, od czasu do czasu czołgi i samobieżne działa opancerzone na gąsiennicach, przez Niemców zwane Sturmgeschütz, a więc jedzie to wszystko ze zmienną szybkością, ale jak to zwykle w kolumnie dość powoli i z przystankami, zbijając się i rozrzedzając, w kierunku wylotu ulicy Chłodnej, a dalej Wolską. W ten sposób przetacza się po krawędzi murku niemiecka machina wojenna w uporządkowanym odwrocie ze wschodu na zachód, to dywizje zmotoryzowane wycofujące się zza Wisły mostem Kierbedzia przez jedyną arterię przelotową, pozostającą w całości w rękach niemieckich, ku zachodnim rogatkom Warszawy.

Przyglądam się temu exodusowi, nad którym unosi się dudniący warkot setek silników, zsumowany, zacierający pojedyncze rytmy i przetwarzający je w jeden złowrogi chór. Po stronie zachodniej, gdzie stalowa procesja wsiąka w ciągłą zabudowę, wykwitają nad nią mniejsze i większe kokardy pożarów. Widok pasjonujący, ale nie mogę sobie pozwolić na luksus chłonięcia go, bo oto właśnie wprowadziłem pocisk do lufy, wybieram czarnego mercedesa, przez chwilę prowadzę go w wizjerze, przesuwając lekko lufę po krawędzi osłony, jednocześnie uciskam coraz mocniej ustępujący pod moim palcem języczek spustowy aż wyczuwam opór, „teraz" myślę, nacisk mego palca rośnie, karabinem wstrząsa dreszcz wystrzału. Chybiłem, tak jak potem do motocyklisty i do wielkiego kamionu, nie mam świadomości, że strzelam do ludzi, te przesuwające się o trzysta czterysta metrów sylwetki przypominają figurki w jarmarcznej strzelnicy.

Wtem odczuwam ucisk w okolicy żołądka: w ulicę Rynkową wkracza od placu dwóch mężczyzn w brązowożółtych uniformach, opaski za swastyką na lewym ramieniu, znam te mundury, noszą je Politische Leiter, sam Hitler nieraz występuje w takim stroju. Dwaj dygnitarze partyjni posuwają się spokojnie środkiem jezdni w naszym kierunku, wyraźnie nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Karabiny z mojej lewej i prawej strony milczą, potrafię to zrozumieć, oto w miejsce ruchomych figurek pojawili się dwaj żywi ludzie, których fizyczność daje się już odczuć z tej odległości. Łamię się ze sobą, ale dłużej nie wolno zwlekać, repetuję broń, biorę na muszkę niższego i tęższego z mężczyzn, sądząc z zachowania, starszego rangą, i naciskam spust.

— Dobrze! Zuch! — słyszę za plecami głos, to porucznik „Nemo" z lornetką przy oczach, w koncentracji nie zauważyłem, kiedy podczołgał się z podchorążym „Wilkiem". Widzę nieruchomy przedmiot leżący na jezdni, nie przypomina sylwetki ludzkiej, raczej porzucony worek. Drugi mężczyzna uskoczył ku ścianie najbliższego domu i oto klei się do muru, jakby chciał go przeniknąć, wtopić się weń żółtą plamą.

— Trafiliście jakiegoś tuza — mówi dowódca. — Wasze pseudo?

A ja spoglądam na pożyczony karabin, to on spisał się bez zarzutu. Wkrótce przyjdzie mi się z nim rozstać i wrócić do m o j e j „błyskawicy".

Fragment książki przygotowywanej do druku.

Foto: Archiwum

Nasza gorzka codzienność

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

Po raz pierwszy chyba mam przyjemność omawiać tomik współczesny, który jest jeszcze zapewne do nabycia w księgarniach. Otóż Wydawnictwo Łódzkie zdecydowało się zaeksperymentować i opublikowało wiersze Romana Gorzelskiego *Gorzki człowiek* w nakładzie 7000 egzemplarzy. Książka, gotowa jestem się założyć, migiem zniknie z półek, a wtedy wydawcom odpadnie argument o niechodliwości poezji, na który się zazwyczaj powoływali. Szkoda tylko, iż na inicjatywie wydawnictwa zemścił się tym razem brak odpowiedniego papieru. Książkę wydano na doskonale szaro-burej „gazetówce".

Gorzelski, jako poeta, jest już czytelnikom znany. Tę twórczość zawsze charakteryzowało szczególne wyczulenie na kwestie społeczne oraz na dramat pojedynczego człowieka zmagającego się z tym ponoć najlepszym ze światów.

Ostatni zbiór poety jest już w pełni dojrzałym. Autor ma doskonale opanowany warsztat pisarski — kiksów, niedbałości, pomyłek czytelnik w tych tekstach nie uświadczy.

Na zbiór składają się trzy cykle: *Ogród kamiennego serca, W dłoniach pęczniejący księżyc, W roku pańskim bieżącym.*

Owe wiersze powstawały na przestrzeni lat 1976—1981. Jest to, jakby nie było, szmat czasu. Poeta jednak z godną uwagi konsekwencją operuje jednorodną stylistyką, irytuje się podobnymi sytuacjami, ufa tym samym ideom.

Mówiąc najogólniej, rozlicza się w ostatnim zbiorku z doświadczeń, wzlotów i upadków, własnej egzystencji — uniwersalizując je jednakże, dając do zrozumienia, iż są to przeżycia typowe dla „późnych" czterdziestolatków.

Bywa, że stylizuje wypowiedź na monolog wewnętrzny, bywa, iż jest to hamletyczną, wykrzyczana rozmowa z samym sobą.

Mimo że jest to poezja bezrymowa, daleka od wszelkich schematów wersyfikacyjnych, w jakich lubował się Karol Wiktor Zawodziński — z przeszłości literackiej Gorzelski najwięcej chyba zawdzięcza Skamandrytom. Łączy ich podobny typ bohatera („szarego człowieka z ulicy") często też, mimo porażającej rzeczywistości, Gorzelski odważa się na optymizm rodem (tak jak u Skamandrytów zresztą) z twórczości Withmana.

Gorzelskiego interesuje także sytuacja egzystencjalna artysty, ów imperatyw, który wbrew wszystkiemu, nakazuje mu powoływać do życia nowe światy. I tu dostrzega poeta osamotnienie wewnętrzne człowieka, który niby niczym się spośród tłumu nie wyróżnia niemniej staje w sytuacji demiurga, tworzy nowe życie, zwielokrotnia rzeczywistość. Najlepszym tego przykładem są wiersze *Twórczość, Poezja, W pokoju poety.*

Tę twórczość cechuje również rewizjonistyczny stosunek do tradycji literackich i kulturowych. Najlepszym tego przykładem jest wiersz *W roku pańskim bieżącym.* Poeta czyni więc na przykład Macbetha zmęczonym urzędniczyną podjudzanym do czynów niegodnych przez jazgotliwą, bo wchodzącą w klimakterium, żonę, opisuje krach małżeństwa Romea i Julii (zdrada). Judyma zaś każe nam oglądać jako wziętego ginekologa, który

„(...) ma wspaniały dom
dwa samochody lubi chłopaków chociaż mu
to nie przeszkadza
mieć czwartej żony: ot zwykła rzecz
zwana inaczej piętnem zawodu"

Tropi więc rozdziew między wyidealizowanym światem pełnym szalonych namiętności i wzniosłych uczuć, w jakie każą nam wierzyć arcydzieła a naszą pozbawioną tychże idei powszednością.

Zdaniem Gorzelskiego, absolutyzujemy zarówno dobro jak i zło. W utworze *Dr Jekyll i mr Hyde* pokazuje człowieka, który ze względu na różny ogląd (dom rodzinny, wysoki stołek na wysokim urzędzie) raz jawi nam się jako wcielenie prawości, drugi raz jako drań.

W liryce społecznej jest Gorzelski świadom, iż szczytne ideały, hasła, owe wielkie powszechniki, dla których żyjemy, w które wierzymy aż do zatraty — są tylko wytworami naszego umysłu. W rzeczywistości zaś nie egzystują zupełnie.

Tropi poeta nasz pełen sprzeczności świat, opowiada o naszych powszechnych smutkach i zawodach. Wszystkim którzy lubią poezję nie odżegnującą się od tego, co nas w rzeczywistości otacza — szczerze tę książkę polecam.

Roman Gorzelski, Gorzki człowiek, Łódź 1982.

Jan Koprowski

Moniuszko

Organisto z dalekich kresów,
coś szedł do nas stuleciem nadziei
z blaskiem wielkiej wolności w oczach
przez gościńce i drogi kalekie.

Przemierzyłeś równiny Litwy,
Białorusi, piachy Mazowsza.
Były z tobą marzenia i pieśni

lat dziecinnych w zielonym Ubielu.
Przez powstania, pożary, zgliszcza,
przez zwycięstwa, rozterki, rozpacze
szedłeś z wieku młodości w wiek męski,
otulony burnusem wędrowca.

Otwarły się podwoje Europy:
Weimar, Drezno, katedry Paryża.
Ale chętnie powracałeś stamtąd
do tej ziemi poranionej snami.

W sercu twoim grała muzyka
wierzb przydrożnych, zajazdów, gór śmiałych.
Odmykałeś czarodziejskie zamki
pośród lata słonecznej spiekoty.

A gdy jesień nastała deszczem
i świat mroczniał od świtu do zmierzchu,
z jasnych dworków i dusznych czworaków
wyciągałeś nuty ojczyste.

Przeszły lata, minęły trwogi,
zapomnienie trawą porasta.
Twoje pieśni zbłądziły pod strzechy,
skąd już nikt ich wypędzić nie zdoła.

Luty 1982

Jan Strauss

Z cokołu w wiedeńskim Stadtparku
skrzypce w rękach trzymając, schodzi
między dzieci, kobiety i starców,
grać im walce gotowy jak co dzień.

Najpierw „Życie artysty", a potem
„Nad pięknym modrym Dunajem",
gdzie jesieni liście jasnozłote
ciepły wrzesień sypać nie przestaje.

Jan Strauss, syn Jana i Anny,
brat Teresy, Józefa, Edwarda,
muz kochanek, przez los wybrany,
serce z wosku, wola jak stal twarda.

Jakże nazwać ów czas? Myśl się gmatwa.
Kto ułoży wszystko po kolei?
Czy zasługa w tym cesarstwa,
czy historii zwodniczych nadziei?

Może tamten wiek dziewiętnasty
był piękniejszy niż sądzić wypada;
Może jaśniej świeciły gwiazdy
i słodziej i wonniej było w sadach?

Może ludzie byli wtedy szczęśliwsi,
a życie gorzało jak łuna?
Czyste wody i czyste myśli
skroś pejzażu płynęły jak Dunaj?

Nie dociecze nikt, nie odsłoni
spraw ukrytych pod wiekiem trumny.
Melodiami będzie nas gonić
wiek stateczny, wiek nierozumny...

W marcu 1982

Prośba

Nie włóżcie mnie do ciasnej trumny,
nie zasypcie ziemią jałową,
bo ja pod nią drugi raz umrę
i wciąż będę umierał na nowo.

Nie przywalcie grobu betonem,
ani ciężką marmurową płytą.
Zostawcie mi trawy skoszone,
falujące na wietrze żyto.

Wind się bałem, mrocznych tuneli,
izb bez okien, dusznych pomieszczeń.
Ale wyście o tym nie wiedzieli
i do dzisiaj nie wiecie jeszcze.

Teraz, idąc ku tamtej stronie,
mej choroby bardzo się lękam
i gdy tylko pomyślę o niej,
trwożne serce z rozpaczy pęka.

Więc proszę was: nie dajcie zginąć
bez powietrza, łąki, strumienia.
Niechaj nurtem bystrym popłynę
do krainy wiecznego cienia.

Berlin, w kwietniu 1982

Paganini

Mówili o nim: szatan a nie człowiek,
o skrzypcach tylko: diabelski instrument.
Gdy wszedł na scenę w żałobnym surducie
o kruczych włosach i płonących oczach,
niektórzy trwożnie krzyżem się żegnali
i każdy mrowie czuł na plecach swoich.
Nikt nie pomyślał: oto talent boski,
potęga woli, nadludzki wysiłek.
Umiejętności gry jego łączono
z siłą nieczystą, magią niepojętą,
ale go wszędzie tłum słuchał z zachwytem
i podziw kręgi zataczał po świecie:
od Mediolanu, Genui do Wiednia,
Pragi, Poznania, Berlina i dalej.
W tysiąc osiemset osiemnastym roku
Lipiński nagle do Piacenzy zjechał,
Polak z Warszawy, zmierzyli się obaj
w koncercie sławnym nad sławne koncerty.
Który z nich lepszy? Obaj byli lepsi.
Nie rozstrzygnięto sporu, ale sława
przy Paganinim została. A gdy już
na raka krtani umierał w Nicei,
płakali młodzi. Wspaniały miał pogrzeb,
tylko duchowni zawiedli, albowiem
nie byli całkiem przekonani o tym,
czy się za życia nie pokumał z diabłem.

Kiedy się znajdziesz w Parmie, przyjacielu,
zajdź na mogiłę artysty koniecznie,
by głos usłyszeć czarodziejskich skrzypiec.

W marcu 1982

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Niezrównany świadek naszego czasu i świata

EMIL BIELA

Tak nazywa Czesława Miłosza jego paryski przyjaciel ks. Józef Sadzik we wstępie do „Ziemi Ulro". Otrzymaliśmy właśnie krajową edycję tej książki. Wydanie pierwsze (1977) oraz wznowienie ukazało się nakładem Institut Litteraire w Paryżu. PiW-owski egzemplarz może być sprzedawany wyłącznie w Polsce i w krajach RWPG. Sprzedaż i wysyłka pocztowa do innych krajów jest wzbroniona. Dodaje to zastrzeżenie niezamierzonemu chyba przez autora wynikowi pracy pisarskiej cechę sensacyjnego smaczku. Zupełnie niepotrzebnie.

Co znaczy tytuł i w ogóle co to za książka? William Blake (1757—1827), angielski poeta, malarz, rysownik, twórca własnej mitologii o skomplikowanej symbolice stworzył termin „Ulro". Jest to smutna kraina, do której Blake odsyłał wszystkich ludzi duchowo okaleczonych, a przede wszystkim, filozofów i artystów. Miłoszowa „Ziemia Ulro" to lektura trudna, składająca się z czterdziestu dwóch esejów, w których autor wnikliwie analizuje swoje poglądy filozoficzne wynikłe z przemyśleń dzieł Blake'a, Swedenborga, Mickiewicza oraz krewnego Czesława, Oskara Władysława Miłosza. Znaleźć także można w tej opowieści eseistycznej refleksje na temat Witkacego, Gombrowicza (szczególnie interesujące, bo Miłosz był jego bliskim przyjacielem). Przybosia, a także dywagacje nad dziełem Dostojewskiego i nad losami zachodniej wyobraźni religijnej. Są też uwagi o alchemii i kabale, o teatrze Becketta, o laickim humanizmie, a także wyznanie o swojej wierze rzymsko-katolickiej. Wszystko to razem odsłania bogate wnętrze osobowe laureata nagrody Nobla i nie skłania raczej do polemiki (która przy niejednym wyznaniu aż się narzuca), lecz do pełnego szacunku uznania dla śmiałej szczerości. Niepodległość Miłoszowej myśli jest oczywista.

Zmarły w ubiegłym roku ks. Sadzik nazwał Miłosza świadkiem niezrównanym. Ja powiedziałbym, że autor „Doliny Issy" jest świadkiem niebezpiecznym. Nie da się skorumpować. Dowiódł tego całą swą twórczością, odważnym, chociaż bardzo samotniczym, życiorysem własnym. Miłosz to ciągle ten sam chłopiec rysujący w szkolnych zeszytach mapy swoich fantastycznych krajów, to ten sam poeta „katastrofista", i ten sam stary profesor w Berkeley wyłamujący bramy Ulro.

Szczególną atencją otacza twórca „Ziemi Ulro" Oskara Władysława Miłosza (1877—1939). Postać to zaiste niezwykła, „nowy Adam". Uważał siebie za kolejnego boskiego namiestnika i założyciela, choćby ludzie o tym nie wiedzieli, Kościoła szóstego, co nastąpiło podczas mistycznego olśnienia 14 grudnia 1914 roku. W naszym zracjonalizowanym bezlitośnie świecie uleganie, hołdowanie czy aprobowanie doktrynom mistycznym — a takie stanowisko zajmuje niejednokrotnie Czesław Miłosz — może budzić lekceważące, polemiczne wykrzykniki. Ale porzućmy ten problem, gdyż założyliśmy sobie apolemiczność wynikającą z autentycznego poszanowania cudzych poglądów, tym bardziej, że spisał je mężczyzna w sześćdziesiątym piątym roku swego życia i — jak wyznaje — pamięć jego jest wysmagana, pobita, posiniaczona i boi się przeszłości, jak kiedyś bał się tej stronicy w podręczniku historii naturalnej, na której była przedstawiona hiena przednimi kopytami stojąca na grobie.

Miłosz pisze o sobie: „Moje życie obfitowało w radość i rozpacz. W rozum i szaleństwo, w zło i dobro..." Obfitowało — powtórzmy z naciskiem! Stąd też pewnie „Ziemia Ulro" jest książką dziecinną i dorosłą, wzniosłą i przyziemną. Tak ją zresztą określa sam autor w ostatnim akapicie.

I na koniec bolesna uwaga o percepcji utworów Miłosza pod polskim niebem. Nabywcy, czytelnicy w cudzysłowie, rzucają się na książki twórcy poematu „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada" i...? I nie czytają ich! Są ozdobą półek z książkami. Wątpliwą, skoro nieznaną. Uczestniczyłem na wiosnę w jury konkursów recytatorskich. Wiersze Miłosza stanowiły znikomy procent popisów, promil. Podobnie jest w bibliotekach z lekturą trudnej prozy Miłoszowej. Miłosz uwielbia Mickiewicza, sam mówi, że pochodzi wprost od niego. Ma zatem jak wielki Adam marzyć, żeby jego księgi zbłądziły do bloków? Ale bądźmy spokojni. Czesław Miłosz zawsze ścigał niedostępne!

Czesław Miłosz „Ziemia Ulro" — PIW, Warszawa 1982, str. 280, cena 150 zł.

ADAM BART

Schizofrenik? Bohater? Neofaszysta?

Takie oto określenia nasuwają się przy próbie charakterystyki tytułowej postaci filmu. Młody — dwudziestosześcioletni Amerykanin — Travis wraca do kraju po odbyciu służby wojskowej, podczas której walczył w Wietnamie.

Wojna wietnamska to niejednokrotnie powracający motyw w amerykańskich filmach lat siedemdziesiątych. Była ona pokoleniowym przeżyciem całej generacji młodzieży. Wojna, walka — to wypróbowany dramaturgiczny środek umożliwiający ukazanie człowieka w sytuacji innej niż normalna, w sytuacji skrajnej, człowieka wytrąconego z ustalonych trybów rzeczywistości, z nalotu codziennego przyzwyczajenia, które jakże często pokrywa prawdziwe oblicze ludzkiej istoty.

Travis wykazuje cechy świadczące o pewnych zaburzeniach psychicznych, jawi się też jako bohater — obrońca moralności, a jednocześnie poglądy, które głosi i metody którymi działa nie mogą nie budzić skojarzeń z brutalnością i bezwzględnością faszystów.

Stan w jakim znajduje się Travis jest konsekwencją wojny, w której uczestniczył (choć owa wojna w filmie bezpośrednio w ogóle nie jest ukazana). I jest w tym zastanawiająca myśl, że wojna jest zarówno szaleństwem, jak i bohaterstwem w obronie szczytnych wartości (szczytnych przynajmniej w czyimś mniemaniu) i zarazem jest brutalnością, przemocą, okrucieństwem...

Nasz bohater cierpi na zaburzenia snu — nie może spać ani w nocy, ani w dzień. To pierwsza cecha mogąca wskazywać na zachwianie równowagi psychicznej.

Niemożność czy nieumiejętność nawiązania bliższego i trwalszego kontaktu z drugim człowiekiem jest cechą u Travisa graniczącą z psychopatią. Travis skarży się, że w życiu zawsze był samotny, lecz samotność nie wydaje się być dlań istotnie zbyt uciążliwa, prawdopodobnie dlatego, że tak bardzo jest pochłonięty przypatrywaniem się samemu sobie, swoim przeżyciom... rzeczywistość zewnętrzna zdaje się być dla mnie czymś za szklaną szybą. Intymny dziennik jest dla Travisa najlepszym przyjacielem, jedynym powiernikiem.

Monologi zza kadru będące jakby fragmentami tegoż dziennika silnie subiektywizują narrację w filmie, pozwalając na nadanie następstwu obrazów charakteru w dużej mierze skojarzeniowego — sprawia to wrażenie jakby świat, w którym żyje Travis był czymś bliskim świata wizji sennej, był projekcją psychiki Travisa. Efekt ten budują również powracające wciąż — niczym melodyczny refren — sekwencje zdjęć nocnych, w których żółta taksówka prowadzona przez Travisa mknie po ulicach Nowego Jorku niczym widmo. Podobny też walor posiadają zastosowane w filmie zdjęcia zwolnione.

Subiektywizm w doznawaniu świata, nadmierne skupienie uwagi na sobie graniczą z autyzmem — jednym z osiowych objawów schizofrenii.

Stopniowo sama obserwacja świata zza szyby taksówki zaczyna Travisowi coraz bardziej dokuczać, nie ma bowiem nad światem tym żadnej władzy — coraz bardziej wypełnia go pragnienie zrobienia czegoś, czegokolwiek, pragnienie to przeradza się w coś, co wypadałoby nazwać wolą mocy...

Travis zaczyna zachowywać się jeszcze bardziej dziwacznie niż dotychczas, goli głowę zostawiając tylko jedno pasmo włosów, chodzi uzbrojony w cały arsenał broni palnej różnego kalibru, intensywnie ćwiczy się w jej użyciu... trudno nie nazwać tego psychozą.

Ów bunt ma jednak również szlachetne pobudki. Otóż Travis pragnie wyrwać ze szponów alfonsa 13-letnią dziewczynę uprawiającą nierząd. Cel to nad wyraz godny pochwały, aczkolwiek sama bezpośrednio zainteresowana twierdziła, że nie jest jej źle, a próba ucieczki udaremniona przez jej „opiekuna", którą przypadkowo zaobserwował Travis, podjęta była w trakcie zamroczenia narkotykami i dlatego tylko nie pozwolono jej odejść.

Ostatecznie Travis z narażeniem własnego życia osiąga zamierzony cel. Iris — pseudonim zawodowy „Latwa", powraca do mamusi i tatusia, natomiast eksploatujący ją alfons (i kilka innych osób z nim związanych) zostaje zmasakrowany seriami kul z baterii rewolwerów, które w akcji używa nasz bohater. Trudno nie nazwać tego bohaterstwem.

Ten bohaterski czyn zostaje opisany w gazetach. Betsy — dziewczyna, która uprzednio wzgardziła Travisem teraz szuka z nim pojednania. On jednak odrzuca jej względy, dobrowolnie wybierając samotność, gdyż jak się zdaje zaspokoił już swoją ambicję bycia prawdziwym mężczyzną.

Z ambicją tą wiąże się również pragnienie bycia porządnym obywatelem, porządnym to za słabo zresztą powiedziane. Obsesyjnym marzeniem Travisa jest praca dla państwa w służbach specjalnych. Travis uważa bowiem, że naczelnym zadaniem w kraju jest oczyszczenie go z wszelkiego brudu, mentów, szumowin społecznych, które winne są całemu złu panoszącemu się wokół. Do owych brudów zalicza: prostytutki, alfonsów, pedałów, złodziei, Murzynów.

Radykalizm poglądów i metod działania imponujący. Zdrowe społeczeństwo powstanie wtedy, gdy jego niezdrowe części po prostu się zlikwiduje, fizycznie unicestwi. To przecież bardzo proste... Pod hasłem takim zapewne podpisałby się chętnie każdy faszysta.

Jest czymś niepokojącym, że po krwawej akcji Travisa, w zakończeniu filmu — który traktować można by jak pointę — widzimy naszego bohatera w pełni usatysfakcjonowanego, z dumą przeglądającego wycinki prasowe, zawierające sławiące go artykuły, czytającego dziękczynny list rodziców Iris.

Czy rzeczywiście, aby uzyskać potwierdzenie samego siebie, zdobyć szacunek ludzi, należy zabijać? Czy nie ma innych metod obrony wartości moralnych, w które się wierzy? Czy można, czy należy wartości te narzucać innym? Czy cel uświęca środki?

Takich jednak pytań Travis sobie nie zadaje, nie ma żadnych wątpliwości, nie zna rozterek, nie jest przecież wiecznie się wahającym europejskim intelektualistą. Za to jest kolejnym wcieleniem westernowych kowboi,dla których istnieją tylko dwie kwalifikacje: białe, czarne... dobre, złe.

Czy nam, obecnie może to starczyć?

Czarno-białe widzenie rzeczywistości na pewno nie... Tym bardziej takie widzenie świata jest w tym filmie niebezpieczne, że jest ono niezwykle sugestywne dzięki dużym walorom plastycznym zdjęć filmu, bardzo — przy wszystkich psychologicznych komplikacjach postaci — naturalnej grze Roberta de Niro, tudzież angażującemu emocjonalnie widza sposobowi filmowego opowiadania. Fim Martina Scorsesa dysponuje tradycyjnymi, najsilniejszymi atutami amerykańskiego kina, przy całej jednak swej filmowej atrakcyjności na płaszczyźnie tego, co niesie intelektualnie jest chyba nie do końca przemyślany.

TAKSÓWKARZ — produkcja: USA, reżyseria: Martin Scorsese.

Foto: Z.R.F

Aneks do rewii czyli co robiłem w Kołobrzegu?

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Wprawdzie Festiwal Piosenki Żołnierskiej zakończył się przed ponad dwoma tygodniami i czasowa odległość — nawet jak na tygodnik — od niego jest spora, ale mimo to w tym materiale raz jeszcze do kołobrzeskiej imprezy chciałbym powrócić. Z paru powodów. Po pierwsze — biorąc pod uwagę spóźnione retransmisje telewizyjne festiwalowych widowisk FPŻ zakończył się nie tak znów dawno. Po drugie — w międzyczasie opublikowano na łamach prasy miarodajną informację o ostatecznym odwołaniu tegorocznego Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu, więc — z braku tego typu imprez — o „Kołobrzegu" można popisać. Po trzecie — poprzedni materiał pisałem dość pośpiesznie, bowiem wróciłem do Łodzi we wtorek po południu, a artykuły do „Odgłosów" muszę składać nie później niż w środę. (Dlaczego mój powrót z festiwalu nastąpił tak późno, to zupełnie inna historia: po prostu Jacek Lech, jeden z najpopularniejszych polskich piosenkarzy ostatniego piętnastolecia, podjął się odprowadzić do Łodzi lekko stukniętego „Mini Morrisa" swoich znajomych. Postanowiliśmy więc wracać, wraz z paczką innych wykonawców, do Łodzi w dwa samochody. Niestety, wspomniani znajomi Jacka zapomnieli powiedzieć mu, że w ich „Morrisie" nie ładuje prądnica, w związku z tym ujechał on na trasie tyle, na ile starczyło mu prądu w akumulatorze, a dalej aż do Bydgoszczy — gdzie później zostawiliśmy nieszczęsny pojazd musiałem go holować. Rzecz cała działa się w pofestiwalowy poniedziałek, a gdy dojechałem do Bydgoszczy była już prawie dziesiąta wieczorem — postanowiliśmy, będąc u kresu sił, przenocować w hotelu „Brda" i stąd właśnie mój dopiero wtorkowy powrót, a co za tym idzie nadmierny pośpiech przy pisaniu relacji z Festiwalu Piosenki Żołnierskiej). Po czwarte wreszcie — gdy poszedłem do wydawnictwa rozliczyć wystawioną mi przez redakcję „Odgłosów" delegację na kołobrzeską imprezę, okazało się, że otrzymałem w ramach zwrotu naprawdę dużą sumę pieniędzy i nietaktem byłoby zbyć pismo jednym tylko materiałem o FPŻ, za który nie otrzymam nawet tysiąca złotych.

Mam nadzieję, że w sposób wystarczający umotywowałem swoją decyzję w sprawie powtórnego pisania o tegorocznym „Kołobrzegu", choć na pewno nie uwolniłem się od podejrzeń, dlaczego po raz któryś z rzędu unikam pisania zapowiadanego od dawna materiału o koniecznych wydatkach zawodowych ludzi z branży estradowej. To tylko przypadek spowodowany aktualnością kołobrzeskiego tematu i obiecuję za tydzień...

A teraz wróćmy raz jeszcze na estradę amfiteatru w Kołobrzegu. Z pewnością wszyscy obserwatorzy kołobrzeskiego festiwalu zwrócili uwagę na fakt zmiany w tym roku garnituru festiwalowych wykonawców piosenek, zwłaszcza jeśli chodzi o premiery. Zabrakło tym razem wielu tzw. „etatowych" wykonawców śpiewających na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej. Przyjechał wprawdzie Adam Zwierz, ale nie było na festiwalu m. in. Reginy Pisarek, Niny Urbano, Krzysztofa Cwynara i wielu innych wykonawców, którzy nieodparcie z „Kołobrzegiem" nam się kojarzą. Ich miejsce w koncercie premier zajęli nowi ludzie, właściciele naprawdę nowych twarzy na tym festiwalu. Nie wszyscy wypadli dobrze, niektórzy wypadli z frazy, ale myślę, że przynajmniej przedstawiciele naszego miasta (a było ich wśród festiwalowej „młodzieży" dość dużo) spisali się dobrze, choć nie zdobyli głównych nagród. Dobre wrażenie zrobił na mnie także Jacek Labuda, śpiewak obdarzony mocnym głosem i nie pozbawiony humoru, który refrenem zaczynającym się od słów: „A pancerni, jak pancerni..." wbił mi się w pamięć do tego stopnia, że zacząłem to sam nucić ku rozweseleniu znajomych naśladując manierę wykonawczą Jacka Labudy z umiejętnością zawodowego parodysty.

Tymczasem — i to piszę już w zgoła innym tonie — nie zaśpiewał w tym roku w Kołobrzegu Andrzej Maciej Chmielarz. Nie zaśpiewa już nigdy. Kilka dni przed rozpoczęciem festiwalu ten utalentowany wokalista, pianista i kompozytor zmarł śmiercią tragiczną. Maciek — jak nazywali go koledzy — przez szereg lat związany był z Łodzią; tutaj w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej zdobył tytuł magistra sztuki na Wydziale Wokalno-Aktorskim. Przypomnijmy, że jeszcze w czasie studiów był założycielem wokalnego zespołu „Camer Ton", który później przerodził się w grupę „Bene Nati". Również jako student próbował swych sił w komponowaniu piosenek; był wielokrotnym laureatem giełd piosenki odbywających się na początku lat siedemdziesiątych w Klubie Dziennikarza przy ul. Piotrkowskiej 96. Po ukończeniu studiów nie wiodło mu się najlepiej, niemniej jednak pozostał artystą bardzo wrażliwym na wszelkie zmiany w muzyce. W Kołobrzegu śpiewał już wcześniej, występował także na estradach całego kraju w różnego rodzaju imprezach. O ile mi wiadomo, przymierzał się ostatnio do dokonania nowych nagrań radiowych. Być może one otworzyłyby mu drogę na antenę. Niestety, tragiczna śmierć młodego wokalisty przekreśliła te plany.

Pisząc o odmienionym garniturze wykonawców na tegorocznym Festiwalu Piosenki Żołnierskiej chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę. Otóż ilekroć mówiłem o tym, że organizatorzy festiwalu zaprosili w tym roku sporo festiwalowych debiutantów, zawsze padało — może z racji tego, że przyjaźnimy się od wielu lat — pytanie „a Kowalski?". Dziwi mnie to, bo w końcu trudno zaliczać Kazimierza Kowalskiego do grona „etatowych" wykonawców „Kołobrzegu". Festiwal ma już szesnaście lat, wspomniani przeze mnie wcześniej wykonawcy brali w nim udział dziesięć, jeśli nie więcej razy, tymczasem K. Kowalski śpiewał na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej tylko trzykrotnie. To prawda, że wszedł na kołobrzeską estradę z mocnym akcentem — w 1978 roku zdobyliśmy tam (ja jako autor tekstu) „Złoty Pierścień" za „Marsz bliski sercu", ale później śpiewał tam Kazio tylko dwa razy. Nie brał też udziału w ubiegłorocznym „Kołobrzegu" — w tym czasie przebywał z recitalami na Kubie. Stąd też zaskakująca jest dla mnie tendencja przypisywania Kowalskiego do grupy wykonawców od lat związanych na stałe z kołobrzeskim festiwalem.

Niezmiennie natomiast jest z tą imprezą związana Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi pod dyrekcją Henryka Debicha. Zresztą ten ostatni był już — za swoją pracę — laureatem różnego rodzaju festiwalowych nagród; w tym roku otrzymał od Polskiej Żeglugi Bałtyckiej gratisowy bilet na prom do Helsinek (ale z prawem powrotu tym samym rejsem — co zawsze skwapliwie zaznaczam). Notabene: na tegorocznym festiwalu w orkiestrze prowadzonej przez ojca grał (na instrumentach klawiszowych) Debich-junior — Mariusz, syn popularnego dyrygenta. O udziale w festiwalu łódzkiej orkiestry piszę niezmiennie co roku, bowiem wykonuje ona każdorazowo gigantyczną pracę przygotowując nie tylko wykonanie partytur premierowych utworów zgodnie z intencją kompozytorów i aranżerów, ale także przez parę miesięcy poprzedzających festiwal w Kołobrzegu nagrywa piosenki przeznaczone przez organizatorów na płyty lub kasety wydawane z okazji festiwalu. Jest to iście mrówcza robota.

Niebagatelną pracę ma również do wykonania reżyser dźwięku z R-1 łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia — Michał Targowski, który po nagraniu wszystkiego co trzeba na kasety, po przygotowaniu play-backów widowisk, wyjeżdża realizować dźwiękowo kołobrzeską imprezę. Nie jest to czczy ukłon w stronę pana Michała, któremu też zdarzy się, że coś nie wyjdzie, ale wbrew pozorom jest to naprawdę niezwykle trudna praca, do czego zresztą postaram się jeszcze w przyszłości powrócić.

Konferansjerzy na każdym festiwalu stanowią sprawę osobną. Jeśli chodzi o Kołobrzeg, to na przestrzeni szesnastu lat zapowiadali tam różni ludzie. Najwierniejszy temu festiwalowi jest chyba Stanisław Mikulski, który przed rokiem zniekształcił mi nazwisko zapowiadając „piosenkę z tekstem Krzysztofa Drzewickiego", na co natychmiast udałem się za kulisy ze złośliwym zdaniem: „Bardzo dziękuję za ładną zapowiedź, panie Michalski". W tym roku również konferansjerowi nie szło najlepiej, a ja w takich chwilach wyobrażałem sobie, co by było, gdyby z drugiej strony estrady wyszedł nagle partner Mikulskiego ze „Stawki większej niż życie" — Emil Karewicz i jako Brunner powiedział ze swoistym grymasem: „Ooo, nieładnie Kloss, nieładnie. Od jak dawna dla nich pracujesz?".

Oprócz Stanisława Mikulskiego zaproszono w tym roku do prowadzenia festiwalowych koncertów Annę Głębicką, która nie dojechała, i Irenę Falską, która dojechała. Wprawdzie do tej ostatniej nie mam zastrzeżeń, jeśli chodzi o przekręcanie nazwiska, o czym jej zaraz po festiwalu powiedziałem, ale zawsze gdy zobaczyłem panią Falską na estradzie miałem wrażenie, że powie ona: „A teraz przedstawię państwu wiadomości trzeciego wydania...". Poza tym, gdy tuż po zakończeniu kołobrzeskiej imprezy odbierałem w księgowości Biura Festiwalu sumę za wyróżnienie mojej piosenki (szybko wyjaśniam: pięć tysięcy złotych bez podatku), swoje honorarium podejmowała tam także pani Irena Falska. Z natury nie mam inklinacji do zaglądania innym w kieszeń, lecz kiedy zobaczyłem ile to jest pieniędzy, powiedziałem z miejsca: „Jak to dobrze, że w przyszłym roku nie piszę piosenek do koncertu premier. Będę zapowiadał".

A swoją drogą, choć nikomu nie mam za złe, czy organizatorzy Festiwalu Piosenki Żołnierskiej nie mogą się pokusić, zmieniając garnitur wykonawców o zaproszenie innych konferansjerów?

Co jeszcze robiłem w Kołobrzegu? Chodziłem na długie spacery wzdłuż nadmorskiej plaży, nadawałem — z oporami, bo a to popsuł się dalekopis, a to nie było pani teletypistki — teleksy do zaprzyjaźnionego „Expressu Ilustrowanego", a raz celem „oblania" wyróżnienia dałem się namówić na kupno do spółki pół litra wódki „Bałtyckiej" w nocnym barku w hotelu „Skanpol". Owe pół litra kosztowało tam tysiąc sześćset złotych i kupiliśmy je, z braku żyrantów, tylko raz.

Tak więc kółko się zamyka i już teraz w następnym materiale nie wywinę się od podjęcia drażliwej sprawy swych wydatków związanych z uprawianiem mego niepewnego zawodu. Oczywiście, wspomnianego „pół gazu" do tych wydatków nie zaliczam.

W kręgu fantastyki

Redaguje Dariusz Milerski z warszawskim SFAN-CLUBEM. Autorów pragnących podjąć współpracę prosimy o kierowanie tekstów na adres: Grupa „TRUST" SFAN-CLUB, Groteka, Al. Jerozolimskie 2, 00—375 Warszawa. SFAN-CLUB zaprasza zwłaszcza debiutantów, obiecując odpowiedzieć każdemu, choć może to trochę potrwać.

DYMITR DE SPILER

Żółta kolejka

1. KILKA SŁÓW O SOBIE

Urodziłem się w..... roku na Marsie. W tym czasie dopiero zaczęła się kolonizacja planety. Istniały na niej wtedy tylko dwa osiedla — północne i południowe, rozdzielone dwudziestoma kilometrami czerwonego piasku. Między piaszczystymi wzgórzami wiła się linia kolejki elektrycznej, łącząca oba osiedla.

Kiedy się urodziłem, w północnym osiedlu było już troje, a w południowym — pięcioro dzieci pierwszego pokolenia Marsjan.

Gdy miałem siedem lat, jak należy, posłano mnie do szkoły. Szkoła znajdowała się w południowym osiedlu, a ponieważ wraz z rodzicami mieszkałem w północnym, na zajęcia musiałem dojeżdżać kolejką.

Między osiedlami kursowały wtedy dwie kolejki. Jedna z nich, zmontowana z części ściągniętych z Ziemi, była jaskrawoczerwona i bardzo lubiłem nią jeździć. Drugiej kolejki, prawdę mówiąc, trochę się bałem. Zbudowana była z miejscowych odpadów użytkowych i pomalowana na żółto.

Pamiętam, jak stojąc na peronie w swym maleńkim skafandrze, patrząc na podjeżdżającą żółtą kolejkę, zawsze doznawałem uczucia gwałtownego, dojmującego smutku połączonego z dławiącym strachem. Nigdy tego nie zapomnę!

Na Marsie ukończyłem cztery klasy. W celu dalszej nauki wysłano mnie, razem z innymi dziećmi — „Marsjanami", na Ziemię. Przed odjazdem na kosmodrom po raz ostatni w życiu widziałem żółtą kolejkę. Wydało mi się wtedy, że przyglądając się jej, ujrzałem czyjąś bardzo smutną i odrobinę straszną twarz.

Godzinę później wraz z rodzicami leciałem na Ziemię...

Po ukończeniu szkoły średniej rozpocząłem studia w Moskiewskim Instytucie Lingwistyki Matematycznej na wydziale języków kosmicznych.

Nikt wtedy jeszcze nie wiedział, czy istnieje choć jeden pozaziemski język kosmiczny. Ale przyjmowano za pewnik, że dowolny pozaziemski system kodowania informacji, nawet najbardziej ekscentryczny, powinien jednak spełniać pięć aksjomatów Le Boine'a.

Było to błędem, ale błędem bardzo pociągającym. Sprostować go pomogła, jakkolwiek może się to wydawać dziwne, towarzyszka mojego dzieciństwa, stara, żółta kolejka. A oto jak do tego doszło.

2. RYSYNKI NA ŚCIANACH KANAŁU

Po ukończeniu instytutu wysłany zostałem na słynną planetę Rusch. Planeta ta, odkryta na dwa lata przed moim urodzeniem, zwróciła na siebie uwagę kosmobiologów. Na Rusch'u najwyraźniej istniała kiedyś cywilizacja, zniszczona następnie przez wybuch Amimony — gwiazdy, wokół której kraży planeta. Bezludna sonda kosmiczna wykryła na Rusch'u system kanałów, niewątpliwie sztucznego pochodzenia. Wkrótce została tam wysłana czteroosobowa ekspedycja. Przez trzy lata uczestnicy ekspedycji poczynili wiele odkryć i, między innymi, znaleźli marmurową płytę inkrustowaną czarnym gnejsem w taki sposób, że pokrywały ją wzory podobne do znaków pisma. Wszyscy kosmolingwiści z naszego instytutu szczegółowo studiowali fotografie tej płyty. Można powiedzieć, że znali każdy centymetr kwadratowy jej powierzchni na pamięć, ale nikomu nie udało się rozszyfrować widniejących na niej znaków.

Wraz ze mną wybierał się na planetę znany kosmobiolog Michaił Graczew i kosmoarcheolog Nikołaj Dubnicki. Ja, Graczew i Dubnicki mieliśmy zmienić trzy z czworga pracujących tam osób.

Lecieliśmy długo. Niejakie ożywienie w monotonne życie naszego małego światka wprowadzały częste spory między Graczewem i Dubnickim. Dotyczyły one możliwości występowania istot pozaziemskich zewnętrznie podobnych do ludzi. Graczew uważał, że jest to mało prawdopodobne, a Dubnicki z kolei szczerze wierzył w taką możliwość.

Przylecieliśmy na Rusch, gdy na jego północnej półkuli trwało upalne lato. Wylądowaliśmy w pobliżu wysokiej kopuły kryjącej stację. Był wieczór, ale co chwilę biały piasek rozjaśniały błyski meteorów. „Tubylcy" pochwycili nas w objęcia i zaraz po powitaniu trzech z nich odleciało: do pośpiechu zmuszała ich sytuacja astronomiczna. Czwarty „tubylec" zaprowadził nas do stacji.

Kiedy się już zdążyliśmy rozebrać, umyć, napić herbaty i nagadać do syta, gospodarz pokazał nam swój album z rysunkami.

Początkowo wydawało się, że rysunki nie mają żadnego związku z jego zawodem. Gospodarz był przecież matematykiem. Ale omyliliśmy się i Piotr Wasiliewicz Batałow wyprowadził nas z błędu.

— Popatrzcie proszę jeszcze raz na te rysunki i powiedzcie czy nie widzicie w nich wspólnych cech — poprosił Batałow.

Jeszcze raz przejrzeliśmy cały album. Zawierał on szereg bardzo charakterystycznych i nieoczekiwanych fizjonomii.

— Łączy je ich oryginalność — powiedziałem.

— Twarz w jakiś sposób przypomina elektron — spokojnie zauważył Graczew. — Zwróciłem na to uwagę jeszcze jako student. Elektron nie istnieje jako taki, ale wytwarza wokół siebie pole. Tak samo twarz. Istnieje ona nie w sposób wyizolowany, a tworzy wokół siebie pewne dobrze wyczuwalne pole emocjonalne.

— Powiem wam co jest wspólnego w tych wszystkich twarzach. Wszystkie one są narysowane przy pomocy krzywych, będących rozwiązaniami takiego to równania różniczkowego — schyliwszy się, Batałow napisał na kartce bardzo skomplikowany wzór.

— I tym tłumaczą się zbieżności między tymi fizjonomiami? — spytał Dubnicki.

— Według mnie tak — odparł Batałow. — Jestem zupełnie pewien, że określone inwarianty matematyczne są związane z wyrazem twarzy.

— Dawno doszedł pan do tego wniosku?

— Jeszcze na Ziemi. Matematyczne badania fizjonomii to moje hobby. Ale na razie mam jeszcze skromne wyniki...

— Jednak nie nazwałbym skromnymi pańskich sukcesów artystycznych — powiedział Dubnicki, wskazując palcem zupełnie oszałamiającą fizjonomię w albumie Batałowa.

— Ta twarz została stworzona wyłącznie przy pomocy równania i tablicy liczb losowych. Moje zdolności artystyczne nie mają tu nic do rzeczy...

Następnego dnia rano udaliśmy się na miejsce wykopalisk. Przez kwadrans Batałow prowadził planetochód po pustyni, lawirując między oślepiająco białymi piaskowymi kopułami. Potem przed nami ukazał się kanał w perłowoszarym, marmurowym odcieniu. Kamienne dno kanału skrywał cień. W wyniku niezwykłej przejrzystości powietrza, cienie na Rusch'u były bardzo gęste i kanał zdawał się nie mieć dna.

Nurknąwszy w jego głębię planetochód skręcił w lewo i pojechał marmurowym korytem.

Spoglądałem na zanurzone w gęstym cieniu marmurowe, popękane płyty, którymi wyłożone były ściany kanału. Mieliśmy tędy jechać przez jakieś dwadzieścia minut.

W pewnym miejscu kanał ostro skręcał i kiedy tamtędy przejeżdżaliśmy, nagle, na moment ogarnęło mnie to samo ostre, dławiące uczucie smutku połączonego ze strachem, którego tyle razy doświadczałem patrząc na podjeżdżającą do peronu kolejkę. Nie przywiązywałem jednak do tego żadnego znaczenia.

Wkrótce planetochód wynurzył się z kanału i podjechał do stanowiska, gdzie prowadzone były aktualnie badania archeologiczne. Wyszliśmy z pojazdu i rozejrzeliśmy się.

Pośrodku piaskowej odkrywki stała maleńka koparka oświetlająca dno wykopu trzema silnymi reflektorami. Na tych szerokościach Amimona nigdy nie wznosi się nad horyzontem wyżej, niż na dwadzieścia stopni i gdyby nie reflektory, piasek w głębinie byłby wiecznie pogrążony w głębokim cieniu. Dzięki reflektorom zobaczyliśmy ogromną ilość marmurowych przedmiotów. Leżały tam nieforemne kawałki marmuru, szlifowane marmurowe kolumny, marmurowe gzymsy i dwie olbrzymie marmurowe płyty do połowy zasypane piaskiem.

Przez prawie półtorej godziny oglądaliśmy odkrywkę. W drodze powrotnej ja siadłem za kierownicą planetochodu, a trójka moich towarzyszy ulokowała się na skórzanych poduszkach z tyłu.

Odkrycia przekreślającego hipotezę Le-Boine'a dokonaliśmy zupełnie przypadkowo. Kiedy przejeżdżaliśmy obok miejsca, gdzie kanał się wyginał, na niebie nad nami nastąpił jasny błysk meteoru i w tym momencie tuż przed sobą ujrzałem czyjąś smutną i trochę straszną twarz, która żywo przypominała mi żółtą kolejkę. Ze zdumienia aż krzyknąłem i zatrzymałem planetochód. Meteor zgasł. Teraz, nie było widać nic, oprócz pęknięć na ścianie. Ale nagle na niebie zapaliły się setki meteorów. Rozpoczął się jeden z najpiękniejszych i najdłuższych deszczów meteorów, jakie kiedykolwiek zaobserwowano na Rusch'u.

Trwał ponad godzinę, w tym czasie zdążyliśmy obejrzeć i wielokrotnie sfotografować te dziwne rysunki, które przedtem, w półcieniu, uważane były przez wszystkich po prostu za pęknięcia i szczeliny.

Długo i uważnie nie można przyglądać się tym rysunkom; zaczyna się wydawać, że otaczają was zniekształcone i posępne istoty. Człowieka ogarnia ogromny niepokój. Rodzi się słabo, nie wypowiedzianie smutno i zaczyna kręcić się w głowie.

Zresztą objawy te występują tylko wtedy, gdy patrzy się na rysunki z daleka. Kiedy podchodziliśmy blisko, widzieliśmy jedynie cienkie linie wyrysowane czarną farbą na płytach kanału w miejscu jego załamania.

Fotografując rysunki raz jeszcze doznałem uczucia podobnego do tego, którego doświadczałem w dzieciństwie patrząc na żółtą kolejkę. Gdy zakończyliśmy pracę zwróciłem się do Batałowa i podwiedziałem mu, że to, co widzieliśmy wiąże się z moimi wspomnieniami z dzieciństwa.

3. TAJEMNICA KOLEJKI

Wieczorem, przy kolacji, opowiedziałem towarzyszom o żółtej kolejce, o uczuciu smutku połączonego ze strachem, którego doświadczałem w dzieciństwie widząc ją, a także o tym, że dziś doznałem podobnego uczucia.

— Proszę narysować tę pańską kolejkę — poprosił Batałow.

Wysilając pamięć na kartce papieru naszkicowałem kolejkę z przodu.

— Wyjaśnię dlaczego ta kolejka wywierała na panu takie wrażenie — powiedział Batałow. — Ona oddziałuje na pana falą symboliki charakterystycznej dla smutnej, ludzkiej twarzy.

— Jak to?

— Niech pan popatrzy: na środku jej przedniej ściany znajdują się drzwi, a po bokach dwa okna. Drzwi, w pana wyobraźni, odpowiadały symbolowi nosa, a okna — symbolom oczu. Pan wie, że kiedy brwi zbliżając się, podnoszą do góry, to twarz przybiera smutny wyraz?

— Ale kolejka nie ma nic takiego, co można by uznać za brwi!

— Zupełnie słusznie! Proszę jednak zwrócić uwagę, w jaki sposób są rozmieszczone jej okna — oczy, w stosunku do drzwi — nosa. Są położone bardzo nisko. Teraz, gdyby spróbował pan dorysować brwi, musiałyby się one unosić od brzegu w kierunku środka.

Batałow dorysował na moim szkicu brwi i kontynuował:

— Niech pan spojrzy na platformę z balustradą, gdzie schodził maszynista wychodząc przez drzwi. Pańska wyobraźnia utożsamiła ją z otwartymi ustami. Nic dziwnego, że kolejka wydawała się panu jednocześnie smutna i trochę straszna.

Zgodziłem się z Batałowem, ale zauważyłem, że dalej niezrozumiałe jest, dlaczego patrząc na odkryte przez nas rysunki, doświadczyłem takiego właśnie uczucia, jak w dzieciństwie na widok kolejki.

— Chyba domyślam się o co tu chodzi. Ogólnie wiadomo, że reakcje na wyrazy twarzy mamy wrodzone. Ale przypuszczam, że reagujemy emocjonalnie nie tyle na wyrazy twarzy jako takie, ale raczej na niektóre zależności matematyczne, przekazywane naszej podświadomości przy pomocy wyrazów twarzy. Najwidoczniej mogą istnieć i inni pośrednicy, zdolni przekazywać informacje o tych samych zależnościach i wywoływać u nas te same emocje. Być może krzywe na marmurowych płytach są takimi właśnie pośrednikami. A kiedy zobaczył je pan pod określonym kątem, podziałały na pańską wyobraźnię tak, jak marsjańska kolejka.

— Należy przypuszczać, że krzywe te dużo bardziej intensywnie niż wyrazy twarzy przekazują naszej podświadomości te zależności matematyczne, o których pan mówił! — wykrzyknąłem. — Jeśli wywarł na nas wszystkich takie silne wrażenie...

— Oczywiście! Omal nie zemdlałem.

— Ale do czego służyły te rysunki?

— Tego nie wiem — odparł Batałow.

I nie dowiedział się tego nikt z nas aż do samego powrotu na Ziemię.

4. HIPOTEZA JOWANA DOBRICZA

Spędziliśmy na Rusch'u ponad rok. Przez pierwsze dni bardzo dokładnie zbadaliśmy cały kanał i wysłaliśmy na Ziemię dokładny referat na temat naszego odkrycia, bogato ilustrowany zdjęciami holograficznymi. Do referatu dołączyliśmy streszczenie teorii Batałowa dotyczącej matematycznych podstaw wyrazu twarzy. Nie przemilczeliśmy też okoliczności związanych z kolejką marsjańską.

Przez długi czas szukaliśmy na Rusch'u podobnych ryusnków, ale wkrótce porzuciliśmy te poszukiwania, które i tak nie przynosiły żadnego rezultatu. Za to dokonaliśmy jeszcze jednego ciekawego odkrycia.

Któregoś razu, rozkopując piaszczysty pagórek niedaleko od miejsca, gdzie mieszkaliśmy, Dubnicki wyciągnął z ziemi gnejsowy odłamek z wyciosaną podobizną postaci ludzkiej. Rysunek był bardzo umowny i nie można było na jego podstawie dokładnie wyobrazić sobie człowieka, którego przedstawiał. Jedno było pewne: przedstawiał właśnie humanoida, a nie jakąś inną istotę! Tym sposobem stary spór między Graczewem a Dubnickim został rozstrzygnięty na korzyść tego ostatniego.

Przez resztę pobytu na Rusch'u nie dokonaliśmy już żadnych nowych odkryć.

Statek z Ziemi nadleciał równocześnie z nastaniem mrozów. Zmieniła nas ośmioosobowa grupa, a my wróciliśmy na Ziemię.

Z hipotezą profesora Jowana Dobricza zapoznałem się w tydzień po powrocie na Ziemię. Dobricz zjawił się w Centrum Kosmicznym, gdzie miałem wykład o odkryciach dokonanych przez naszą grupę na Rusch'u i, podszedłszy do mnie po zakończeniu wykładu, powiedział, że chciałby przedstawić mi swoją hipotezę. Moje zdanie liczyło się dla niego, jako że byłem jedynym kosmolingwistą, który był na Rusch'u.

Zgodnie z hipotezą Jowana Dobricza mogą istnieć języki, w których zupełnie brak informacji o faktach. Takie języki Dobricz nazwał niewymownymi.

Dowolny ziemski język spełnia dwie funkcje. Po pierwsze przekazuje uczucia. Po drugie komunikuje fakty. Mowa ludzka jednocześnies wyraża uczucia i informuje o faktach.

Te dwie funkcje nie wyczerpują zadań ludzkiej mowy. Mowa może wyrażać wolę mówiącego, pobudzać słuchacza do pewnych działań...

Dobricz wysunął przypuszczenie, że starożytnie wyraża uczucia i informuje o faktach.

kiem wyłącznie w celu przekazywania emocji. A oto dlaczego nie przeszkodziło im to w stworzeniu cywilizacji. Mówiąc — Rusch'anin wywoływał u słuchającego taki stan emocjonalny, który stwarzał wewnętrzną potrzebę określonych działań, choć nikt nie mówił, co konkretnie powinien robić.

Zalążkowe formy takiego sposobu porozumiewania się, można zaobserwować i u ludzi. Jeśli ktoś będzie zawsze z radością witał gościa, to, nawet bez zapraszania do dalszych odwiedzin, gość będzie przychodził częściej. Jeśli zaś będzie się witać gościa zawsze chłodno i nieprzyjaźnie, wtedy, nawet nie otrzymawszy zakazu przychodzenia, gość przychodzić przestanie.

Zdolność jednoznacznego reagowania działaniem na różnorodne stany emocjonalne istnieje u człowieka w stanie szczątkowym. Ale mogła się rozwinąć u mieszkańców Rusch'a.

Profesor Dobricz założył, że na ścianie kanału Rusch'ańskiego jest zapisany skomplikowany tekst w języku niewymownym. Mogłaby to być na przykład instrukcja dotycząca projektowania lub budowy kanału.

Jednak, aby „przeczytać" ten tekst, starożytny Rusch'anin powinien przejść przez szereg różnorodnych stanów emocjonalnych, z których każdy wywoływał u niego potrzebę uzewnętrznienia go poprzez określone działania.

— Kiedy jest panu wesoło, ma pan ochotę tańczyć — mówił Dobricz z przejęciem — a Rusch'anin mógł w tym przypadku zapragnąć przenieść kamień z jednego stosu na drugi...

Wysłuchawszy profesora Dobricza musiałem przyznać, że jego hipoteza wydaje mi się bardzo prawdopodobna.

Obecnie obie hipotezy — Piotra Bałatowa i Jowana Dobricza — zostały powszechnie uznane. Nowe znaleziska na Rusch'u potwierdziły je i udowodniły, że jako bezpośrednia forma komunikacji u starożytnych Rusch'an służyła wymiana grymasów mimicznych. Dowodzą tego zdjęcia grupy płaskorzeźb, znalezionych niedaleko odkrywki. Silne wstrząsy sejsmiczne, które przerwały Ziemianom próby wyciągnięcia tych rzeźb z gruntu, zmusiły uczonych do odłożenia badań Rusch'a na jakiś czas. Ale i tak zebrane informacje w sposób wystarczający potwierdzają obie te hipotezy. Jeśli chodzi o mnie, to nie mam żadnych wątpliwości co do ich słuszności.

★

☆ ☆

Jestem dumny, że przyczyniłem się do powstania obu tych hipotez, ale czasem żałuję, że już nigdy nie zobaczę na Marsie, pokrytym obecnie olbrzymimi miastami i przeoranym autostradami, towarzyszki mojego dzieciństwa — starej, żółtej kolejki.

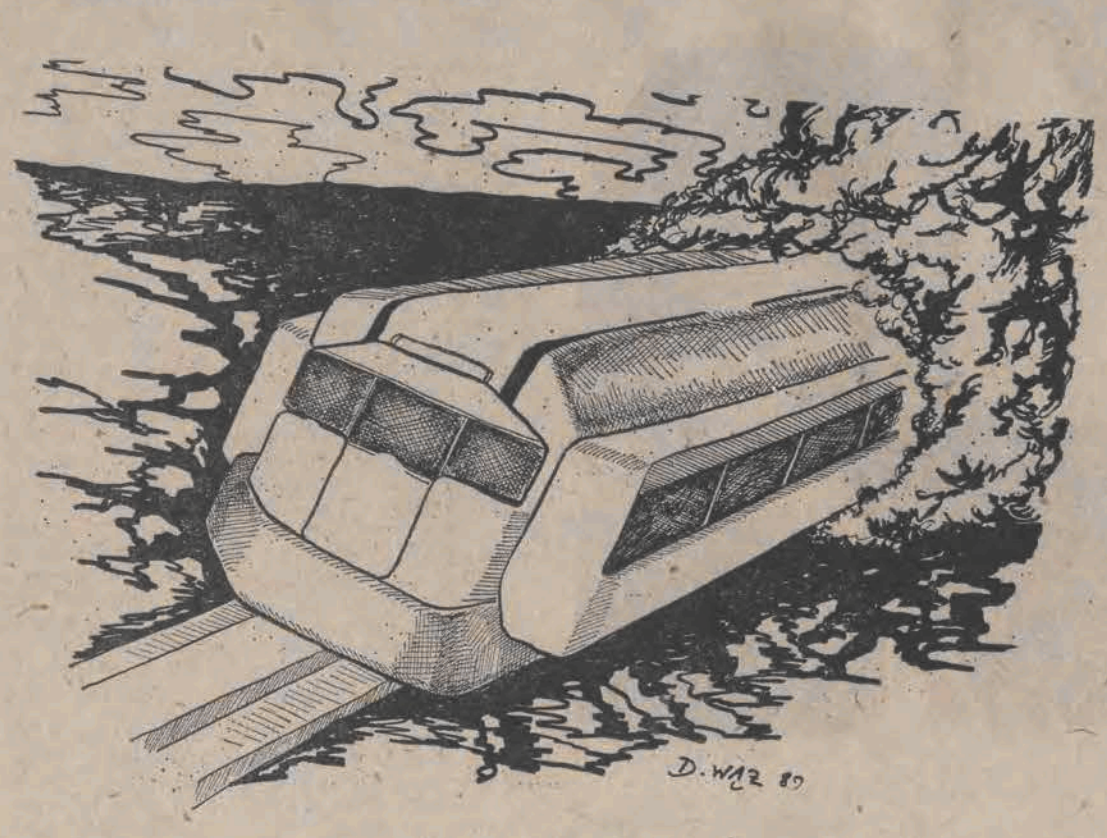

Wydawnictwo „Młoda Gwardia" Moskwa 1981 rok.

Tłumaczenie:
EWA i DARIUSZ MILERSCY

Robert AZEMBSKI. Urodził się w Warszawie 4 maja 1964 r. Jest uczniem Liceum Ogólnokształcącego im. A. Dobiszewskiego w Warszawie, klasa III o profilu humanistycznym. Fantastyką interesuje się od 12 roku życia. W b.r. otrzymał wyróżnienie na Ogólnopolskim Konkursie Literackim na utwór science fiction. Członek grupy TRUST.

Publikowane poniżej opowiadanie — debiut — jest ciekawym rozwinięciem klasycznego motywu społeczeństwa centralnie sterowanego, wzbogaconym o dodatkowy (też co prawda nie nowy) element kontroli populacji poprzez ograniczanie długości życia. Zaliczyć możemy je do antyutopii, choć z dosyć optymistycznym końcowym akcentem.

M.D.

ROBERT AZEMBSKI

Muzyczny starzec

Rys. Dariusz Wąż

Sygnał do rozmowy poruszył świadomość młodych niespodziewanie, w chwili gdy oglądali telewizję.

— Taak — ziewnęła dziewczyna, ściszając odbiornik. — Wielkie świństwo zrobili Rafałowi. Wyrzucić ze szkoły prawie za nic... Mogli mu przecież zwiększyć ilość sygnałów na dobę.

— Nie wiem naprawdę, o co ci chodzi — drażniący sygnał obrócił młodego mężczyznę w fotelu. — Przecież wiesz dobrze, że to jedno z największych przekroczeń Przepisów: „Wszelka forma muzyczna jest przeżytkiem pokolenia ubiegłego i jako taka podlega całkowitej dezintegracji" — zacytował. — On słuchał koncertu i... jak to się mówiło? przyjmował... przeżuwał...?

— Przeżywał — podpowiedziała matka chłopca.

— Tak. Przeżywał go. I tylko jego młody wiek — tu mężczyzna skrzywił się — może go usprawiedliwiać.

— Wyrzucili go ze szkoły i wtedy to się zaczęło.

— Co?

— Stres. Stres to jest coś takiego, co osłabia system nerwowy, powoduje wcześniejsze starzenie, a nawet...

— Nawet śmierć — podchwycił ojciec chłopca.

— Właśnie. Wyczytałam to w jednej z dawnych książek. Gdyby udało nam się stworzyć mu więcej takich stresów... wielka szansa dla nas. Szansa wiecznego życia.

— Nie! Nie mów tak nawet. Obowiązkiem pokoleniowca jest odejść. Fundamentalny przepis. Każdego to czeka. I nas też. Boże, czy ktoś nas nie słyszał? Odcięliby nam wszystkie sygnały i odizolowali — mężczyzna dostał sygnał, pod wpływem którego rozglądał się trwożnie wokoło. Czy ktoś tego nie słyszał?

Za oknami grzmiało. To meteorologowie dziurawili pociskami chmury, żeby wywołać deszcz. Deszcz — sygnał wzrostu dla roślin.

Chłopiec czytał. Czytał zapamiętale, nie opuszczając ani fragmentu. Jedyną i najpiękniejszą lekturę — Przepisy Współczesnego Świata. Było tam wszystko. Na początku o tym, że świat jest zbiorem ludzi dostającym sygnały determinujące do działania.

„Pokolenie obecne" — czytał dalej — „jest doskonalsze, ponieważ sygnały przekazywane są za pomocą fali elektromagnetycznej. Taki model przekazu wyklucza możliwość zaistnienia nieporozumienia w interpretacji sygnału." I poniżej: „Każdy człowiek, który kończy 80 lat musi odejść. Jest Pokoleniowcem (stoi na skraju dwóch pokoleń: swojego i następnego), ma więc obowiązek odejść, aby umożliwić wejście nowemu pokoleniu. Ponieważ naturalna śmierć została zlikwidowana w humanitarnym geście dwa pokolenia temu, zaszczytnym zadaniem dzieci pokoleniowca jest pogodzenie go z nieuchronnością zbawiennych Przepisów, wytropienie ukrywającego się ojca lub matki, stojących na granicy dwóch pokoleń i przerwanie ich funkcji biologicznych. Ta chwila zwie się Wielkim Momentem i zapobiega przeludnieniu świata."

Dalsze dwie kartki były wyrwane i chłopiec nie mógł czytać. Przypomniał sobie wtedy chwilę, kiedy podejrzał ojca jak darł jakiś papier, a później chował coś za sztucznym kominkiem w dużym pokoju. Przeszedł cichutko, aby nie zbudzić śpiących rodziców. I rzeczywiście, za celuloidową podświetlaną płytką coś było. Brakujące, niedokładnie podarte kartki Przepisów! „Po Wielkim Momencie młodzi różnych rodzin osiągają dojrzałość. Łączą się ze sobą i dostają sygnał godowy. Każda para musi mieć dwójkę dzieci. Tych niewielu szczęśliwców z każdego pokolenia, którzy nie mogą mieć dzieci lub których dzieci umrą, zasiada w „Radzie nieśmiertelnych".

Chłopiec poznając tajniki świata nie zauważył nawet, kiedy ściemniło się. Miał taką dziwną twarz, zmienioną chyba zachodem słońca.

Delikatny sygnał zmusił go do odłożenia książki.

Szykowali łuki i strzały. Mężczyzna czyścił dużą włócznię, aż zaczęła błyszczeć w słońcu.

— Słyszałeś, co zdarzyło się u tych za rzeką w zeszłym tygodniu? — spytała pod wpływem nagłego impulsu milcząca dotąd kobieta.

— Nie, a co? — zainteresował się jej mąż, przerywając na chwilę czyszczenie.

— Ich ojciec w nocy stał się pokoleniowcem i zwiał do lasu. Ruszyli za nim nad ranem skoro tylko odkryli, że go nie ma w łóżku. Tropili razem, bo wiesz, ani on nie jest żonaty, ani ona nie ma męża. Facet zniknął jak duch. Jakby go nigdy nie było. Wtedy użyli najnowszego aparatu do wykrywania pokoleniowców.

— I co, znaleźli go?

— Jasne. Musieli. Ten spryciarz ukrył się w wielkiej, wapiennej grocie, i to w bardzo zmyślny sposób. Grota była pozornie pusta, gdy się do niej wchodziło, bo ten cholerny pokoleniowiec podwiesił się w namiocie w jej górnych partiach. Podobno w młodości uprawiał alpinistykę. Głupi Muzyk. Ich urządzenie, och, jak bardzo chciałbym takie mieć, wyczulone było na wewnętrzną muzykę! Stary był bardziej zdziwiony, niż przerażony, ta jego dziwna muzyka też, bo gdy odchodził, plamiąc krwią ściany, do końca słychać było symfonię zwycięską. Jak gdyby zaskoczona muzyka nie potrafiła w tej śmiertelnej chwili zmienić melodii...

Myślał o sobie ostatnio często. Wiedział, że jest ostatnim z Muzycznych Ludzi, teraz nazywanych pogardliwie „Muzykami".

„Właściwie zawsze byłem szczęśliwy. Muzyka, która mnie inspirowała i popychała w chwilach zwątpienia, prawie zawsze była mną. Poddawałem się jej nastrojowemu wpływowi gdy pracowałem, jadłem, spałem, kochałem... Było dobrze, tylko czasem miałem jakąś pierwotną chęć przeciwstawienia się jej rytmowi".

Leżąc w ciemnym, dobrym lesie, starzec wypełnił się już cały uspokajającym dźwiękiem. Myślał jeszcze o tym, czy jego muzyka obroni go przed Najważniejszym Momentem. Czy zabrzmią potężne tony Symfonii Bohaterskiej lub Wagnera — jego siła do walki — jak przed dwudziestu laty, kiedy żegnał ojca.

„Boję się. Ale nieprędko mnie tu znajdą. Szałas z drzew, trawa wysoka. Nie chcę umrzeć... Tak, umrzeć, nie „odejść", tak to się naprawdę nazywa. Słyszycie — wołał do drzew — Mój syn idzie tu, żeby mnie zamordować! Ale... obowiązek... co by się stało ze światem, gdyby takie pryki jak ja nie umierały i było by nas coraz więcej? Pokolenie niedoskonałych. Wiecznie. Świat by się zatrzymał...

Jednak nie! Nie chcę umierać! Muzyko! Muzyko!"

Wyczerpał się tak, majacząc, a ton pieśni wyrównał się i ukołysał go łagodnie. Ostatni Muzyczny — starzec, zasnął.

Koń kręcił się niespokojnie, gdy człowiek przymocowywał do siodła paki z jedzeniem, gdy zaś zawiesił u jego boku ciężką włócznię, prychnął z oburzenia. Kobieta przypatrywała się tym ostatnim przygotowaniom, lecz jej duma w tej wielkiej chwili sąsiadowała z lękiem.

— On jest jeszcze bardzo silny — powiedziała cicho do męża.

— Wiem — uciął. — Co robi Rafał?

— Chyba bawi się pod lasem. Ostatnimi czasy ma dużo sygnałów do zabawy — odpowiedziała niepewnie. — W ogóle zrobił się niegrzeczny. Robi wszystko na odwrót.

— Dobrze — rzekł mężczyzna i odjechał bez patetycznych pożegnań.

Liczne sygnały mówiły mu, że Pokoleniowiec jest gdzieś wśród tych drzew. „Nie potrzebuję najnowszego wykrywacza, żeby przewidzieć gdzie ojciec... Pokoleniowiec mógł uwić sobie kryjówkę." Skierował tam konia, uwolniwszy go od ciężaru włóczni.

Światło słońca załamywało się w taki dziwny sposób, o którym dotąd tylko słyszał. Tylko w lasach liście klonu mają taką właściwość. I tylko w czasie „wielkiego momentu". Cały las — gałęzie, pnie, poszycie, były zalane czerwonym blaskiem.

Skończył kopanie rowu, dziękując muzyce, która zmobilizowała go do tej ostatniej pracy.

— „Koń nie przeskoczy."

Pomyślał o swoim przyjacielu Onufrym, pokoleniowcu, który miał na tyle sił, aby położyć się na środku lasu i czekać, chyba na cud. „Ze mną jest lepiej. Od strony pola jestem bezpieczny — dół. Krzaki cierniowe, którem był posadził pięć lat temu, zabezpieczają mnie od wszystkich pozostałych stron". Powtórzył to sobie wiele razy. Zadowolony usiadł na dębowym pniaku. „Wszyscy pokoleniowcy powinni godnie wyglądać w czasie Wielkiego Momentu" — zafilozofował, zapominając widocznie o przeżyciach wczorajszego wieczoru. Przeczesał długą, zawsze niechlujną brodę, z której Onufry śmiał się nazywając ją „marksistówką". Wyczyścił buty czarną pastą, zapiął guziki marynarki, poprawił muszkę. Był gotów. Prawie.

Ale oczekiwana muzyka nie zabrzmiała. Zniecierpliwiony oczekiwał pierwszych akordów symfonii, potężnych i rytmicznych, które poprzedzały wejście fanfar. Zamiast nich spłynęła na niego fala niosąca dźwięki lekkie, subtelne, wręcz rozbrajające, nie mające nic wspólnego z bojowym nastrojem.

Broń zadźwięczała o kamień. Wiedział, że to, co robi, jest bez sensu, że za chwilę rozpocznie się walka.

Ale to piękne odczucie, któremu się poddał, przewyższało wszystkie inne. Już nie panując nad sobą, Pokoleniowiec schylił się i zerwał polny kwiat. Powąchał go, później zaczął zbierać następne. Zapominając o wszystkim, zbierał je dla kogoś, kogo kochał.

Gdzieś daleko rozległ się tętent kopyt końskich, wzmocniony echem. A on zbierał niebieskie fiołki, pachnące wieczorem maciejki, kwitnące żółte mlecze, konwalie — aż wreszcie miło wyczerpany położył się obok naręczy kwiatów, czekając wieczoru.

Nagle poczuł, że ktoś zarpie go za ramię. Zdziwiony, kto burzy jego spokój i piękno tej chwili, otworzył oczy.

Chłopiec stał przed nim, a jego twarz miała taki wyraz, jak twarz dziecka, słyszącego tajemnicze i straszne szmery w pokoju, a potem długo uspokajanego przez matkę, że to tylko wiatr tak huczy za oknami.

— Rafał, kochany chłopcze, skąd się tu wziąłeś? — głos staruszka drżał lekko, zmieszany lękiem i wzruszeniem. — Czy ojciec... czy ojciec tu jedzie?

— Nie, nie, mój kochany dziadziusiu — chłopiec przytulił się do starego człowieka. — Och, dziadziusiu, dziadziusiu, wszystko się zmieniło. Jedni ludzie kręcą się w kółko, nie wiedzą co robić, inni — tak jak mama — wychodzą przed domy i palą książkę, no wiesz — Przepisy. Mama powiedziała że, centrum tego... przekazu wybuchło i nie ma już sygnałów, i właśnie dlatego. Wszyscy się cieszą, nie wiem dlaczego, tak bardzo się cieszą, dziadek Michała wrócił godzinę temu z lasu i opowiadał dużo fajnych rzeczy. Bałem się o ciebie, dziedziusiu, ty też tak ładnie opowiadasz, bo ja już dawno nie słyszę tych sygnałów i mama mówiła, że jestem niegrzeczny. Aaa, tatuś jechał tu do ciebie, spadł z konia, ale już dobrze — leży w łóżku. Powiedział żebyś wracał, dziadziusiu.

— Rzeczywiście, nie słyszę muzyki... Nie słyszę... Więc możemy iść dokąd chcemy...

— Co mówisz dziadziusiu? — spytał chłopiec.

— Nic. Ty moje kochane Rafalisko — wziął chłopca na ręce i zaraz, sapiąc, opuścił z powrotem na ziemię. — Ciężki się zrobiłeś. Daj łapę, wracamy do domu.

Rafalisko podał dziadkowi rękę i tak pomału, pomalutku poszli przez zielony las

Spod lady w czerwcu

1. Ryszard Głowacki: „RAPORT Z REZERWATU", KAW, nakład 100 tys. egz.

Pozycja utrzymuje się na średnim poziomie innych publikacji KAW. Stosunkowo najlepsze opowiadanie ze zbioru, „Doping", można uznać za co najwyżej poprawne. W sumie sztampa, banał i poważne braki warsztatowe. W porównaniu do poprzedniej publikacji tego samego autora („Paroksyzm numer minus jeden" KAW, 1979) ogromny i zdecydowany krok do tyłu.

2. Bohdan Petecki: „BAL NA PIĘCIU KSIĘŻYCACH", Nasza Księgarnia, nakład 30 tys. egz.

Kolejna powieść spod sztancy pana Peteckiego, której używa on już z powodzeniem od lat dziesięciu i chyba zamierza używać co najmniej przez następnych dziesięć. Pragniemy jednak zwrócić uwagę, że dana forma, sztanca czy choćby pieczątka w miarę używania zużywa się i każda kolejna odbitka jest coraz gorsza.

3. Satyajit Ray: „PODRÓŻE PROFESORA ŚANKU", Nasza Księgarnia, nakład 20 tys. egz.

Na plus zapiszemy Naszej Księgarni wydanie pierwszej w Polsce indyjskiej fantastyki, aczkolwiek wydaje się nam, iż genialny, wszechstronny superrobot zbudowany za 5 dolarów (wg cen obecnie obowiązujących) i montowany za pomocą „(...) kleju, gwoździ i przylepca (...)", nawet jak dla dzieci jest pomysłem zbyt naiwnym. A co na to one same?

4. Mirosław P. Jabłoński: „KRYPTONIM »PSIMA«", Iskry, nakład 20 tys. egz. (poza serią F-P).

Pozycja tak zła, że wymaga aż szerszego omówienia. Stąd za tydzień obszerniejsza recenzja.

SFAN CLUB
Warszawa

Kilka uwag dodatkowych i ogólnych.

Złe jest. Złe jest, panie i panowie, i to nie wiadomo właściwie dlaczego. W czerwcu w kraju ukazały się cztery (zaledwie!!!) książki z gatunku S-F i żadna, żadna z nich nie stoi na przyzwoitym przynajmniej poziomie. Zgroza ogarnia, ręce opadają, biust opada (jak mawia moja żona) i wyć się chce. Skoro się już książki wydaje, oznaczać to musi, że tę odrobinę papieru na książki w kraju jeszcze mamy. Dlaczego jednak papier ten zapełniać trocinami, sieczką i bełkotem? Skoro już nie ma dewiz na fantastykę z dolarowej strefy, może należy czerpać z rublowej? Tam płacimy wszak złotówkami. Tłumaczy jeszcze nie brakuje, a jeśli brakuje w wydawnictwach, to osobiście mogę kilku wskazać.

Spotkałem się z opinią, że „należy drukować naszych, krajowych autorów, bo wszak oni muszą z czegoś żyć". Zgoda. Muszą żyć. Ale moim zdaniem, już lepiej wypłacić im zasiłek w wysokości równej honorarium i o tę kwotę (rozdzieloną oczywiście na cały nakład) podwyższyć cenę książki naprawdę dobrej — innego autora. Honorarium autorskie stanowi bardzo znikomy procent całkowitych kosztów wydania pozycji — naprawdę. Z drugiej strony sądzę, że spośród debiutantów dałoby się wybrać kilku (no, niechby jednego), rokujących niejakie nadzieje.

Jedną z metod wynajdywania nowych „piór" są konkursy. Z prawdziwą przyjemnością publikujemy poniżej zapowiedź takiego właśnie konkursu i serdecznie zapraszamy do udziału. MD.

Ogólnopolski konkurs na opowiadanie Science – Fiction

Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki ogłasza ogólnopolski konkurs otwarty na opowiadanie fantastyczno-naukowe.

W konkursie wziąć mogą udział wszyscy chętni, którzy do dnia 1 marca 1983 roku (decyduje data stempla pocztowego) na adres PSMF: ul. Elbląska 53a, 01-737 Warszawa, nadeślą w dwóch maszynopisach swe oryginalne, nigdzie dotychczas nie publikowane prace.

Każde opowiadanie sygnowane musi być godłem, pod którym, w dołączonej do pracy zaklejonej kopercie, kryć się będą dane o jej autorze.

Organizatorzy konkursu, obok opublikowania nagrodzonych opowiadań, zapewniają liczne nagrody.

Ogłoszenie wyników konkursu przewidywane jest na początek kwietnia 1983 roku.

Dokładne informacje nt. konkursu uzyskać można telefonicznie w każdy wtorek i piątek w godz. 17.30—20 pod nr tel. 33-70-99 w Warszawie.

Wszystkim chętnym do wzięcia udziału w konkursie, PSMF życzy przychylnych konfiguracji gwiezdnych i dobrych stosunków z muzami.

Galeria Kosmostworków
ANDRZEJA BIEDRZYCKIEGO

Czy człowiek będzie się mógł obyć bez snu?

Tym, który „wynalazł" marzenie senne, jest 56-letni neurofizjolog, pracownik naukowy uniwersytetu Claude-Bernard w Lyonie, prof. Michel Jouvet. Wspólnie z Amerykaninem, Williamem Dementem, uważany jest za „ojca" światowej nauki o śnie. Oto, jaką rozmowę przeprowadził z nim tygodnik „LE NOUVEL OBSERVATEUR":

— Ponad jedna czwarta Francuzów uskarża się, że źle śpi. Jak to się dzieje, że tak często muszą uganiać się za snem?

— Zacznijmy od tego, że nie każdy potrzebuje takiej samej ilości snu. Przypadek skrajny stanowi pewien Kanadyjczyk, który śpi niepełne 3 godziny na dobę i czuje się doskonale. Uprawia trzy zawody: jest elektronikiem i dziennikarzem, a trzecie rzemiosło, doskonale pasujące do jego witalności, polega na reprezentowaniu pracodawców w nie kończących się dyskusjach ze związkami zawodowymi, gdzie oczywiście on jest górą. To jest człowiek, który potrzebuje mało snu. I na odwrót — są śpiochy, które go potrzebują bardzo dużo.

— Czy to temperament reguluje czas naszego snu?

— Badania prof. Hartmanna z Bostonu wykazały, że ci, którzy potrzebują mało snu, mają więcej „ikry" — wyższy tonus i są zadowoleni z życia. Natomiast śpiochy są z gatunku ludzi lękliwych, introwertyków. Nie sądzę jednak, żeby można było tę niesprawiedliwość natury tłumaczyć względami psychologicznymi. W rzeczywistości każdy z nas ma coś w rodzaju regulatora, który ustala niezbędny czas snu. Czas ten może być bardzo zróżnicowany.

— Dlaczego?

— Jest to zapewne sprawa genetyczna. Istnieją np. całe rodziny śpiochów. Ludzie ci potrzebują ponad 11 godzin snu. A to dlatego, że wytwarzają więcej niż inni cząsteczek hipnogennych.

— A czy przypadkiem nie dlatego, że męczą się szybciej niż inni?

— Nie. Gdy tylko się obudzimy, nasz organizm zaczyna wytwarzać substancje chemiczne, które pod koniec dnia wywołują senność. Są to cząsteczki — ściślej mówiąc, peptydy — które ujawniono bardzo niedawno. Jedna powoduje sen, inna — marzenie senne. Nie wyodrębniono ich jeszcze, ale wiadomo, już prawie na pewno, gdzie powstają: w pniu mózgowym. Każdy z nas je wytwarza — mniej lub więcej. To one nas usypiają.

— Powszechnie uważa się, że śpimy po to, żeby odpocząć.

— Nie.

— Do czego więc służy sen?

— Podobnie jak mój przyjaciel, William Dement, zadaję sobie niekiedy pytanie, czy naprawdę sen jest potrzebny. Dement ma zabawne powiedzonko: „Być może sen, uniemożliwiając nam wychodzenie w nocy, pozwala uniknąć potknięcia się o pojemniki ze śmieciami, które stoją przy drzwiach". Jest to swoisty sposób stwierdzenia, że po 30 latach intensywnych badań nadal nie potrafimy z całkowitą pewnością zdefiniować funkcji snu. Niektórzy twierdzą, że naszym prehistorycznym przodkom sen służył jako ucieczka przed okropnościami nocy. Ale ja zastanawiam się, czy przypadkiem sens snu nie znajduje wytłumaczenia w malthuzjańskiej teorii ewolucji.

W pewnym momencie zwierzęta w każdym gnieździe ekologicznym zaczęły zapewne odczuwać brak pożywienia wskutek swej przyśpieszonej reprodukcji. Wówczas w okolicach o niskiej temperaturze niektóre z nich wynalazły hibernację jako sposób na pozostawanie bez pożywienia przy jednoczesnym oszczędzaniu energii. To mogło by również być wytłumaczeniem snu. Kiedy przestaje się karmić gęś, odruchowo zapada ona w sen.

— Czy naprawdę pan nie wierzy, że sen pozwala nam odzyskać siły?

— Chorzy, którzy leżą w łóżku, śpią nie mniej niż inni. Jeśli chodzi o ptaki wędrowne, to mogą one przelatywać tysiące kilometrów nie śpiąc ani chwili. I nie umierają od tego. Sen ułatwia oczywiście odpoczynek mięśniom, ale bynajmniej nie mózgowi. Mózg zużywa więcej tlenu podczas snu, niż podczas czuwania. A więc...

W rzeczywistości nikt nie umie dać wyjaśnienia naprawdę przekonującego. Dotychczas, chcąc znaleźć klucz do sprawy snu, zadowalano się obserwowaniem, co dzieje się, gdy wyeliminujemy sen. Stwierdzono niewielkie zaburzenia, jak np. pewną nieuwagę lub nadmierną pobudliwość seksualną. W 1959 roku pewien prezenter dyskoteki w Nowym Jorku postanowił, że nie będzie spał przez 200 godzin. Pod koniec tego maratonu popadł w swego rodzaju paranoiczne delirium. Dramat polega na tym, że dziś zdajemy sobie sprawę, iż wszystkie te eksperymenty na nic się nie zdały.

— A to dlaczego?

— Ponieważ niedawno ujawniono istnienie peptydów snu i marzeń sennych. Reakcje zarejestrowane przez ludzi poddawanych eksperymentom były spowodowane przez nagromadzenie w ich mózgu owych peptydów, nie zaś przez brak snu. Dlatego zresztą długotrwałe czuwanie jest według mnie bardzo niebezpieczne. Żeby wydobyć od kogoś zeznanie pozbawia się go snu przez dwa dni i dwie noce. W końcu przyzna się wszystko jedno do czego. Nawet jeśli ma oczy otwarte i wydaje się czuwać, sprawa działa automatycznie: jego kora mózgowa śpi, ponieważ jest nafaszerowana peptydami.

— Jeżeli sen naprawdę nie daje żadnego pożytku, to czy można go będzie wyeliminować?

— Sprawa jest otwarta. Kiedy cząsteczki snu i marzeń sennych zostaną wyodrębnione, będziemy mogli przeszkodzić mózgowi w ich syntetyzowaniu, a następnie zaobserwować, jak działa na zwierzę nieograniczona w czasie bezsenność. Jeżeli stwierdzi się odstępstwa od normy, to tym razem naprawdę będą one spowodowane brakiem snu, nie zaś nadmiarem peptydów. Ale jeśli nasze „króliki doświadczalne" dobrze zniosą długotrwałe czuwanie, to na pewno wcześniej czy później pojawią się na rynku środki eliminujące sen.

— Jak dotąd ród człowieczy raczej opycha się tabletkami aby spać. Czy pan jest wrogiem środków nasennych i usypiających?

— Nie znaleźliśmy jeszcze specyfików usypiających w dosłownym znaczeniu, a więc takich, które mogłyby zastąpić funkcję peptydów w naszym mózgu. Jednakże laboratoria potrafią już syntetyzować pewne cząsteczki, które odhamowują nasz mechanizm zasypiania. Są to benzodiazepiny, jak np. Librium czy Tranxen. Te cząsteczki mają często bardzo długi żywot i dlatego człowiek czuje się po nich trochę otumaniony przez cały dzień. Wielkie firmy farmaceutyczne prowadzą więc prawdziwy wyścig, aby odkryć rzadkiego ptaka: cząsteczkę, która będzie działała szybko i dobrze. Ze wszystkich środków usypiających benzodiazepiny są może najmniej szkodliwe, oczywiście do pewnego stopnia.

— Co pan radzi przeciw bezsenności?

— Istnieje wiele rodzajów bezsenności. Po pierwsze, bezsenność polegająca na trudności z zasypianiem, kiedy to sen nie chce przyjść przez długi, długi czas. Ten rodzaj bezsenności, bardzo rozpowszechniony, jest często spowodowany stanami lękowymi, pomnażanymi przez kłopoty małżeńskie czy zawodowe. W tym przypadku najlepszym środkiem zaradczym jest leczenie stanu lękowego. Inna kategoria, nieco mniej rozpowszechniona, to bezsenność o trzeciej nad ranem, która może być poważną oznaką depresji. I tu także, aby skutecznie zwalczyć bezsenność, trzeba sięgnąć do korzeni zła i usunąć przyczyny depresji. Trzeci typ to pseudobezsenność. W rzeczywistości cierpiąca na nią osoba śpi dobrze 7 czy 8 godzin, niekiedy nawet więcej, jak to wynika z zapisu jej snu na elektroencefalografie. Niemniej uskarża się na chroniczną bezsenność i przez cały dzień czuje się zmęczona. Po prostu jej sen jest nic nie wart. Blisko połowa pacjentów, którzy zgłaszają się do kliniki Williama Dementa w Stanfordzie, to właśnie takie przypadki. Udaje się ich czasem wyleczyć, udowadniając im, że naprawdę śpią dobrze.

— Czy bezsenność nie staje się wielką chorobą cywilizacji przemysłowej?

— Na pewno tak, w tej mierze, w jakiej cywilizacja powoduje stresy... Zapewne nie jest przypadkiem, że Kalifornia, będąc stanem najbardziej rozwiniętym w Ameryce, jest także tym, gdzie zużycie środków usypiających na 1 mieszkańca jest najwyższe. Nasz świat zaczyna produkować nowy gatunek cierpiących na bezsenność: ludzi przyjmujących nadmierne dawki środków, miotających się od jednego lekarza do drugiego. Znam takich, którzy przyjmują przed snem do ośmiu tabletek. Oczywiście nie są oni zbyt dziarscy po obudzeniu.

— Niektórzy z nas są rannymi ptaszkami, a niektórzy — nocnymi Markami. Jak to wyjaśnić?

— Ma to podłoże psychiczne. Wszyscy jesteśmy wyposażeni w biologiczny zegarek, który reguluje nasze dni i noce. Sen wiąże się z tym, co nazywamy rytmami dobowymi. To samo dotyczy temperatury. Ranny ptaszek ma najwyższą temperaturę rano i to jest moment jego szczytowych możliwości. Natomiast nocny Marek na początku dnia jest raczej nieswój, a czuje się naprawdę dobrze dopiero wieczorem. I to jest normalne, bo ma wówczas najwyższą temperaturę. Wielcy uczeni, jak Newton czy Leibniz, pracowali aż do trzeciej nad ranem. Świat dzieli się wprawdzie na nocnych Marków i ranne ptaszki, ale wszyscy szybko stają się równi w obliczu snu, który jest wyregulowany z absolutną dokładnością.

— Proszę opowiedzieć jak wygląda noc wypełniona normalnym snem...

— Po trwającym kilka minut stadium usypiania wchodzi się w sen stosunkowo lekki, a następnie zapada w coraz to głębszy i głębszy. Pojawiają się marzenia senne. Będą się one wkradać w nasz sen cztery lub pięć razy w ciągu nocy, w sekwencjach trwających około 20 minut. Stanowią prawie dokładnie 20 proc. czasu trwania snu, a więc zajmują około 100 minut. Mamy sen co 90 minut.

— Czyżby wszyscy mieli sny?

— Wszyscy. Nawet ci, którzy tego nie pamiętają po przebudzeniu. Nawet płód w stanie zarodkowym. Nawet ptaki i ssaki. Kura śni przez 25 minut w ciągu nocy, a kot przez 200 minut. Marzenie senne spada na nas jak „burza mózgowa". Nasze komórki nerwowe popadają w stan najwyższego pobudzenia jak w najintensywniejszych momentach za dnia. Nasze zamknięte oczy poruszają się szybko i to w różnych kierunkach. W sumie znajdujemy się w stanie wysokiego pobudzenia, a jednak mięśnie są jak gdyby sparaliżowane.

— Sny były przez długi czas terenem zastrzeżonym dla psychoanalityków i poetów. Pan wyklucza piękną teorię Freuda, dla którego marzenie senne jest strażnikiem snu...

— Dla psychofizjologów sprawa przedstawia się akurat odwrotnie: to sen jest strażnikiem marzeń sennych.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że negujecie wszelki związek między marzeniem sennym a fantazją, kreatywnością czy pragnieniem?

— Marzenie senne i seksualizm są ze sobą jak najściślej powiązane. Kiedy mężczyzna śpi, jego członek jest w stanie erekcji. Podobne objawy ma kobieta. To zjawisko obserwuje się zarówno u noworodka, jak u starca. Nawet podczas koszmarów sennych! Nawet po trzech czy czterech stosunkach płciowych! Działa tu automatyzm. Oto przynajmniej jeden odruch, którego nie podzielamy ze zwierzętami, ponieważ u nich snowi paradoksalnemu nie towarzyszy erekcja. Seksualizm człowieka nie ma nic wspólnego z popędem płciowym u innych ssaków.

— A więc u człowieka marzenie senne miałoby być tym momentem, kiedy podświadomość i seksualizm wchodzą z sobą w kontakt?

— W jednej z londyńskich klinik, które trudnią się przerabianiem mężczyzn na kobiety, zupełnym przypadkiem odkryto niedawno zawartą w naszym ciele substancję chemiczną, która powoduje erekcję. Jest to pewien peptyd, który można spotkać w mózgu i jelitach. Nazwano go VIP. Obecnie dokonuje się pewnych doświadczeń na zwierzętach. Jedno z nich przyniosło już wspaniałe rezultaty: zaobserwowano, że szczury którym wstrzyknięto VIP, śnią znacznie więcej. Nie pora jeszcze zakładać, że peptydy wywołujące marzenia senne i peptydy powodujące erekcję to jedno i to samo. Ale najwyraźniej jest między nimi jakiś związek.

— Wszyscy zadają sobie pytanie, do czego mogą służyć sny. Pan ma teorię, która zresztą wzbudziła zgorszenie, że sny umożliwiają reprogramowanie zachowań wpisanych w spuściznę genetyczną.

— Ogólnie mówiąc, marzenie senne byłoby strażnikiem pamięci dziedzicznych cech indywidualnych. Ale jest to tylko hipoteza. Trzeba ją jeszcze udowodnić. Bo czym np. można wytłumaczyć uderzające podobieństwo psychologiczne, jakie obserwuje się u prawdziwych jednojajowych bliźniąt, wychowanych w różnych środowiskach? Nie tak dawno amerykański psycholog, Thomas Bouchard znalazł takich *bliźniaków, urodzonych w Trynidadzie* i wychowanych oddzielnie od szóstego miesiąca życia — jeden w Paragwaju, a drugi w izraelskim kibucu. Nie widzieli się całe dziesiątki lat, o sobie nawzajem nie wiedzieli. I cóż stwierdza Bouchard? Łatwo wpadają w gniew na swe żony. Noszą jednakowe okulary. Kiedy czytają gazetę, obydwaj zaczynają od ostatniej strony. Lubią grać na puzonie. Mają jednakowe tiki.

Są jeszcze ciekawsze przypadki. Ten sam Thomas Bouchard znalazł bliźniaków porzuconych przez matkę tuż po urodzeniu i wychowujących się oddzielnie od czwartego tygodnia życia. Każdego z nich przybrani rodzice nazwali Jimem. Obaj mają jednakowe hobby, wyrażają się w ten sam sposób. W jednym i tym samym roku każdy z nich poślubił Lindę, a po raz drugi ożenił się z Betty! Jest jeszcze historia pewnych brytyjskich bliźniaczek, również rozdzielonych zaraz po urodzeniu. Kiedy zgłosiły się do Boucharda były jednakowo ubrane i każda miała na palcach po 7 pierścionków.

Można by powiedzieć, że wszystko to zostało zaprogramowane od urodzenia. Można by jeszcze powiedzieć, że ich obwody były wypełnione dziedzicznymi instrukcjami. Ale jest to niemożliwe. Neurofizologia uczy, że istota ludzka nie ma wystarczającej liczby genów, ażeby zmagazynować tyle instrukcji. A gdyby nawet zostały zmagazynowane, to otoczenie powinno było je zmienić. A więc co? Pozostaje hipoteza: to sny umożliwiły im zachowanie na tak długo ich dziedzicznych cech indywidualnych. Programowały je każdej nocy. Żeby mieć czyste sumienie, zbadaliśmy ruchy gałek ocznych u bliźniąt podczas marzeń sennych. Są prawie identyczne.

— Chce pan przez to powiedzieć, że te bliźnięta miały jednakowe sny?

— Niekoniecznie. Ale najprawdopodobniej miały taki sam system programowania sennego. Wiem, że poruszam się po śliskim terenie. Dziedziczność psychiczna jest jeszcze pojęciem tabu. A jednak nie można już jej negować. Sądzę, że cechy wrodzone i nabyte nieprzerwanie się ze sobą konfrontują poprzez marzenie senne.

— W ostatecznym rachunku redukuje pan marzenie senne do chemicznej formułki!

— Oczywiście. Jeżeli pobierze się płyn mózgowo-rdzeniowy od kota, który śni, a następnie wstrzyknie go do mózgu innego kota, to „daje się" sen temu drugiemu kotu. Temu nie można zaprzeczyć.

— Czy widzi pan dzień, kiedy człowiek stanie się panem równocześnie i snu, i marzeń sennych?

— Będzie to jeszcze przed końcem tego stulecia. Teraz pójdzie to bardzo szybko. Możliwe nawet, jak to już mówiłem, że pewnego dnia człowiek będzie się mógł obywać bez snu. Uczeni japońscy, zamiast pracować 84 godziny tygodniowo, będą mogli to robić przez 168 godzin! A my będziemy pięknie wyglądać z naszymi 37 godzinami...

Rozbieranie do snu...

„Jasne, lekkie, łagodnie przeczyszczające...”

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Upał był niesamowity — powietrze lało się z rozżarzonej kadzi lub raczej stało w miejscu. Przygnieceni duchotą przechodnie przemykali pod ścianami budynków, by choć tam znaleźć odrobinę złudnego cienia.

Przed sklepem spożywczym, jeszcze o tej porze zamkniętym, nerwowo przestępuje z nogi na nogę kilku mężczyzn. Nieogoleni, podkrążone oczka, niezbyt pewny chód — czekają. W drżących rękach ściskają wykruszone pety, czasem schrypniętym głosem spytają kogoś z przechodzących o godzinę Czekają.

No nareszcie. Pulchna blondyna jednym ruchem dźwiga w górę kratę w drzwiach. Na jej pytające spojrzenie — krótka odpowiedź: — Spokojnie, szefowa, zaraz przyjada... I rzeczywiście. Nie mija pół godziny i przed sklepem hamuje ciężarowy „Star” z przyjemnym brzękiem kilkutonowej zawartości. Panowie szybciutko formują kolejkę, a konwojenci wprawnymi ruchami, pod bacznym okiem spragnionych, wnoszą charakterystyczne, zielone pojemniki. Jeszcze jakiś papierek do podpisu i rusza sprzedaż. Po dwa, po trzy i na skwerek. I już spokojnie, nie nerwowo, kapsel o kapsel i — ten pierwszy, odżywczy haust w wysuszone, zbolałe gardło. I następna butelka, już bez pośpiechu. I papierosek. No, można żyć!...

A przed sklepem uformowała się już kolejka samochodów osobowych i dostawczych. Panowie z torbami, walizami, niektórzy dźwigając podobne, zielone kontenerki w kwadrans uporali się z całą dostawą. Nieogoleni zdążyli na szczęście zrobić jeszcze kolejkę i po płynie, który dziś, nie po raz pierwszy zresztą, „uratował im życie” zostało tylko wspomnienie. Ale lata pracy procentują — już spokojnie, spacerkiem, udają się dwie przecznice dalej, gdzie właśnie trwa rozładunek. Jeszcze parę tego dnia „obalą”...

* * *

Nie tak znów odległe to czasy, gdy temat produkcji piwa, jego jakości, nowych pod adresem rynku propozycji często gościł w naszych rozmowach i na łamach gazet. Parę osób się doktoryzowało uzasadniając naukowo wyższość „Warki” nad „Ratuszowym” bądź odwrotnie, w gazetach ostro, po męsku rozprawiano się z jakąś muchą, która dokonała swych dni w gorszym kuzynie „Okocimia”, zachłystywaliśmy się eksportem milionów butelek z tanecznymi parami na etykiecie. A dziś? Wyparto nas z wielu dobrych, zagranicznych rynków, a przynajmniej radykalnie zmalały ilości eksportowanego piwa, nikt też o dziwo nie narzeka praktycznie na jakość wyrobu trafiającego na rynek krajowy. Czy to oznacza, że w każdym browarze osiągnęliśmy już poziom „Heinekena” czy „Amstela”? Nie oszukujmy się.

BRAK KONKURENCJI

sprawia, że każda ilość „jasnego” znika natychmiast z różnego typu punktów sprzedaży, nie wyłączając drogich restauracji i sklepów „Peweksu”. Mimo wszystko spore kłopoty z kupnem alkoholu (obecnie cenowe głównie.), brak win („bełt” też nie chce stanieć), odczuwalny niedobór „Kryształku” „Mersaponu” i denaturatu powoduje, że piwko idzie faktycznie jak woda. Razem z muchą, jeśli takowa się zdarzy. Bo w końcu jasne kosztuje tylko 13 złotych. A jak się jest stałym bywalcem i opróżni buteleczkę natychmiast, to i kaucji nie żądają. Cwaniaka, który w pociągu, będąc sam sobie „Warsem”, oferuje „Żywca” z teczki a 120 złotych butelka, kaucja w ogóle nie interesuje. I ludziska się biją. Łódzki „Specjal”, który od swych kolegów ze Szwecji czy Bawarii nieco tylko jest gorszy w podobnych okolicznościach sprzedawany jest od ręki po 70—80 złotych. W spragnionych „fula” głowach pozostał jeszcze tylko odruch z lat minionych, ów gest, którym kupujący przekręca butelkę do góry dnem, pod światło, by sprawdzić, czy nie pływają tam jakieś cudeńka. W łódzkim „Popularnym” niestety, pływają prawie zawsze. Ale to są tylko odruchy. Dostawa piwa znika zwykle w ciągu godziny, no, tego zmętniałego — w trzy może.

Tak, piwa produkujemy wciąż mało. Łódzkie Zakłady Piwowarskie, będące obecnie jednym z 22 w kraju przedsiębiorstw tej branży skupiają obok wytwórni octu, musztardy, wód gazowanych, wytwórni czasów prosperity czyli „Pepsi-Coli” — cztery browary: trzy w mieście i jeden w Zduńskiej Woli. Największy, przy ul. Nowotki jest w stanie wyprodukować rocznie około 220 tysięcy hektolitrów piwa w butelkach. Wspólnie z podobną firmą przy ulicy Orlej (30 tys. hektolitrów), Sędziowskiej (35 tysięcy, ale beczkowego) i Zduńską Wolą (ok. 65 tysięcy hektolitrów) — można by oczekiwać rocznie dostaw w granicach 350 tysięcy hektolitrów. I tylko dla samej aglomeracji łódzkiej do absolutnego minimum brakowało by wówczas te 50 tysięcy „hekto”. Abstrahując od tego, że żadnym cudem browary łódzkie takiej ilości nie osiągną, trzeba jeszcze część dostaw skierować do województw ościennych.

Do ubiegłego roku ratowały nas trochę, choć już docierały w stanie szczątkowym, dostawy piwa z Żywca, Okocimia, Poznania, Krotoszyna, Warki. Ale się skończyło; swoje, też ograniczone ilości, sprzedają z powodzeniem w bliższym sąsiedztwie. Więc tylko dla całości owego smutnego rachunku dodajmy, że łódzkie browary prawdopodobnie osiągną w tym roku produkcję w granicach 280 tysięcy hektolitrów. No i bijcie się panowie!...

Jak wiadomo doskonale wszystkim szczęściarzom, którzy w sklepie, przed rożnem, czy „z teczki” dostąpią zaszczytu opróżnienia „jasnego”, łódzkie browary poza niewielkimi w sumie ilościami znanego (tak wynika z etykiety) za granicami nie tylko województwa „Export Specjal”, wypuszczają głównie w ręce spragnionych „Popularne”. Czyli tzw. „dziewiątkę”. Tu godzi się dodać, iż nie jest to, jak nadal niektórzy sądzą, zawartość alkoholu. Wybity na kapslu symbol „9%” oznacza taką właśnie zawartość cukru w jednym litrze brzeczki (jak fachowo — to fachowo) piwnej, z której po sfermentowaniu uzyskuje się średnio 2,2 procent alkoholu.

A teraz czas już chyba, drogi Czytelniku, abyś się dowiedział nieco bliżej dlaczego piwa w ogóle jest o wiele mniej, niż by na to wskazywały nasze możliwości, dlaczego tak mało jest „Specjala” i czemuż wreszcie ten znany od wieków wyrób prezentuje jakość, dzięki której rodzime nazewnictwo piwowarskie rozbudowało się ostatnio o szereg ciekawych określeń. Że wspomnę tylko „mocz pawiana”, „bebelucha”, „popłuczyny” — z tych najwytworniejszych...

Dobre piwo, to przede wszystkim —

DOBRY JĘCZMIEŃ

którego potrzeba sporo, bowiem średnio na 1 hektolitr, by nie zmieniać nomenklatury, czyli 100 litrów płynu potrzeba około 20 kilogramów w postaci tzw. słodu. Nasz przemysł piwowarski bazuje na dobrym i wydajnym w sumie krajowym jęczmieniu browarnianym jarym, którego od ubiegłego roku począwszy wyraźnie brakuje. Po prostu przy narastającym deficycie nasz coraz większe ilości zbóż zakłady młynarskie musiały na ten cel kierować i tam też przeznaczony został jęczmień. Musi on być poza tym dobrej jakości, spełniać wiele specjalistycznych wymogów. Ale to szczegóły. Dość powiedzieć, że zdarzał się już taki „surowy”, spod kombajnu i nieco spleśniały też. A i tak wszyscy się cieszyli, że jest w ogóle.

Nasz krajowy słód znany był i chyba jeszcze jest bodaj w 18 krajach świata, eksportowaliśmy go do Francji i RFN, a także do Brazylii i Wenezueli. 30 tysięcy ton rocznie to były pokaźne ilości. Na niektóre rynki eksportujemy nadal, ale z wielu już nas wyparto. To jest bezlitosny biznes, niestety.

Co jeszcze ma wpływ na jakość piwa? Ano wyliczmy kilka tylko, podstawowych czynników. Taka woda na przykład. Nie chcę nikogo przekonywać, że w Łodzi jest ona lepsza niż w Żywcu, ale poza tym musi ona być miękka i odpowiednio — jak to się określa — skorygowana, czyli pozbawiona choćby takich soli mineralnych.

Chmiel. Mamy go w Polsce wystarczające ilości, dostępny jest w zasadzie bez większych kłopotów w czterech gatunkach. Tylko, że w czasach, gdy każdy zakład liczy teraz pieczołowicie każdą wydaną złotówkę zdarza się, że kupuje się chmiel i w trzecim gatunku także.

Przestrzeganie wymogów sanitarnych. Bardzo ważny czynnik mający bezpośredni wpływ na jakość „fula”. Gdy nie ma środków myjących w odpowiednich ilościach, rękawic na zmianę czy butów gumowych, gdy nie można dotrzymać wysokich parametrów czystości w fazie filtracji, gotowania czy choćby rozlewania w butelki — to czego się możemy spodziewać? Gdy na przykład pracownik browaru przed fermentacją musi umyć taki przeznaczony na 300 hektolitrów basen to wchodzi tam w butach, nieprawdaż? Wystarczy nieprzestrzeganie wymogów choćby w końcowej fazie, przy rozlewaniu, gdzie przewody będą niezbyt często czyszczone i nalane piwo po paru minutach jest już mętne. A łódzkie zakłady mają takich rozlewni około 10 — m.in. w Bełchatowie, Zelowie, Wieluniu, Tomaszowie, Warcie, Szadku. „Takich” nie oznacza oczywiście, że wszędzie rozlewa się piwo w brudne, niedomyte butelki choćby, ale wszędzie, na każdym etapie produkcji muszą być sanitarne wymogi spełnione. A bywa to w praktyce różnie.

Piwo beczkowe, które trafia właśnie do rozlewni, jeszcze parę lat temu można było kupić w wielu restauracjach. Dziś gastronomia tej formy handlu „jasnym” wyparła się na dobre, wszędzie podawane jest wyłącznie butelkowe. Wszyscy niby przyznają, że piwo z beki jest smaczniejsze, preferowane jest wyraźnie w krajach, od których kultury picia moglibyśmy się wiele lat uczyć, a jednak. I wydawałoby się, że żaden kłopot: wystarczy nabijacz do beczki i butla z dwutlenkiem węgla, lada, trochę kufli. Gastronomia zasłania się wymogami sanitarnymi: a to musi być bieżąca, gorąca woda do mycia kufli, sprzedawca w czystym kitlu, a temat niebezpieczny, bo beczka może wybuchnąć. Niby może, zwłaszcza, kiedy się zamiast dopuszczalnej półtorej atmosfery, wpuści do beczki te 10 atmosfer w wyniku niesprawności reduktora bądź własnej chytrości (więcej bąbelków, to i więcej piany, a mało piwa...) I takie przypadki miały sporadycznie miejsce, ale generalnie restauracje „idą na łatwiznę”; albo butelkowe, albo wcale. I choć nielicznym ajentom jednak opłaca się sprzedawać z beczki i zawsze są tam kolejki spragnionych „prawdziwego”, choćby i nie dolanego piwa.

I dziwić się tylko wypada, że nie wraca się do tej formy sprzedaży z dwóch choćby niebagatelnych przyczyn. Po pierwsze — piwa beczkowego mogłyby browary produkować nieco więcej. Po drugie — odpadłaby uciążliwa faza rozlewania, w czasie której często dochodzi do radykalnego obniżenia jakości, wreszcie — jeśli nie zniknęła, to bardzo by się zmniejszyła „życiowa” — jak się okazuje —

BARIERA W POSTACI KAPSLA

Używają ich wszak nie tylko w browarach i rozlewniach napojów, a to sprawa wielce skomplikowana. Gatunek blachy musi być odpowiedni, trzeba ją stosownie wycisnąć, lakierować, napisy tłoczyć bądź malować. To są te problemy dnia codziennego. Co prawda łódzkie browary jeszcze nie stanęły z powodu braku tychże, choć widmo takie zawisło nad nimi w ostatnich dniach czerwca. Ale dla przykładu rozlewnia w Bełchatowie odmówiła przyjęcia transportu piwa, bowiem nie mieli właśnie kapsli. Tego towaru kontenerkami „leciało” do stolicy, a łódzka wytwórnia zaopatrywała w napój w opatentowanych buteleczkach 21 województw. Ale był koncentrat. Kupowany średnio za 800 tysięcy dolarów USA rocznie. I był jeszcze licencyjna „Mirinda”, „Tonic” „Lemon” i „Orange” I jeszcze w 1979 roku bramy łódzkiej wytwórni, osobnego oddziału Zakładów Piwowarskich, opuściło łącznie 212 tysięcy hektolitrów „Pepsi” i „Mirindy”.

Ale wszystko zepsuł nam ten drogi koncentrat, ów dziwny produkt, który wystarczyło tylko rozpuścić, dosłodzić i rozlewać, ale który zastrzeżony znakiem towarowym niczym nie możemy zastąpić, gdy nie dysponujemy odpowiednimi zasobami „twardej” waluty.

Dziś łódzka wytwórnia funkcjonuje jeszcze według wszelkich licencyjnych szykan, choć tak bardziej „cienko”: na jedną zmianę, wolniutko, by wystarczyło na możliwie długo „Pepsi”, do której zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Zwłaszcza, gdy podawana była z lodem! Pozostało jeszcze trochę koncentratu z dostaw z marca 1981; można z tego wyprodukować gdzieś około 20 tysięcy hektolitrów orzeźwiającego napoju. W półtora miesiąca albo w 6 miesięcy, byle zaspokoić w małym choć stopniu łódzką gastronomię i hotele. Bo do innych województw już się nie jeździ, chyba że po opakowania. I miliony butelek, firmowych, licencyjnych, produkowanych z rozmachem przez hutę szkła w Jarosławiu wraca na ulicę Błońską, gdzie już brak dla nich miejsca. Wracają te małe, wracają duże, litrowe, po „Pepsi” i „Mirindzie”, której już od ubiegłego roku z powodu wyczerpania zapasów koncentratu w ogóle się nie robi.

CO ZROBIĆ Z BUTELKAMI

o charakterystycznym kształcie i dumnym nadruku „znak tow. i but. zastrz.”? Próbowano je sprzedać do krajów ościennych, ale nie wyszło, bo napisy są w naszym języku. „Bomis” nie potrafi ich komuś „wcisnąć”, a wspomniany znak towarowy jednoznacznie określa do czego można je wykorzystać. Nawet cholera, firmowe pojemniki nie mogą być do mleka wykorzystane, bo gabaryty mają jakieś dziwne, nietypowe...

Co prawda, wbrew umowom i handlowym zasadom, w roku ubiegłym poszły spore partie w tych butelkach wody sodowej i oranżady. Nie było za dużo napojów orzeźwiających, no to w oparciu o nasz krajowy koncentrat zapachowy, „natrzaskano” tych landrynkowych smakołyków. Kapslowana oranżada i mandarynka, ale już w „przepisowych” butelkach, tych 0,33 litra wytwarzana jest wciąż, ale już w nowej wytwórni wód gazowanych, przy ulicy Gdańskiej. Wyjeżdża stąd dziennie przeciętnie do 100 tysięcy butelek: oprócz wspomnianych dwóch „specyfików”, jeszcze z poszukiwanym przez smakoszy napojem pt. „Tonic 76”. Czasem jest to „Alpina”, czasem trochę „Shandy”. Kiedyś, nie tak znów dawno były jeszcze napoje bazujące na tak dziwnych owocach jak grapefruit czy ananas, ale że były to naturalne koncentraty, kupowane za dewizy, więc zniknęły już z rynku...

— Próbowaliśmy, wie pan zdobyć odpowiednie ilości jakichś naszych, krajowych soków — tłumaczy mi dyrektor Zakładów — inż. Józef Karasek — choćby z czarnej porzeczki. Można by wtedy robić przecież doskonały, orzeźwiający napój. Tylko że nie można ich dostać za żadne skarby w zadowalających nas ilościach. Eksportujemy je zapewne w znacznych ilościach jako owoce, a do „Herbapoju” z zamówieniami to się stoi w kolejce.

— Czy w jęczmiennym kryzysie już nie na nowe gatunki, ale na poprawę jakości istniejących liczni przecież piwosze mogą liczyć?

— Zbyt dużo czynników wpływa na jakość piwa, bym mógł tu składać jednoznaczne deklaracje, a nie zawsze dostanę takie, jak bym pragnął drożdże, chmiel czy słód. Robimy piwo takie, na jakie nas stać. Jedno mogę powiedzieć: będzie w najbliższych miesiącach, a może i tygodniach więcej „Specjala”, nawet do 50 proc. łącznych dostaw. Jest to piwo pasteryzowane, a więc trwałe, które nawet w warunkach sklepowych może długo stać, choćby kilka tygodni...

— Przy produkcji rzędu 240 tysięcy butelek dziennie nie będzie czekać tak długo..

— Wiem, zdajemy sobie z tego sprawę, ale niewiele możemy w sprawie ilości zmienić. No i dajemy jeszcze trochę tego piwa specjalnego-ciemnego, też pasteryzowanego.

— Tylko gdzie dostać ten pański „Specjal”, łódzkim „Tuborgiem” zwany?

— (bezradne rozłożenie rąk) Teoretycznie — w każdym z bodaj 1300 sklepów i punktów sprzedaży...

— Dawno, dawno temu, bo wciąż brzmi to jak bajka, „odgrażał się” pan generalnymi zmianami ilościowymi i jakościowymi w łódzkim piwowarstwie po wybudowaniu nowego browaru na...

— ... Smulsku. Tak, rzeczywiście — i nadal jest to moim marzeniem. Miał powstać jeszcze w latach 1975—1978 i mieć zdolność produkcyjną w granicach 1 miliona hektolitrów piwa rocznie. Cóż, opóźniała się i nadal jest na papierze budowa EC-V, a jest to inwestycja niezbędna m.in. dla naszych celów, to i ja marzę dalej.

— To może spuśćmy trochę z tonu?

— Patrząc realnie, nawet browar o połowę mniejszej wydajności pozwoliłby mniej więcej zaspokoić potrzeby naszego regionu. Można by zlikwidować wreszcie stare, pracujące prawie po 100 lat browary przy Orlej i Sędziowskiej. I wreszcie mógłbym robić dobre, smaczne piwa. Ale do tego potrzebne są m.in. nowsze niż dziś wykorzystywane urządzenia.

— „Shandy” już praktycznie nie ma, kończy się „Tonic”, „Alpina”...

— ... podobnie, bo przy jej produkcji podstawą jest szwajcarski koncentrat ziołowy, importowany z Austrii.

— Gdy więc odłożyć ad acta napoje z importowanych koncentratów, a krajowych nie możemy wykorzystać na skalę przemysłową, pozostaje nam barwiona na wesoło oranżada, mandarynka i

— I piwo...

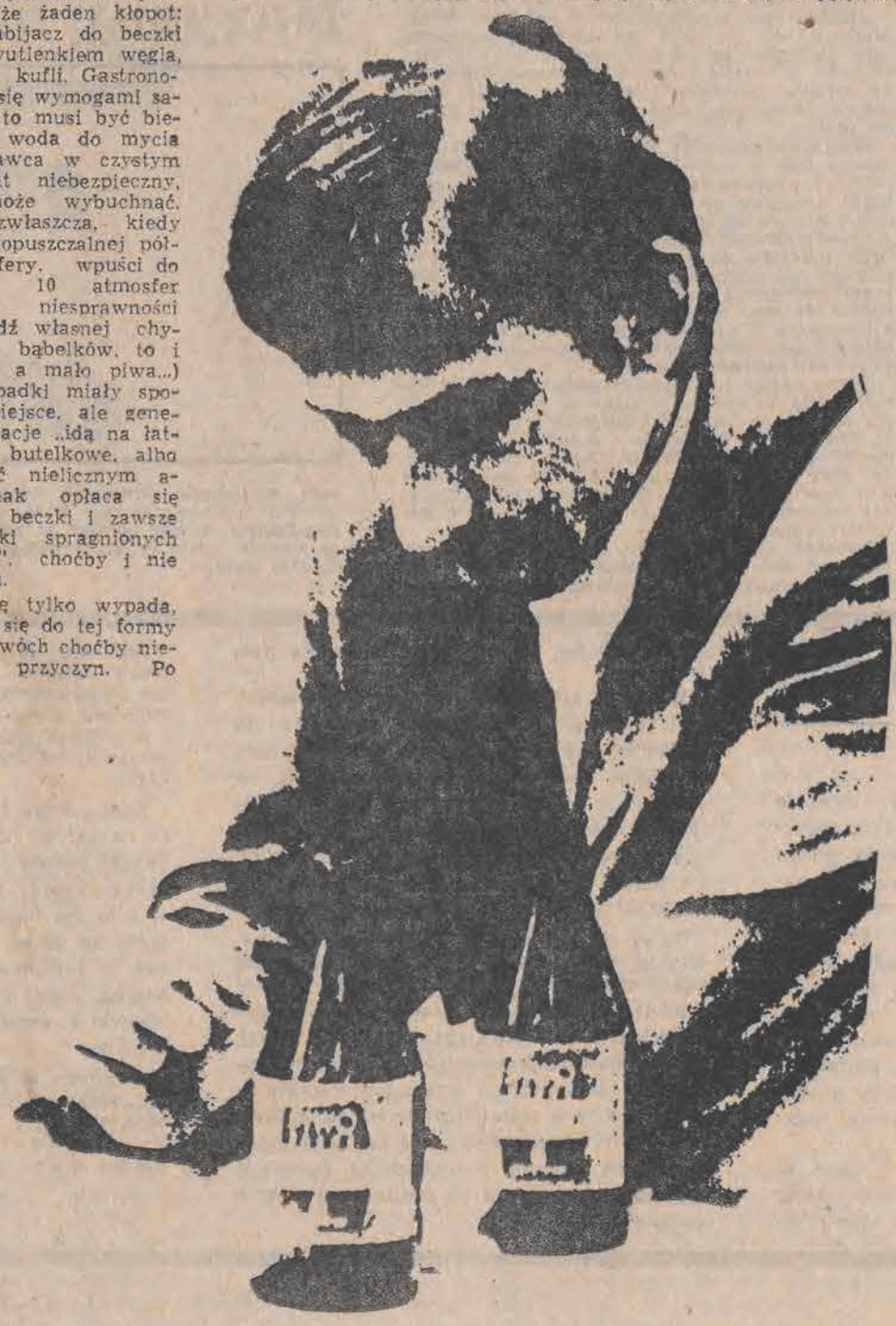

kolumna ajencyjna

Od Redakcji

Po głębokim i dojrzałym namyśle postanowiliśmy pójść za wzorem gastronomii, która — jak wiadomo — co tańsze, bardziej ponure i podupadające knajpki chętnie wypuszcza w ajencję. Stwierdzenie to oznacza, że postanowiliśmy tę oto 14, do niczego nie nadającą się stronę, oddać w ręce cieszącego się jak dotąd nieposzlakowaną opinią i posiadającego burzliwe poczucie humoru ajenta (nie agenta wszakże, agentów sobie nie życzymy i w ogóle nie z nimi takie numery!), który uczyni ją wręcz uroczą.

Strona powinna być zabawna, jednak nie głupia, złośliwa, lecz bez domieszki żółci, bogato ilustrowana, interesująco złamana, zawierająca coś do poczytania. Jeżeli tak się nie stanie, wyrzucimy — przepraszamy za słowo — ajenta na zbitą mordę i długo będzie sobie szukał nowej pracy.

Z drugiej jednak strony trzeba pamiętać, że cały numer „Odgłosów" kosztuje 20 złotych, co daje zaledwie 1,25 zł za kolumnę, a tak niska cena zniechęciła już kilku wysoce kompetentnych ajentów do podjęcia się obowiązków redakcyjnych. Spróbowaliśmy jednak i na to coś zaradzić, proponując następującą umowę Ajentowi, a teraz i Czytelnikom.

Z chwilą gdy dotychczasowa strona 14 „Odgłosów" stała się KOLUMNĄ AJENCYJNĄ, jej umowna cena wzrosła do złotych pięciu, co pozwoliło nam równocześnie koszt każdej innej spółdzielczej strony (naszym wydawcą jest bowiem Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Książka — Prasa — Ruch") obniżyć do marnej złotówki. Czytelnikom i tak wszystko jedno, ajent natomiast — choć początkowo próbował grymasić — uznał koniec końców, że fakt iż redagowana przez niego strona jest pięciokrotnie droższa od każdej innej, jest zaszczytnym wyróżnieniem oraz dopingiem do wytężonej pracy.

Opisanej wyżej metody nie patentujemy, każdy pomysł bezspornie wielki zasługuje bowiem na szerokie i bezpłatne upowszechnienie, byłoby nam jednak miło, gdyby Przedsiębiorstwa, Instytucje i Redakcje pragnące pójść w nasze ślady, odnotowywały priorytet „Odgłosów" we współczesnym rozwiązaniu problemu jajka Kolumba.

Za Kolegium XYZ
(podpis nieczytelny)

Foto.: W. Parys

Do wydawcy

Zdjęcie to — sprzed paru lat zresztą — przedstawia dyrektora Wydawnictwa Łódzkiego, mgr Piotra Sagana, ufnie spoglądającego w przyszłość.

Dziś naszemu sympatycznemu Wydawcy przybyło, niestety, parę siwych włosów, a spojrzenie ma nie tak już harde, wszystko zaś przez „Odgłosy", które zamiast słusznego dochodu zaczynają przynosić głęboko niesłuszny deficyt. Mając w ajencji i to od dziś dopiero li tylko stronę 14, nie możemy — rzecz zrozumiała — brać odpowiedzialności za ten stan rzeczy, tak jak nie możemy brać odpowiedzialności za wysik ropy w Karlinie, niemoralne prowadzenie się pramatki rodzaju ludzkiego Ewy oraz erupcję Wezuwiusza, która 24 sierpnia 79 roku nowej ery zniszczyła Pompeję.

Nasza 14 strona będzie jednak w przyszłości stroną tak szalenie atrakcyjną, że mimo wyznaczonej nań przez redakcję drakońskiej ceny, wystarczy upoważnić kioskarki „Ruchu" do wypożyczania nożyczek, a Czytelnicy wręcz rzucą się tłumnie, aby za 5 złotych wyciąć sobie naszą kolumnę AJENCYJNĄ, co resztę pisma pozwoli przeznaczyć na tak dziś potrzebną makulaturę.

Wierzę — Drogi Dyrektorze i Wydawco — że tą właśnie metodą, zwłaszcza w przypadku wzrostu ceny makulatury, wyjdzie Pan koniec końców na swoje.

Łączę serdeczne pozdrowienia i szczere wyrazy szacunku.

AJENT

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Dlaczego nie zostałem mężem królowej angielskiej?

Nie pamiętam, czy zobaczyłem tamto barwne zdjęcie w piśmie kolorowym „Siedem Dni" czy „Światowid". Przedstawiało rodzinę księcia Kentu. Chłopczykowaty książę w skautowskich kusych majtkach. Księżna w monumentalnym kapeluszu... Jednakże moją uwagę przykuła stojąca obok (usytuowani byli na jakimś balkonie albo trybunie) dziewczyna w moim wieku. Była ładna jak różyczka, (tak się wtedy mówiło) i przy całej swojej książęcości „swoja" — nie całkiem książęca. Miała grzywkę nad czołem jak Baśka Sławińska i jaką noszą „nasze" dziewczyny. To była ich córka — tych Kentu. Na imię miała Elżbieta. To przeczytałem pod zdjęciem. Przyglądałem się jej buziakowi (tak się wtedy mówiło) z lewej strony i z prawej. Fajna księżniczka. Taka jakaś!. Poeci epoki Lermontowa, stan, w którym się znalazłem, nazywali oczarowaniem. Musiało to być chyba jeszcze przed wizytą księstwa Kentu u Potockich w Łańcucie, ponieważ przyglądając się księżniczce byłem jak najdalszy od snucia refleksji: księżniczka a sprawa polska. Z całej sprawy pozostało w myślach tylko nieśmiałe (nie byłem podrostkiem śmiałym, ale dość ambitnym) postanowienie, żeby księżniczkę pojąć za żonę.

Formalnie rzecz biorąc, przeszkody natury społecznej nie były tak horrendalnie wielkie, jakby się mogło wydawać. Byłem kandydatem do korony, tyle że jednym z bardzo wielu i że korony już nie było, a prezydent chodził w kapeluszu. Nie miałem zatem szans na zostanie królem. Ale i księżniczka także nie miała szans na zostanie królową. Jej harcerzykowaty ojciec był zaledwie bratem króla. Wprawdzie kawalera, ale wiadomo, że kawalerowie się żenią i mają potem następców tronu. A więc bratanica prawdziwego króla też była bez szans.

Swego czasu wydziwiałem na Bernatowicza, że ten w „Pojacie, córce Lizdejki" kazał zakochać się Jagielle w portreciku królowej Jadwigi. Bzdura! — śmiałem się do rozpuku. — W kobiecie można się zakochać, w malunku nie! Miałem jednak, jak się okazuje, rację nie całkiem. W obrazku w czasach bardzo dawnych rzeczywiście nie można się było zakochać, bo wtedy malarze nie umieli po ludzku malować i tylko mazali jak kura pazurem albo jak ci dzisiejsi nowocześni, co same koszlągi skrobią. Więc wiadomo w portreciku nie można było się wtedy zakochać. Ale dziś w ładnej kolorowej fotografii? Sam na sobie poznałem że można!

Przyglądając się zdjęciu dokładnie, z lewej strony do prawej i z prawej do lewej, odbyłem coś jakby naradę wojenną — sam ze sobą.

Przeszkoda pierwsza — to ta, że nie umiem po angielsku, a ona znowu nic nie kapuje po polsku. Ci zagraniczniacy to podobno tumany do języków! Ona po polsku nie, ale ja się mogę nauczyć po angielsku. Dlaczegoż by nie, kiedy podobno jestem zdolny. Potem muszę tam pojechać i zrobić na Anglikach dobre wrażenie. To nie będzie trudne, kiedy się języka nauczę. Nie jestem wprawdzie przystojny jak Adam Brodzisz ani Roman Nawarro, przeciwnie, jestem mały i „powszechniaki" wołają za mną „Klucha", ale potrafię być miły i dowcipny w gronie różnych osób. No i piszę wiersze! A więc pozostałoby tylko zdobyć pozycję. Jak zdobyć? Powiedziałem już przecież, że piszę wiersze. Jestem zdolny (wszyscy tak mówią ciocie w Siedlcach, pani gospodyni od pana Dolińskiego, pan łaciniarz. No i moja Baśka — a ta się zna!), więc mogę otrzymać Nagrodę Nobla. Będę miał sławę i majątek. Wtedy jak już pojadę do Anglii, będę bywał w największych angielskich salonach. Na którymś z nich niewątpliwie poznam księżniczkę Elżbietę. Bardzo dobrze tańczę tango. Nieźle też foxtrotta... Jasne! Zawrócę jej w głowie jak murbeton! Już trzasnąłbym jedną łapą o drugą, jak czynią chłopi na targu podczas litkupu, ale...

Stanęła mi przed oczami myśl — „moja" Baśka. Też z taką grzywką jak tamta. Gorzej ubrana, bez wielkoksiążęcych fioków, ale na pewno, gdyby takie same fintikluchy włożyła, wyglądałaby, gdzie tam! dużo lepiej. Tamta księżniczka Elżbieta na pewno nie umie ani dobrze rzucać dyskiem, ani skakać wzwyż metr trzydzieści sześć jak Baśka, która zdobyła mistrzostwo Okręgu. A poza tym Baśka jest z naszego rodu i to ja ją, a nie kogoś z fotografii... no, kocham!

Oparłem się owej największej chyba z życiowych pokus i Baśce pozostałem wierny.

Czy mogłem jednak przewidzieć, co nastąpi? *Tamta Elżbieta — księżniczka bez szans* — została królową. Baśka zaś zamiast wyciągnąć właściwe wnioski z mojej heroicznej wierności, po powstaniu warszawskim, gdzie służyła w sztabie Szarych Szeregów, znalazła się w Anglii. Tam wyszła nie za mnie (mnie tam zresztą nie było), lecz za wysokiego polskiego oficera. U królowej Elżbiety, kiedy została królową straciłem wszelkie szanse: wyszła bowiem za swego księcia małżonka. Nagrody Nobla też nie dostałem.

Ej, życie, życie! — jak często narzeka mój Wujek Władek.

Narysuj sobie sam!

W tej ramce miał się ukazać niezwykle śmiały i zabawny rysunek satyryczny, w ostatniej chwili jednak... Otóż nie, choć poniektórzy z pewnością diabli wiedzieć co sobie pomyśleli, prawda jest taka, że w ostatniej chwili powstrzymaliśmy się od podjęcia inwestycji, która mogła przecież okazać się nie trafiona i doprowadzić ajencję do smutnej plajty.

Uznaliśmy natomiast za możliwe, a nawet za słuszne, iżby w dobie rozwijającej się samoobsługi („zbuduj własnoręcznie mieszkanko", „uszyj sobie buty", „wykarm się sam", no i tak dalej) zaproponować Czytelnikom, iżby na wolnym miejscu — najlepiej czarnym flamastrem — narysowali co im tylko przyjdzie do głowy. Rysunek mogą potem podpisać własnym nazwiskiem, chwalić się nim przed znajomymi, ewentualnie numer „Odgłosów" wysłać do cioci w USA, prosząc ją przy okazji o przysłanie kilku (100 do 100 tysięcy, zależnie od hojności familiantki) nowych flamastrów niezbędnych do dalszego rysowania.

Gdyby komuś z rysujących wydało się, że stworzył dzieło naprawdę śmieszne — niech spróbuje przysłać je do redakcji „Odgłosów" (Mickiewicza 11, 90-438 Łódź) oczywiście z dopiskiem na kopercie KOLUMNA AJENCYJNA. Dopisek jest niezbędny, gdyż inaczej rysunek może trafić w niepowołane ręce i ukazać się na całkiem innej stronie, gdy tymczasem tylko my drukujemy rysunki w gustownych ramkach.

Tematów nie sugerujemy, choć jednak rysunek nie musi być specjalnie skromny, to honorarium będzie skromne z całą pewnością. Chodzi tu o zasadę, wypłacanie skromnych honorariów stanowi bowiem nasz spontaniczny wkład w walkę z alkoholizmem, wiemy bowiem aż nazbyt dobrze, na co niestety ludzie zwykli wydawać zbyt łatwo zarobioną forsę...

AJENT

— Zawsze to mówię: Gdyby ludzie chcieli sobie pomagać nawzajem, życie byłoby o wiele łatwiejsze...

Rys. Peynet

Dziś w karcie dań

Zaczynamy, Drodzy Konsumenci, uczciwie i skromnie, nie sztuka bowiem w dniu otwarcia szarpnąć się na koniak i łososia, potem zaś — gdy lokal zdobędzie popularność — zacząć karmić przemarzniętymi ziemniakami i poić fałszowaną wódką. Uczynimy dokładnie na odwrót, bo choć już dziś nasza Karta Dań jest wcale bogata, z każdym tygodniem obiecujemy rozszerzyć asortyment propozycji.

Aktualnie polecamy tekst Tadeusza Chróścielewskiego — subtelnego poety, prozaika i tłumacza — który wpadł na przemiły pomysł zaprezentowania weselszej części swojej twórczości.

Zdjęcie dyrektora Sagana mówi samo za siebie, kosztowało nas majątek, nie mówiąc o bezmiarze trudów i wyrzeczeń, nigdy też nie zdradzimy, jakim cudem udało się nam je zdobyć.

W ogóle tak zwane łamanie „Odgłosów", czyli ustawianie klocków — artykułów na kolumnie, jest może wysoce artystyczne, lecz absolutnie nie nadające się do czytania, co ma zresztą pewne zalety, bo niektórych artykułów istotnie czytać nie warto. U nas będzie mniej artystycznie, ale za to po ludzku. Po ludzku i dla ludzi — oto obowiązujące na KOLUMNIE AJENCYJNEJ hasło.

Teraz co do naszych współpracowników. Winietę zamówiliśmy u Skonego (dla mniej wtajemniczonych: Józef Skonieczny), a mieć winietę od Skonego, to prawie tak, jak mieć pierścionek od Tiffaniego. Również innych czołowych współpracowników już zaprezentowaliśmy, poniektórych trzymamy wszakże w ukryciu, iżby w razie potrzeby wyjąć tę karetę asów z rękawa. Być może też podkupimy niektórych autorów pisujących na sąsiedniej kolumnie, dodając im po prostu parę złotych od kawałka więcej.

Podobają się nam na przykład niektóre teksty Jerzego P., zwłaszcza te, w których nie grzebie o szachach. Jeżeli autor będzie pracować nad sobą, zacznie się trochę streszczać i przyobieca staranniej dobierać pointy — w perspektywie może na gościnne występy liczyć.

Agata, która nie tak dawno odgrażała się, że na nic jej kartkowe pół litra, musiałaby przejść pewien test: wypić wzmiankowaną połówkę i zaraz potem napisać własnoręcznie — i to bez błędów w maszynopisie — felietonik na jedną jedyną głupią kartkę. Jeżeli zda — przyjmiemy ją na młodszą praktykantkę. Jeżeli nie zda — zwraca koszt półlitrówki (i ewentualnie koszt czyszczenia dywanów).

Z innymi autorami, bądź przynajmniej potencjalnymi autorami, skontaktujemy się osobiście. Ci, z którymi się nie skontaktujemy, mogą się z nami skontaktować, ale niech nie żywią zbyt wielkich nadziei.

SZEF KUCHNI

1 Zdarzenia i zwierzenia

Rzeczy po-pularne

Pamiętam jak przed rokiem popularny satyryk, magister inżynier zresztą z wykształcenia, kpił sobie w radiowej audycji, że strasznie go bawią głupi faceci, którzy zabierając głos w dyskusji zaczynają od słów: „Powiem rzecz niepopularną..." Pan magister inżynier wołał: „To mów pan to co popularne..."

Dobra rada, nie ma co! Tylko, że pan magister zajęty na studiach kabaretem nie nauczył się jednego. Tego mianowicie, że mówienie rzeczy popularnych jest sprawą najprostszą, najłatwiejszą pod słońcem. Nie nauczył się również i tego, że mówienie rzeczy popularnych robi ludziom wodę z mózgu bo nie uczula ich na trudności i zło, nie ostrzega przed niebezpieczeństwem, tylko basuje ludzkiemu „chciejstwu"...

Pewno, że wygodniej i sympatyczniej powiedzieć durniowi, że jest mądry i inteligentny — ale to fałsz i dureń od tego nie zmądrzeje tylko umocni się w swojej durnocie. A dureń pewny swojej mądrości to już problem społeczny.

Mówienie rzeczy popularnych było główną zasadą propagandy w latach siedemdziesiątych, kiedy to ludzie chcieli wierzyć, że „Polak potrafi" i zbuduje drugą Polskę. Za mówienie rzeczy niepopularnych wylatywało się z pracy i stanowisk

Mówienie rzeczy popularnych było także główną zasadą propagandy w owych siedemnastu miesiącach, kiedy to społeczny, polityczny i ideowy szok spowodował, że ludzie chcieli wierzyć, iż komuniści pragną zagłodzić naród, magazyny są pełne, a każdy partyjny ma konto dewizowe w Szwajcarii... W różne głupoty ludzie chcieli wierzyć i łatwo było mówić takie „popularne" rzeczy, bowiem nie było takiej bzdury, w którą by nie uwierzyli.

Nawoływanie satyryka magistra inżyniera z anteny Polskiego Radia — „Mówcie rzeczy popularne", było albo oczywistą głupotą, albo realizacją świadomie założonych zasad popularnej propagandy. Ta popularna propaganda była wszechstronna — w prasie, biuletynach, ulotkach... Zasada była identyczna co w latach siedemdziesiątych: wmawiać to, co zszokowani wydarzeniami, rozczarowani ludzie chcą usłyszeć. A chcieli — co raczej normalne — słyszeć wyłącznie oskarżenia oraz piękne mity o Japonii i workach dolarów, które nam tu Amerykanie przyślą i zrobią raj.

Jeśli natomiast znajdował się ktoś, kto mówił rzeczy niepopularne — że nie przyjdą żadni Amerykanie, aby zrobić raj — lecz może przyjść ktoś zupełnie inny — to wówczas kabaretowi politycy podnosili raban, wołając: „Mówcie rzeczy popularne", albo drwiąc: „Znowu nas straszą!".

Powtarzam — najgorszą, najbardziej nieuczciwą wobec społeczeństwa postawą jest mówić właśnie rzeczy popularne, usypiać minimalizować zagrożenia, podbijać bębenek emocji... To zawsze jest łatwe. Tak zwana opinia publiczna z reguły bywa niesprawiedliwa, mało analityczna i zawsze chętna sensacjom.

Mówić rzeczy popularne — bez względu z jakich pozycji się je wypowiada — jest nadużyciem wobec społeczeństwa, choć to właśnie społeczeństwo domagà się często, aby mówić rzeczy popularne. Ostatnio podano komunikat z kontroli przedsiębiorstw przed rokiem i obecnie. Komunikat stwierdza, że niewiele zmieniło się na lepsze. Oczywiście jest to stwierdzenie niepopularne — wolałbym usłyszeć, że nastąpiła poprawa. Mimo to jest w tym smutnym komunikacie pewien optymizm. Oto propaganda — choć jeszcze nie wszędzie i nie zawsze — zaczyna mówić nie rzeczy popularne, lecz po prostu prawdziwe. I tak powinno pozostać bez względu na „chciejstwo" nas wszystkich, którzy wolelibyśmy słyszeć, że nastąpiła odczuwalna poprawa. I ta poprawa wreszcie nastąpi — tylko przestańmy dzielić propagandę na popularną i niepopularną, a dzielmy na prawdziwą i nieprawdziwą.

To pierwszy krok do zaufania. Ludzie wówczas przestaną słuchać popularnych bzdur „Wolnej Europy", a będą słuchać gorzkiej i niełatwej prawdy Radia Warszawa.

JERZY WILMAŃSKI ■

2 Lewym okiem

Dwa przy-kłady

Na przedostatniej stronie jedenastego numeru „Przeglądu Tygodniowego" ktoś, podpisany — chyba — pseudonim „Franciszek Kaszak", opowiadał ze swadą o swoim losie wykształconego młodego inteligenta, który nie może znaleźć pracy w swoim zawodzie, a innej pracy nie chce. Nie pozwala mu sumienie! „Nie po to mi państwo ludowe przez całe studia wypominało, że wpakowało we mnie pół miliona na wykształcenie, żebym ja teraz uciekał z zawodu jak szczur z tonącego okrętu, bez zwrotu długów" Motywacja jak widzimy nader budująca, patriotyczna, honorowa. Słyszymy co prawda o wielu takich, w których państwo wpakowało setki tysięcy na wykształcenie, a którzy potem „spłacając dług" pracą w swoim zawodzie wpakowali państwo w miliardowe straty. Oczywiście nie może to dotyczyć obywatela Kaszaka i on sam o tym wie najlepiej.

Ponieważ felieton jest to taka sobie mała forma publicystyczna, w którym małym, a często śmiesznym przykładem ilustruje się jakąś sporą, a czasem dużą sprawę, więc i w „Poczcie do Franciszka Kaszaka" doszukujemy się mimo woli jakiejś generalizującej tezy. Myślę, że można by ją sformułować tak: „Ludzie wykształceni nie chcą pracować fizycznie, a władze ich do tego zmuszają".

Natomiast na ostatniej stronie tego samego numeru „Przeglądu" czytamy „Trzy grosze" obywatela Rocha, a w nich opowieść o zdolnym, pełnym sukcesów dyrektorze, który chce koniecznie pracować jako robotnik fizyczny i to w tym samym, własnym zakładzie. „Sprawdziłem się, dziękuję — powiada — ale chcę na emeryturę. Po mojej dyrektorskiej pensji, dostanę tyle co kot napłakał, muszę przed emeryturą zarobić więcej."

Roch opisuje następnie całą gehennę, jaką przechodzi dyrektor w swym dążeniu do zejścia z dyrektorskiego fotela. Coraz wyższe instancje starają się odwieść go od tego zamiaru, przy czym zresztą ani razu nie pada argument o zwrocie kosztów wykształcenia. Jakaż tu tkwi teza uogólniająca? Chyba taka: „Ludzie wykształceni chcą pracować fizycznie, a władze im nie pozwalają".

Jak widzimy — mamy do czynienia z dwiema tezami sprzecznymi, a więc zgodnie z zasadami klasycznej logiki sokratesowskiej jedna z nich musi być nieprawdziwa. Musi? A może nie musi?

Nie musi. Obie są prawdziwe, bo wcale nie są ze sobą sprzeczne. Po prostu podmiot jednego twierdzenia jest inny niż drugi: to nie o tych samych ludziach mowa. Ludzie są różni, i dobrze.

Można przecież zaoferować obywatelowi Kaszakowi dyrektorskie miejsce po obywatelu Rochu, a Rochowi dać pracę fizyczną, którą Urząd Zatrudnienia częstuje Kaszaka. To jest takie krotochwilne, toporne postawienie sprawy, zza którego przeziera wyraźna — chciałbym wierzyć — zasada: „Ludzie są różni, a ich uzasadnione interesy wzajemnie sprzeczne, ale władze powinny znosić te sprzeczności załatwiając możliwie wiele spraw po myśli obywatela, zamiast możliwie wiele — wbrew ich oczekiwaniom".

Co niech będzie uznane za „generalizującą tezę" niniejszego felietonu.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK) ■

3 Sport

Amne-stia u piłka-rzy

Fakt — PZPN zafundował piłkarzom ukaranym za różne sportowe przewinienia amnestię. Uznano, że 10 lipca 1982 roku, kiedy to nasi zdobyli trzecie miejsce na Mundialu, jest dniem tak ważnym i świątecznym, że można spokojnie darować różne winy. Różne, ale nie wszystkie. Rok dyskwalifikacji idzie w zapomnienie Więcej jak rok — tylko skrócenie o połowę. Ale dobre i to.

PZPN poszedł na całość. Amnestia to mało. Wyrażono zgodę na transfery. Krajowe co prawda, ale zawsze. Wyjazd za granicę, stał się już wcześniej możliwy dla wielu piłkarzy. I było to posunięcie słuszne. Przykład Kazimierza Deyny nie był budujący. Podobnie zresztą jak los Roberta Gadochy. Pozwolono im wyjechać już po ukończeniu krajowej kariery, kiedy nie mogli wiele osiągnąć za granicą. Dziś mogą wyjeżdżać o wiele młodsi. I to normalne, że dobrych piłkarzy chcą kupować za granicą.

Ale ich miejsce ktoś musi zajmować. Więc będą transfery krajowe. Może sobie kupić klub jednego piłkarza, może dwóch, może cały atak, a może całą drużynę. Jeśli tylko ma na to pieniądze i jeśli dojdzie do porozumienia z innym klubem, który zechce odstąpić dobrego gracza, a dostać za to dobre pieniądze. Pieniądze przez jakiś czas będą się jeszcze dewaluowały, a z gracza może wyrosnąć gwiazda. Dobry interes dla obu stron. Że z ryzykiem? A kto widział interes bez ryzyka?

Zgoda PZPN na praktycznie nieograniczone transfery wywołała już różne złośliwostki. — Teraz — powiadają złośliwcy — prezes Widzewa, Ludwik Sobolewski będzie mógł kupić sobie całą drużynę, bo klub to bogaty i stać go na to. Jak znam prezesa Sobolewskiego to znacznie wcześniej pomyślał on o tym, kim zastąpić Zbigniewa Bońka i Władysława Żmudę. Kiedy Boniek przychodził do Widzewa nie był wcale piłkarską gwiazdą. Złośliwcom zawsze Widzew jakoś wadził. Gdybym nie była elegancka przytoczyłabym tu przysłowie o karawanie i psach, ale tego nie zrobię.

Pieniądze Widzewa ani mnie nie grzeją, ani ziębią, podobnie zresztą jak i pieniądze innych klubów. Nie mogę się jednak powstrzymać, aby nie podzielić się pewną wątpliwością. Pamiętam nie tak dawno sama pisałam z troską o tym, jaki to teraz sport będzie biedny, jakie to kluby mają kłopoty. Fabryki odmówiły łożenia na kluby, dochody z biletów były liche, załogi nie chciały utrzymywać piłkarzy, dano więc im stypendia — słusznie. Co się więc zmieniło, że teraz mogą sobie kupować całe drużyny? Teoretyczna to jedynie możliwość. Czy będzie też praktyką? Jeśli tak, no to jednak dobrze byłoby i tę dziedzinę zreformować, aby dochody klubów nie były słodką tajemnicą prezesów i głównych księgowych, ale mogły podlegać społecznej kontroli. Ot, choćby przez jawność.

Z dobrodziejstwa transferów mogą też korzystać kluby wojskowe i gwardyjskie, ale z powoływaniem piłkarzy do wojska sprawa nie uległa zmianie. Można powołać z tej samej ligi tylko jednego piłkarza w ciągu sezonu. Postuluje się wprawdzie, żeby mogły powołać trzech, ale jak do tej pory jest to tylko postulat.

Śmiało do przodu poszedł PZPN. Nie żebym miała to za złe. Ale znów sobie przypominam, ile to słów zużyto, aby przypominać klubom o potrzebie wychowywania piłkarzy, szkolenia ich, przywiązywania do barw klubowych. Transfery były, są i będą. Są czymś normalnym, ale byłoby dobrze, żeby budowanie drużyn ligowych nie przypominało klockowej układanki. Mamy tyle a tyle klocków i układamy z nich tyle a tyle kombinacji. Zabawa to może i pożyteczna, ale szybko się nudzi, bo jest monotonna. W końcu ilość kombinacji wyczerpuje się i wracamy do tego samego. Żeby czegoś podobnego nie było w piłkarstwie. Transfery transferami, a młodych trzeba dobrze uczyć piłkarskiego rzemiosła. Samą ułańską fantazją daleko nie zajedziemy. A jak raz się uda, to drugi już może nie. Obym nie miała racji.

BOGDA MADEJ ■

4 Spojrzenie znad szachownicy

Rady Mądrego Człowieka

W wojewódzkich Suwałkach jakimś dziwnym cudem kupiłem „Odgłosy", których — dajmy na to — w turystycznych Sejnach, a nawet w jeszcze bardziej turystycznym Augustowie dostać za cholerę nie mogłem. Może zresztą źle szukałem, nie wiem, trudno jednak w ramach urlopu latać od kiosku do kiosku z językiem wywieszonym na brodę.

No i z tych „Odgłosów" wiem, że koledzy pragną wybić mi z głowy pomysł zostania wampirem. Podobno nawet wysłali depeszę, ale nie doszła, tu bowiem, gdzie przebywam, diabeł mówi dobranoc, a WOP-iści dzień dobry, zaś listonosz zagląda niechętnie. Z diabłem różnie bywa, WOP-iści są natomiast młodzi, weseli i uprzejmi. Gdy pewna pani zaczęła narzekać, że sprawdzają jej dokumenty już drugi czy trzeci raz, jeden z nich powiedział pogodnie:

— Nie jest tak źle, przyjdą gorsi.

— Jezus Maria — zakrzyknęła ta pani — jacy gorsi, skąd gorsi?!

— Rekruci zaraz po przysiędze — powiedział ten od kontrolowania. — Jak się tacy przejmą, to potrafią nawet i do bagażnika zajrzeć, ale zjeść pani to nie zjedzą. Zresztą coś tak myślę, że będzie złagodzenie rygorów i w ogóle przestaniemy sprawdzać...

Co się, dodajmy, już po paru dniach potwierdziło.

2.

Głędzę o WOP-istach, gdy tymczasem miałem wyjaśnić, dlaczego mianowicie wciąż upieram się przy pomyśle zostania wampirem.

Większość słynnych wampirów przeszłości wywodziło się, jak wiadomo, z arystokracji, nic więc dziwnego, że wysysali poddanych z pozycji feudalnych i wysoce niesłusznych. Co do mnie zamierzam zostać wampirem ślicznym i demokratycznym, który będzie wysysał pryncypialnie, walcząc z biurokracją, a więc w ramach troski o człowieka. Taki wampir jest nam po prostu potrzebny i lękam się jedynie, że do tak odpowiedniego zwampirzenia jeszcze nie dorosłem.

3.

Ktoś by pomyślał że poszło o dodatkową benzynę dla dziennikarzy, skoro więc prezydent miasta Łodzi rozsądnie odkręcił to, co zakręcono na górze, wszystko jest w porządku.

Guzik prawda, poszło mi o zdrowy rozsądek, którego przystępnej lekcji udzielił mi pewien facet spotkany podczas urlopu. Za przykładem Matii Iwaszkiewicz — autorki uroczych „Gawęd o jedzeniu" — nazwę go po prostu Mądrym Człowiekiem.

— Martwi się pan o benzynę? — spytał Mądry Człowiek, gdy uścisnęliśmy sobie ręce nad Wigrami.

— Troszeczkę — odparłem. — Liczę wprawdzie na prezydenta, ale nigdy nic nie wiadomo.

— Licz pan raczej na ajenta — powiedział Mądry Człowiek — bo tu przynajmniej wszystko wiadomo.

A widząc, że kojarzę niemrawo, wskazał na takie coś na dwóch kółkach co stało podle drogi.

— Co to jest? — spytał.

— No, tego, motorower, jak mi się wydaje.

— Bardzo dobrze. A motorowery można tankować bez nijakich tam kwitków.

— Ale ja nie mam motoroweru...

— Jesteś pan taki sam baran, jak ci od reglamentacji — powiedział Mądry Człowiek życzliwie, acz niezbyt uprzejmie. — Oni też chcieliby zaoszczędzić i na benzynie i na myśleniu, więc jak coś wykombinują między jedną herbatką z papierka a drugą, to wprost można skonać ze śmiechu.

Ciągle jeszcze nie kapowałem, więc Mądry Człowiek uśmiechnął się z politowaniem i kontynuował:

— Motorowerów jest w okolicy może sto, może tysiąc, nikt nie wie ile. Skoro ajent może motorower zatankować bez kartki, to i mojego grata też może, nikt go nie sprawdzi, gdzie wlał tę benzynę, bo i jak niby. Słowem trzeba z ajentem porozmawiać jak Polak z Polakiem i po krzyku...

4.

Jeszcze za mojej dziennikarskiej pamięci opisanie jakiejś sprawy w gazecie, a nawet sama groźba opisania niekiedy — choć nie zawsze, rzecz prosta — przynosiło pożądany efekt. Potem wnioski i uwagi krytyczne zaczęto wszakże zgłaszać z szybkością 100, 150, a nawet 200 postulatów na godzinę, co doprowadziło do niejakiej dewaluacji żądań zgłaszanych na piśmie. Skoro tak, należy sięgnąć po środki bardziej radykalne i w przypadku decyzji sprzecznych ze zdrowym rozsądkiem po staremu zaczynać od opisywania, ale kończyć na wysysaniu. Wyssany biurokratą stanie się kimś zupełnie innym, własnym smutnym cieniem po prostu, może więc z tego smutku i wycieńczenia zechce cokolwiek pomyśleć.

— Jeżeli na tamtym świecie jest taki sam bałagan jak na tym — powiedział Mądry Człowiek, gdy zwierzyłem mu się ze swojego pomysłu — minie parę stuleci zanim rozpatrzą pański wniosek o przekwalifikowanie na wampira. Nie rób pan głupot, trzeba to przedtem przewąchać.

Rada, jak poprzednia, była bystra, w cieniu suwalskiej nocy urządziłem tedy seans spirytystyczny, a Mądry Człowiek robił oczywiście za medium. Strach powiedzieć, czego się dowiedziałem, ale mimo to powiem — za tydzień wszakże.

JERZY P. ■

P.S. Dla uniknięcia nieporozumień dopisuję kilka słów całkiem serio. Reglamentacja benzyny jest smutną koniecznością, rozsądek każe się z nią po prostu pogodzić. Chodzi jedynie o to, aby zasady reglamentacji były jasne, zrozumiałe dla wszystkich, nie pozostawiające luk, które utrudniają kontrolę i przez które benzyna nieustannie przecieka.

J. P.

Aferzysta 2

EUGENIUSZ ŁASKI

Przypomnijmy: Mariusz Losar podszywając się pod nie istniejącą firmę „Wytwórnia Łodzi Żaglowych i Przetwórstwo Tworzyw Sztucznych SEVA" wyłudza od 11 przedsiębiorstw m. in. tkaniny bawełniane i polichlorek winylu, które to artykuły sprzedaje prywatnym rzemieślnikom po zawyżonych cenach za złote polskie i dolary USA. Działa szybko, precyzyjnie i skutecznie. Kiedy organa ścigania wpadają na trop tej afery, Mariusz Losar jest nieuchwytny. Opuszcza Polskę w przeddzień ogłoszenia stanu wojennego. W kraju pozostają jedynie jego wspólnicy i ludzie w poszczególnych zakładach pracy, którzy sprzedawali, wbrew przepisom, tysiące metrów tkanin Mariuszowi Losarowi. Przeciwko nim Prokuratura Wojewódzka w Łodzi przygotowała akty oskarżenia. Całość prowadził i nadzorował wiceprokurator wojewódzki Marian Niesyto.

Poniżej dalszy ciąg niezwykłej afery.

NIEDBAŁOŚĆ, NAIWNOŚĆ CZY GŁUPOTA?

Najciekawiej przebiegało oszwabienie Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej „Alba" w Łodzi. Śledząc przebieg kontaktów tego przedsiębiorstwa z firmą SEVA można jedynie dziwić się naiwności ludzkiej lub zwyczajnej ich głupocie. Trudno bowiem uwierzyć, żeby ot tak sobie, zakład sprzedawał flanelę w setkach tysięcy metrów po cenach zbytu człowiekowi, który zjawił się w gabinecie dyrektorskim legitymując się jedynie wizytówką: MARIUSZ LOSAR PEŁNOMOCNIK d/s POLONIJNO-ZAGRANICZNEJ DZIAŁALNOŚCI GOSPODARCZO-HANDLOWEJ W POLSCE.

Lecz po kolei.

28.II.1981 r. SEVA zamawia w „Albie": *„Tkaninę bawełnianą dwustronnie drapaną (flanela) 140 cm szer. — m 200.000."* 9.III.81 SEVA śle kolejne pismo, tym razem konkretyzując swoje zamówienie. Pisze: *„Dot.: współpracy gospodarczo-handlowej pomiędzy zakładami „Alba" i SEVA. Zwracamy się do Was z prośbą o wyrażenie zgody na sprzedaż nam flaneli dwustronnie drapanej 140 cm szerokiej, w zamian za zakup przez naszą firmę dla Was części zamiennych we wskazanych nam firmach zachodnich w wysokości 20 procent od sumy uzyskanej przez Was w wyniku eksportu Waszego artykułu (flaneli) do II obszaru płatniczego. Powyższe części zostaną sprowadzone z naszych środków dewizowych. Z poważaniem: Dyrektor naczelny — Anna Losar".*

W „Albie" działają szybko. Jeszcze tego samego dnia „Alba" prosi Zjednoczenie Przemysłu Bawełnianego o akceptację i otrzymuje takową od ręki. Pismo ze Zjednoczenia podpisał naczelnik Wydziału Obrotu Towarowego. Brzmi ono: *„Zjednoczenie Przemysłu Bawełnianego przesyła w załączeniu pismo Wytwórni Łodzi Żaglowych i Przetwórstwa Tworzyw Sztucznych SEVA zaakceptowane przez Dyrektora (tu nazwisko dyrektora). Wyrażamy zgodę na sprzedaż flaneli przez Wasze Zakłady pod warunkiem podpisania z w/w Firmą szczegółowego porozumienia o współpracy, która winna zagwarantować interesy Waszym Zakładom z uwzględnieniem specyfiki odbiorcy".*

10.III.1981 r. „Alba" do SEVY: „Wasze zamówienie nr 21/81 z dnia 28.02.81 zgodnie z akceptacją Zjednoczenia Przemysłu Bawełnianego potwierdzamy do realizacji w roku 1981 w niżej podanym asortymencie i ilościach. 1. Tkanina „Dedal" 5/150 biel. barw. — 80 tys. m szer. 140; 2. Tkanina „Nestor" 100 surowa — 140 tys. m szer. 100. Tolerancja w dostawach ∓5 proc. Podpisali: Z-ca Dyr. d/s Handlowych i Kier. Działu Obrotu Towarowego."

SEVA jednak kokietuje nadal. 8 czerwca 81 pisze do „Alby": *„Informujemy, że posiadacie do dyspozycji 27 tys. $ (dwadzieścia siedem tysięcy dolarów) na zakup potrzebnych części i surowców. Firma SEVA na Wasze pisemne polecenie przeleje odpowiednią kwotę dolarów USA na konto firmy wskazanej przez Was z Banku Zentralsparkasse und Kommerzialbank — Wien".*

W „Albie" radość powszechna, są środki na części zamienne, można także sądzić, że tak rozpoczęta współpraca przyniesie dalsze, pożyteczne owoce.

Niestety, znalazł się człowiek bez poczucia humoru, a przy tym skrupulatny i lubiący porządek w papierach: główny księgowy zakładów. Człowiek ten pisze pismo (10.VII.1981 r.) do Z-cy dyr. d/s handlowych, że według jego rozeznania sprzedaż osobie prywatnej deficytowych tkanin, do tego po cenach z zastosowaniem marży, jest niewłaściwa i niedopuszczalna. Żąda ponadto wyjaśnień od dyrekcji. Dyrekcja jednak zasłania się pismem Zjednoczenia Przemysłu Bawełnianego, które wyraziło zgodę na zawarcie transakcji pomiędzy „Albą" i SEVĄ ze względu na wspomniane już 27 tys. dolarów USA, za które kupi się części zamienne i surowce. Ale główny księgowy nadal się upiera i chce wiedzieć kto kryje się pod firmą SEVA i czy zgodnie z zaleceniem Zjednoczenia spisano z nią porozumienie gwarantujące nie poniesienie przez zakład jakichkolwiek strat.

Wobec powyższego dyrektor naczelny zobowiązuje swego zastępcę d/s handlowych by w trybie pilnym dokonał powyższych czynności, a w szczególności by bezwzględnie zagospodarować owe 27 tys. dolarów USA pozostających do dyspozycji „Alby" w banku wiedeńskim. W tym celu dyr. d/s ekonomicznych sporządza wykaz części do maszyn, które należy kupić za środki dewizowe. Niestety, umów z SEVĄ nie zawarto, natomiast w międzyczasie Losar odebrał z „Alby" tkaninę za sumę 1.900.000 zł, przy czym zastosowano marżę w wysokości 12 proc., podczas gdy tkanina winna była być sprzedana (o ile w ogóle powinno się ją sprzedać Losarowi) po cenach detalicznych. W sumie, z tytułu transakcji z SEVĄ ZPB im. Armii Ludowej „Alba" poniosły straty w wysokości 691.214 zł. Oczywiście usiłowano należność ściągnąć przez Bank Spółdzielczy w Ujeździe, ale okazało się, że konto firmy SEVA jest zerowe.

Pikanterii tej sytuacji nadaje pewien dokument, jaki wpłynął do „Alby" 4 czerwca 1981 r. z tegoż Banku Spółdzielczego w Ujeździe. Oto jego treść: *„Bank Spółdzielczy w Ujeździe przestrzega, że ob. Anna Losar (mąż Mariusz) przy wykonywaniu rzemiosła wytwarzania artykułów w zakresie przetwórstwa tworzyw sztucznych używa pieczątkę bez nazwiska o treści następującej: „SEVA Wytwórnia Łodzi Żaglowych i Artykułów w Zakresie Przetwórstwa Tworzyw Sztucznych Olszowa 2 gm. Ujazd woj. piotrkowskie tel. Tomaszów Maz. 29-80 telex 885315 m pol pld" co nie jest zgodne z postanowieniami ustawy z dnia 8 czerwca 1972 r. o wykonywaniu i organizacji rzemiosła (Dz. U. Nr 23/72). Prosimy o wzięcie powyższego pod uwagę w zawieranych umowach, transakcjach i rozliczeniach pieniężnych. W podpisie: Dyrektor Banku Spółdzielczego".*

W związku z tym dokumentem, który winien stać się nie tylko czerwonym światełkiem ostrzegawczym, ale wręcz sygnałem alarmowym, a stał się jedynie dokumentem więcej, z-ca dyr. d/s handlowych wysyła iście wersalskie zapytanie do swojego kontrahenta, bojąc się go urazić, w którym pisze: (23.07.1981 r.) *„Prosimy uprzejmie o wyjaśnienie czy Wytwórnia Wasza działa na zasadach przedsiębiorstwa państwowego, Spółdzielczości Pracy, Spółdzielni Rzemieślniczej. Informacja jest nam pilnie potrzebna do prawidłowych zasad rozliczeń finansowych za wykonane dostawy".*

Rację miał główny księgowy. Zgodnie z obowiązującymi przepisami w tej mierze, należało wpierw sprawdzić kogo reprezentuje firma SEVA, czy sektor uspołeczniony, prywatny bądź jest firmą polonijną, sprawdzić uprawnienia SEVY do zakupu tkanin, warunki płatności, termin dostaw itp. Wyjaśnień wymagają także inne sprawy, choćby to, że na pismach przychodzących do „Alby" od SEVY nie ma adnotacji, numeru dziennika podawczego i dekretacji naczelnego dyrektora.

Losar, okazuje się, był bardziej przebiegły od całej dyrekcji „Alby". Aby przekonać, że istotnie mają na wiedeńskim koncie dolary, zawiózł wespół z kierownikiem Wydziału Tkalni A, zamówienie na części do maszyn do „Warimexu" w Warszawie. Tam zgłosili się do Działu Maszyn Tkackich. Oczywiście, że zamówienie przyjęto, jako że dział ten zajmuje się kupnem części. Dopiero gdy „Warimex" zaczął słać pisma, że dolary nie wpływają na ich konto i dlatego nie mogą zakupić potrzebnych „Albie" części, połapano się, że coś jest nie w porządku. Niestety, było to już po 13 grudnia 81, kiedy wyłączono telefony i telexy, a Losar stał się nagle nieuchwytny.

MISTYFIKACJA

Zabezpieczając mienie należące do Losara znaleziono sporo różnych dokumentów, które zostały włączone do akt prokuratorskich. Zdumiewa wszakże ogromna ilość telexów nadanych przez Losara i przez niego otrzymanych. Otóż są to telexy skierowane do różnych firm zagranicznych znajdujących się w Rumunii, Indiach, Turcji, Włoszech, ZSRR, Anglii, Szwecji... Wszystkie są nadawane albo po angielsku, szwedzku lub po rosyjsku. Nie można więc specjalnie się dziwić, że tymi obcojęzycznymi telexami mógł oszołomić niejednego dyrektora. Pozostaje jednak nadal sprawa wiary i zaufania. Jakich argumentów musiał używać Losar, zwyczajny cwaniak i hochsztapler, że ludzie skądinąd wykształceni, obyci z zarządzaniem, dokonujący przez wiele lat setek i tysięcy różnych operacji ekonomicznych, nagle wpadali w zachwyt na widok pomysłowo spreparowanej wizytówki? Dawali się wodzić za nos butnemu aferzyście, uwierzyli, że jest on zbawcą, jeśli nie jedynym zbawicielem ich planów produkcyjnych i ich zakładów.

Jest jeszcze jedna, nie wyjaśniona zagadka: wyjazd Losara z kraju. Wiceprokurator wojewódzki Marian Niesyto sporządził w tej sprawie specjalny dokument. Wynika z niego niezbicie, że Losar nie powinien otrzymać paszportu, a mimo to otrzymał. W Wydziale Paszportowym roi się od następujących stwierdzeń: *„objęty jest inwigilacją szczególnie jako podejrzany o rozprowadzanie wartości dewizowych oraz wyłudzanie pieniędzy w zamian za obietnice załatwienia różnych spraw. Dociera do urzędów wojewódzkich z ofertami założenia przedsiębiorstw lub budowy zakładów usługowych opartych na kapitale zagranicznym, posiadając pełnomocnictwa obywateli państw zachodnich". „Losar jest znanym organom ścigania oszustem, w 1975 r. został skazany z art. 205 i 244 kk na karę 2,5 roku pozbawienia wolności i 16 tys. zł grzywny. W 1976 r. został skazany z art. 235 kk na grzywnę w wysokości 3 tys. zł". „Petent ubiega się o wyjazd w odwiedziny do brata. Podstawę wyjazdu stanowi konto dewizowe. W środowisku Tomaszowa Maz. uchodzi za jednego z największych oszustów". „Rzekomo powołuje się na ogromne znajomości w różnego rodzaju ministerstwach, oferuje przy tym załatwienie różnych spraw i w ten sposób wyłudza pieniądze. Aktualnie mieszka z byłą żoną. Druga żona jest dyrektorem tego prywatnego zakładu".*

A mimo to paszport otrzymał, paszport PC wielokrotnego przekraczania granicy, docelowy WKS, kraj Republika Federalna Niemiec, ważny 3 lata. Losar paszport odebrał 16 listopada 1981 r. i więcej go nie widziano.

WSPÓLNICY CZY TYLKO OFIARY?

W sprawie Mariusza Losara Prokuratura Wojewódzka w Łodzi sporządziła akt oskarżenia. Obejmuje on trzy osoby: Zygmunta Wołowicza — inżyniera, współwłaściciela Zakładu Tworzyw Sztucznych w Karszewie, pierwszą żonę Losara, Celinę — ajentkę sklepu WPHW w Tomaszowie Maz. oraz Jana Brykałę — inżyniera, z-cę dyr. d/s handlowych w ZPB im. Armii Ludowej „Alba" w Łodzi.

Zygmuntowi Wołowiczowi akt oskarżenia zarzuca, że w okresie od 10.V. do IX.1981 działając w porozumieniu z Mariuszem Losarem i na jego zlecenie, wiedząc o tym, że małżonkowie Losar nie posiadają uprawnień do hurtowego nabywania tkanin i polichlorku winylu w jednostkach gospodarki uspołecznionej, wyszukiwał nabywców na te towary i przy ich sprzedaży pobierał za nie wyższe ceny, i tak: za tkaninę „Dedal" za 1 m brał 70—150 zł (cena faktyczna — 42—56 zł za 1 m), za tkaninę „Nestor" za 1 m brał 75 zł (cena faktyczna 38 zł za 1 m); za 1 tonę polichlorku winylu brał 75.000—80.000 zł (cena faktyczna — 46.500 zł za tonę).

Wiosną roku 1981 w Tomaszowie Maz. bez wymaganego zezwolenia dokonał obrotu wartościami dewizowymi przekazując Losarowi 6.850 dolarów USA (wg ówczesnego kursu NBP = 205.500 zł).

Celinie Losar zarzuca się, że od lutego do listopada 81 w Tomaszowie Maz. jako ajent sklepu włókienniczego nr 307 WPHW w Piotrkowie Tryb. w sporządzanych przez siebie raportach sprzedaży poświadczyła nieprawdę nie wykazując wszystkich transakcji kupna — sprzedaży tkanin nabytych w Spółdzielniach Pracy „Przystań" w Skierniewicach i „Powiśle" w Kwidzynie o łącznej wartości ponad 3 mln zł, które z pominięciem ich przyjęcia do prowadzonego sklepu w całości sprzedała Zygmuntowi Wołowiczowi, osiągając na tej transakcji nieopodatkowany zysk ponad 300.000 złotych.

Janowi Brykale akt oskarżenia zarzuca, że od 10 marca do października 81, jako zastępca dyr. d/s handlowych w „Albie" i ponosząc odpowiedzialność z racji zajmowanego stanowiska za zbyt produkowanych tkanin, stosowanie właściwych cen przy ich sprzedaży, nie dopełnił bądź przekroczył ciążące na nim obowiązki służbowe:

— przed zawarciem pierwszej transakcji sprzedaży tkanin dla firmy SEVA, w imieniu której występował Losar nie sprawdził legalności i zakresu rzeczowego działania tej firmy, jak też uprawnień do jej reprezentowania przez Mariusza Losara;

— wbrew pisemnemu poleceniu Zjednoczenia Przemysłu Bawełnianego nie zawarł z tą firmą umowy, polecając natomiast podległym sobie pracownikom realizację sprzedaży tkanin typu flanelowego z uwzględnieniem upustu z tytułu marży przysługującej odbiorcom uspołecznionym. Mówiąc prościej: sprzedał osobie prywatnej 138.050,7 mb tkaniny „Dedal" i „Nestor" o wartości 5.760.392,72 zł, za którą Losar uregulował należność w kwocie 5.069.178 zł, powodując stratę w kwocie 691.215 zł z tytułu 12 proc. upustu cenowego.

FINAŁ BEZ GŁÓWNEGO BOHATERA

Wiosną Losar poznał Zygmunta Wołowicza, inżyniera, współwłaściciela zakładu tworzyw sztucznych i znajomość ta wkrótce przekształciła się w ścisłą współpracę. Losar, jako zachętę, obiecał Wołowiczowi 100.000 zł za to, że ten będzie „upłynniać" otrzymywaną od Losara dzianinę i polichlorek winylu. Wołowicz wykazał wyjątkową aktywność. Nie tylko pozyskiwał nabywców, ale określał ceny jednego metra dzianiny bądź jednej tony polichlorku winylu, wypisywał dokumenty przewozu itp. On także dopilnowywał załadunku towaru, transportu, wyładunku, a także inkasował pieniądze. Zasługą Wołowicza było także i to, że nabywcy częściowo płacili w złotówkach, a częściowo w dolarach. I tak np. Ryszard Rybicki, rzemieślnik, przekazał wiosną 1981 r. Losarowi wspomniane już 6.850 dolarów USA (licząc według ówczesnego kursu NBP 1 dolar = 30 zł), co stanowiło równowartość 205.500 zł. Dla przypomnienia podaję, że w Banku Polska Kasa Opieki SA, Oddział w Łodzi Losar miał własne konto, na które w ostatnich latach dokonywał poważnych wpłat. Gdy po jego wyjeździe sprawdzono stan tego konta, okazało się, że pozostawił na nim zaledwie 50 centów i 22 pfenigi.

Wołowicz pomógł także w sprzedaży 25 ton polichlorku winylu, biorąc po 75 tys. zł lub nawet po 80 tys. zł za tonę, gdy cena oficjalna wynosi 46 tys. złotych za tonę. Wykorzystując swoją znajomość z Celiną Losar, ajentka sklepu WPHW, od lutego do listopada 1981 r. nabył u niej różne tkaniny za kwotę 3 mln zł, a także nabył tkaniny dla niej w Spółdzielniach Pracy „Przystań" w Skierniewicach i „Powiśle" w Kwidzynie. Nabył tkaniny po cenach zbytu, a sprzedał po cenach detalicznych, natomiast Celina Losar nie wykazywała tych transakcji w składanych przez siebie dekadowych raportach do księgowości WPHW, w ten sposób osiągnęła dla siebie zysk w kwocie co najmniej 300.000 zł z tytułu marży.

Pozostanie tajemnicą do czasu sądowej rozprawy fakt tak prostego oszukaństwa. Czyżby winę za to ponosiła częściowo nasza, rozbudowana czasami do absurdu, administracja, która w zalewie papierków straciła wszelkie poczucie kontroli?

Na ławie oskarżonych znajdzie się także z-ca dyr. d/s handlowych „Alby" Jan Brykała. Ten ostatni tłumaczy się, że nie sprawdził dokumentów Losara ani nie sprawdził czy umowa z SEVĄ została zawarta, bo sprawa wyglądała czysto. Właściwie to umowę chciał zawrzeć po dokonaniu całości transakcji, bowiem gdyby za bardzo nastawał na uregulowanie tej sprawy, mógłby zrazić tak świetnego kontrahenta. A „Albie" w owym czasie tak bardzo zależało na częściach zamiennych, których od dawna nie było w zakładzie. Więc czyż można się dziwić, że Losar z propozycją przelania na ich konto 27 tysięcy dolarów USA spadł im jak z przysłowiowego nieba? Obwiniać jest łatwo, ale kiedy pojawia się problem być albo nie być dalszej produkcji, wtedy nie ma czasu na drobiazgowe kontrole czy sprawdzanie, wtedy zwyczajnie się działa, podejmuje decyzje, ratuje zakład.

Sądzona będzie także była (pierwsza) żona Losara Celina, z którą Mariusz Losar był formalnie rozwiedziony, ale u niej mieszkał i przechowywał w jej mieszkaniu spora część dokumentów dotyczących działalności SEVY. Celina Losar jest szczera, bodaj jedyna, która wyjawia bez ogródek pobudki swojego postępowania: owszem — powiada — przyznaję się do działania przestępczego, ale powodowała mną chęć zysku Wielkiego, szybkiego zysku, a przy tym wydawało się, że bardzo pewnego, takiego, co to nikt nigdy nie potrafi wykryć.

Tak więc prokurator zarzucił sieć: połów jest obfity, choć nie ma w sieci najgrubszej ryby. Należy przypuszczać, że przed sądem rozegra się jedno z ciekawszych przedstawień, należy jedynie żałować, że będzie to przedstawienie bez głównego bohatera.

Powołano na świadków kilkadziesiąt osób, zostaną odczytane dokumenty, do wglądu będzie pare tomów akt, z gąszcza których prawnicy wyłowią zarówno dowody obciążające winnych jak i świadczące na ich korzyść. Prokurator, stojąc na straży praworządności i poszanowania norm społecznych będzie domagać się surowych kar, obrońcy, powołując się na humanitarność, dotychczasową niekaralność oskarżonych, na pomyłki, które są częścią ludzkich czynów, poproszą o uniewinnienie lub o najbardziej łagodne wyroki.

Ale jakiekolwiek by nie było zakończenie tej sprawy fakt pozostanie faktem: gospodarka poniosła kolejne, poważne straty, których nie da się już odrobić, i na które nas dziś absolutnie nie stać.

Ze względu na dobro śledztwa nazwiska osób występujących w reportażu zostały zmienione.

Foto.: M. Zajdler